

Howard Robert

Conan wojownik



calibre 0.9.27

CONAN WOJOWNIK

WSTĘP

Pośród wszystkich gatunków fikcji literackiej, tym, który zapewnia najprawdziwszą rozrywkę, jest heroic fantasy: historie o szermierce na miecze i czarach, dziejące się w wyimaginowanym świecie — zarówno na naszej planecie, dawno, dawno temu, jak i w odległej przyszłości, lub w innym wymiarze — gdzie magia ogarnia wszystko, każdy mężczyzna jest silny, każda kobieta piękna, każdy problem prosty, a życie pełne przygód. W takim świecie błyszczące miasta wznoszą strzeliste iglice do gwiazd; czarownice, ukryte w podziemnych norach rzucają złowrogie zaklęcia, złowieszcze duchy skradają się wśród starych ruin, pradawne monstra przedzierają przez gąszcz dżungli, a losy królestw zależą od zakrwawionego ostrza szerokiego miecza w ręku bohatera o ponadludzkiej siki męstwie.

Jednym z największych pisarzy heroic fantasy był Robert Ervin Howard (1906–36), który większość swego krótkiego życia spędził w Cross Plains w Texasie. Howard był bardzo płodnym twórcą piszącym dla ówczesnych magazynów z opowiadaniem. Duży wpływ wywarli na niego tacy autorzy jak: Jack London, Talbot Mundy, Harold Lamb, Edgar Rice Burroughs, czy H.P. Lovecraft.

Najsłynniejszą postacią stworzoną przez Howarda, jest Conan Cymeryjczyk. Żył on około dwunastu tysięcy lat temu, w Hyborian Age, gdzieś pomiędzy zatopieniem Atlantydy, a początkami historii pisanej. Potężnie zbudowany barbarzyński awanturnik z północnej Cymmerii, brodził w rzekach krwi, pokonywał wrogów, zarówno ziemskich, jak i z zaświatów, by w końcu zostać królem Hyborian, rządzić królestwem Aquilonii.

Za życia Howarda opublikowano osiemnaście opowiadań o Conanie, a po zbyt wczesnej śmierci autora, odnaleziono kilka dalszych, w rękopisie. Miałem zaszczyt przygotowania ich do druku i uzupełnienia tych, których R.E. Howard nie zdążył

dokończyć.

Conan, jako młodzieniec przybył do królestwa Zamorii (patrz mapa) i przez kilka lat wiódł niepewny żywot złodzieja, zarówno tam, jak i w Corinthii oraz Nemedii.

Następnie, jako najemny żołnierz walczył najpierw pod sztandarami wschodniego

Turanu, później w królestwie Hyborian. Zmuszony do ucieczki z Argosu, został piratem u wybrzeży Kush, przy boku Shemitki — Belit i z zastępem czarnoskórych korsarzy.

Wówczas to zasłużył sobie na miano Amra Lew.

Po śmierci Belit, Conan wraca do zawodu najemnika w Shem i przyległym królestwie

Hyborian. Później przeżywa wiele przygód wśród murzyńskich banitów, kozaków na

wschodnich stepach, piratów na Morzu Vilayet (?) i wśród szczepów górskich w

Himelian Mountains na granicy Iranistanu oraz Vendhya. Następnie, ponownie zaciąga

się do wojska w Koth i Argos, w wyniku czego, na krótko zostaje współwładcą

opustoszałego miasta Tmbalku. Potem wraca na morze; najpierw jako pirat na wyspach

Baracha, by następnie zostać kapitanem statku Zingarańskich piratów.

W tym tomie odnajdujemy Conana, który ukończył już trzydzieści kilka lat.

CZERWONE ĆWIEKI

Będąc kapitanem „Wastrela” Conan przez dwa lata z nadzwyczajnym powodzeniem

kontynuował piracką karierę. Jednakże inni piraci zingarańscy patrzyli na przybysza

zawistnym okiem i w końcu zmusili go do opuszczenia wybrzeży Shemu. Conan

uchodzi na ląd, a słysząc o spodziewanej u granic Stygii wojnie, przystaje do Wolnych Towarzyszy — zgrai kondotierów pod dowództwem Zaralla. Jednak zamiast obfitych

łupów znajduje tylko mało urozmaiconą służbę strażniczą na pogranicznym

posterunku w Sukhmet, blisko granicy z Czarnymi Królestwami. Wino jest kwaśne, a

zdobycz niewielka i Conan wkrótce ma już dosyć czarnych kobiet. Nuda kończy się

wraz z pojawieniem się w Sukhmet Valerii z Czerwonego Braterstwa — kobiety pirata,

którą znał z czasów swego pobytu na Wyspach Barachańskich. Valeria zabiła stygijskiego oficera, zalecającego się do niej w niewybredny sposób i uchodzi przed zemstą jego rodziny, a Conan podąża jej śladem na południe, w nieprzebytą puszcze Czarnych Królestw.

1

Siedząca na koniu kobieta ściągnęła cugle zmęczonemu rumakowi. Wierzchowiec stanął na szeroko rozstawionych nogach, z opuszczoną głową, jak gdyby nawet ciężar zdobionego złotem wędzidła z czerwonej skóry był dla niego zbyt wielki. Kobieta wyjęła obutą stopę ze srebrnego strzemienia i płynnym ruchem zsiadła z poślaczanego siodła. Uwiązała szybko cugle do rozwidlonego drzewa i odwróciła się z rękami wspartymi na biodrach, badając otoczenie.

A nie wyglądało ono zachęcająco. Gigantyczne drzewa otaczały sadzawkę, w której dopiero co napiła konia. W posępnym półmroku wyniosłych pasaży utworzonych przez splecione konary rozrastały się, ograniczając widok, kępy poszycia. Kobieta zadrżała kuląc wspaniałe ramiona i zakłęła pod nosem.

Była wysoka, dobrze zbudowana, o pełnych piersiach i ramionach. Jej wygląd zdradzał niezwykłą siłę, nie ujmującą jednak nic z jej kobiecego wdzięku. Stanowiła uosobienie kobiecości, niezależnie od swej postury i zważywszy na otoczenie, raczej nieodpowiedniego stroju. Zamiast spódniczki nosiła krótkie, jedwabne spodnie o szerokich nogawicach kończących się na szerokość dłoni powyżej kolan. Spodnie podtrzymywała szeroka jedwabna szarfa, służąca jako pas. Buty z miękkiej skóry o wywiniętych, sięgających prawie do kolan cholewach i jedwabna koszula z szerokimi rękawami i kołnierzem, dopełniały stroju.

Na jednym kształtnym biodrze wisiał prosty, obosieczny miecz, a na drugim długi sztylet. Opaska ze szkarłatnego atlasu przytrzymywała jej niesforne złote włosy,

przycięte prosto u ramion. Na tle ponurej, pierwotnej puszczy wyglądała niezwykle malowniczo, a zarazem dziwnie obco. Jej postać kojarzyła się raczej z bielą nadmorskich obłoków, malowanymi masztami i stadami krążących mew, a w wielkich oczach odbijał się błękit morskich fal.

Była to Valeria z Czerwonego Braterstwa, której czyny sławiono w pieśniach i balladach, gdziekolwiek zebrała się morska brać.

Próbowała przebić spojrzeniem ponury, zielony pułap, splątanych gałęzi i dojrzeć niebo, które powinno się nad nim znajdować, lecz niebawem zrezygnowała mrucząc ciche przekleństwo. Pozostawiając uwiązane konia ruszyła na wschód, od czasu do czasu oglądając się na sadzawkę by zapamiętać drogę.

Panująca wokół cisza wprawiała ją w przygnębienie. Żaden ptak nie zaśpiewał wysoko w konarach, żaden szelest w krzakach nie wskazywał na obecność drobnej zwierzyny.

Przez całe staje podróżowała przez królestwo zadumanej ciszy, naruszanej jedynie odgłosami jej ucieczki. Uprzednio ugasiła pragnienie w sadzawce, ale teraz czuła skurcze głodu i zaczęła rozglądać się za owocami, którymi podtrzymywała swe siły od kiedy wyczerpała się żywność w jukach. Wkrótce ujrzała przed sobą wyłaniającą się z mroku i wznoszącą wśród drzew, turnię z czarnej, podobnej do krzemienia skały.

Wierzchołek turni skrywała gęsta chmura listowia. Może szczyt skały wznosi się ponad wierzchołki drzew i mogłaby z niego zobaczyć, co znajduje się dalej? — o ile oczywiście dalej znajdowało się cokolwiek prócz tej wyglądającej na bezkresną puszczy, przez

którą jechała od tylu dni.

Wąski występ tworzył naturalną półkę wiodącą w górę pionowej ściany skalnej.

Wspiąwszy się na jakieś pięćdziesiąt stóp dotarła do pasa liści otaczających skałę. Pnie drzew nie tłoczyły się wprawdzie przy samej turni, lecz końce niższych gałęzi wyciągały się ku niej, osłaniając szczyt woalem listowia. Valeria poruszała się po omacku w

gąszczu liści, nie widząc nic ani przed, ani za sobą, aż wreszcie dojrzała błękit nieba i w chwilę później wyszła na otwartą, nagrzaną słońcem przestrzeń. U swych stóp

zobaczyła rozciągającą się po horyzont bezkresną puszcę.

Valeria stała na szerokim występie, znajdując się niemalże na tym samym poziomie co wierzchołki drzew. Z występu wznosiła się skalna iglica stanowiąca szczyt turni.

Jednakże w tej chwili coś innego przykuwało uwagę kobiety. Stopą trąciła coś wśród nawianych tu, zeschniętych liści zaścielających półkę. Rozrzuciła liście kopnięciem i spojrzała na ludzki szkielet. Powiodła doświadczonym okiem po zbiegających kościach, ale nie dostrzegła ani śladu złamań czy innych oznak przemocy. Człowiek ten

najwidoczniej umarł naturalną śmiercią, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego musiał wspiąć się w tym celu na tak wysoką turnię.

Valeria wdrapała się na wierzchołek iglicy i rozejrzała się po widnokręgu. Leśny pułap — wyglądający ze szczytu skały jak zielony dywan — był tak samo nieprzenikniony z góry, jak z dołu. Nie mogła nawet dostrzec sadzawki przy której zostawiła konia.

Spojrzała ku północy, w kierunku z którego przybyła. Ujrzała jedynie falujący, zielony ocean, rozciągający się coraz dalej i dalej. Pasma wzgórz, które przekroczyła kilka dni wcześniej zagłębiając się w leśne pustkowie, odznaczało się teraz tylko niewyraźną, niebieską linią w oddali.

Na wschodzie i zachodzie widok był taki sam, pozbawiony nawet niebieskiej linii górskiego pasma, lecz gdy skierowała wzrok na południe zeszywniała nagle i

wstrzymała oddech. O milę dalej las rzedniał i urywał się gwałtownie, ustępując miejsca porośniętej kaktusami równinie, zaś pośrodku równiny wznosiły się mury i wieże

wielkiego miasta. Valeria zaklęła ze zdumienia. To było wprost niewiarygodne!

Nie zdziwiłby jej widok innego ludzkiego osiedla; kopiastych chat czarnych ludzi, czy też skalnych kryjówek tajemniczej, brązowej rasy, która jak głosiły legendy

zamieszkiwała niektóre obszary tej niezbadanej krainy. Jednakże napotkanie

otoczonego murami miasta tutaj, o tak wiele długich tygodni marszu od najbliższych przyczółków cywilizacji, było niepokojącym przeżyciem.

Przytrzymała się iglicy, aż ręce zaczęły jej omdlewać, wtedy opuściła się na półkę, marszcząc

brwi w zadumie. Przybyła z daleka — z obozu najemnych żołnierzy leżącego na trawiastych równinach przy nadgranicznym mieście Sukhmet, gdzie awanturnicy z wielu krain i ras bronili stygijskich rubieży przed zagonami, ciągnącymi czerwoną falą z Darfaru. Uchodziła na oślep, przez ziemię, której zupełnie nie znała. Teraz wahała się między pragnieniem jazdy wprost do miasta na równinie, a instynktowną ostrożnością

doradzającą ominąć je szeroko i podjąć dalej samotną ucieczkę. Cichy szelest liści wyrwał ją z tych rozmyślań. Obróciła się na pięcie zwinnie jak kot i zastygła w bezruchu, patrząc szeroko otwartymi oczami na stojącego przed nią człowieka.

Był to mężczyzna gigantycznej postury, o mięśniach prężących się płynnie pod zbrązowiałą od słońca skórą, odziany w strój podobny do ubioru Valerii z wyjątkiem szerokiego skórzanego pasa, jaki nosił zamiast szarfy. U pasa zwisał mu szeroki miecz i sztylet.

— Conan Cymmerianin! — wykrztusiła kobieta. — Co ty tutaj robisz?

Uśmiechnął się nieznacznie, a w jego niebieskich oczach zapalił się błysk zrozumiały dla każdej kobiety, gdy obrzucił spojrzeniem jej wspaniałą sylwetkę zatrzymując nieco dłużej wzrok na wypukłościach wspaniałych piersi ukrytych pod cienką koszulą i

odsłoniętych skrawkach białego ciała, widocznych między spodniami, a cholewami butów.

— Nie wiesz? — zaśmiał się. — Czyż nie wyraziłem jasno mojego podziwu, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy?

— Ogier nie wyraziłby tego jaśniej — odparła pogardliwie. — Jednak nigdy nie spodziewałam się, że mogę cię spotkać tak daleko od Sukhmet; od beczek piwa i mis z mięsiwem. Naprawdę pojechałeś za mną, czy też kijami wypędzili cię z obozu za łotrostwo?

Roześmiał się na jej zuchwalstwo i napiął potężne bicepsy.

— Wiesz, że Zarallo nie ma tylu łotrów by zdołali mnie wypędzić z obozu — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Oczywiście, że pojechałem za tobą. Masz szczęście,

dziewucho! Kiedy zadźgałaś tego stygijskiego oficera utraciłaś łaski i ochronę Zarallo, a Stygijczycy wyjęli cię spod prawa.

— Wiem o tym — odparła ponuro — ale co innego mogłam zrobić? Widziałeś jak mnie sprowokował.

— Jasne — zgodził się. — Gdybym tam był, sam bym go zadźgał. Jednak kiedy kobieta przebywa w męskim obozie wojennym, może się spodziewać takich rzeczy.

Valeria tupnęła obutą stopą i zakląła.

— Dlaczego mężczyźni nie dadzą mi żyć po męsku?

— To oczywiste! — ponownie obrzucił ją wygłodzonym spojrzeniem. — Rozsądnie

uczyniłaś uciekając. Stygijczycy obdarliby cię ze skóry. Brat tego oficera ścigał cię; nie wątpię, że szybciej niż sądziłaś. Był już bardzo blisko, kiedy go dopadłem. Miał

lepszego konia niż ty. Jeszcze kilka mil, a dogoniłby cię i poderżnął ci gardło.

— I co? — dopytywała się.

— Co i co? — wydawał się być zdumiony.

— I co z tym Stygijczykiem?

— A jak sądzisz? — odparł niecierpliwie. — Zabiłem go, oczywiście, a trupa zostawiłem sępom. To mnie zatrzymało i nieomal zgubiłem twój trop, kiedy przekraczałaś kamieniste grzbiety wzgórz. Inaczej już dawno bym cię dogonił.

— A teraz myślisz, że zawleciesz mnie z powrotem do obozu Zarallo? — sarknęła.

— Nie mów głupstw — mruknął. — No, dziewczyno nie bądź taką złośnicą. Wiesz, że nie jestem taki, jak ten Stygijczyk, którego zadźgałaś.

— Włóczęga bez grosza! — urągała. Roześmiał się na to.

— A siebie jak byś nazwała? Nie masz tyle pieniędzy by kupić sobie łatę na siedzenie spodni. Twój wzgardliwy ton mnie nie zwiedzie. Wiesz, że dowodziłem większymi

okrętami i liczniejszymi załogami niż ty kiedykolwiek w swoim życiu. A co do tego, że nie mam grosza przy duszy — który korsarz ma pieniądze przez dłuższy czas?

Roztrwoniłem w morskich portach świata dość złota, by napełnić nim galerę. Wiesz o tym dobrze.

— Gdzie są teraz te piękne okręty i śmiałkowie, którymi dowodziłeś? — sarknęła.

— Głównie na dnie morza — odparł uprzejmie. — Zingarańczycy zatopili mój ostatni okręt przy brzegach Shemu. Właśnie dlatego zaciągnąłem się do Wolnych Towarzyszy pod komendę Zarallo, ale kiedy pomaszerowaliśmy nad granicę Darfaru przekonałem się, że mnie nabrali. Zapłata była nędzna, wino kwaśne, a poza tym nie lubię czarnych kobiet. Tylko takie przychodziły do naszego obozu w Sukhmet; z kólkami w nosach i spiłowanymi zębami — ba! Dlaczego przyłączyłaś się do Zarallo? Sukhmet leży o wiele dni drogi od słonej wody.

— Czerwony Ortho chciał uczynić mnie swoją kochanką — odparła ponuro. — Pewnej nocy, gdy rzuciliśmy kotwicę przy wybrzeżu Kush, skoczyłam za burtę i dopłynęłam do brzegu. Było to koło Zabhela. Kupiec ze Shemu powiedział mi, że Zarallo prowadzi swych Wolnych Towarzyszy by strzegli granicy z Darfarem. Nie było innej oferty.

Przyłączyłam się do karawany podążającej na wschód i dotarłam do Sukhmet.

— Szaleństwem było zapuszczać się na południe — komentował Conan — ale było to również mądre, bo patrolom Zarallo nie wpadło do głowy szukać cię w tym kierunku. Tylko brat człowieka, którego zabiłaś natrafił na twój ślad.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — spytała.

— Skręcić na zachód — odparł. Byłem już tak daleko na południu, ale nie tak bardzo na wschód. O wiele dni drogi na zachód leżą rozległe sawanny, gdzie czarne szczepy wypasają bydło. Mam wśród nich przyjaciół. Dotrzemy do wybrzeża i znajdziemy jakiś statek. Mam już dość dżungli.

— Ruszaj więc — doradziła. — Ja mam inne plany.

— Nie bądź głupia! — po raz pierwszy zirytował się. — Nie możesz włączyć się po tej

puszczy.

— Mogę, jeśli zechcę.

— Co chcesz robić?

— To nie twoja sprawa — ucięła.

— Tak, moja — odparł chłodno. — Myślisz, że jechałem za tobą tak daleko by zawrócić i odjechać z pustymi rękami? Bądź rozsądna dziewczucho; nic ci nie zrobię.

Ruszył ku niej. Valeria odskoczyła, dobywając miecza.

— Trzymaj się z dala, barbarzyński psie! Nadzieję cię jak pieczoną świnie!

Zatrzymał się niechętnie i zapytał: — Chcesz, żebym zabrał tę zabawkę i dał ci parę klapsów?

— Słowa! Nic tylko słowa! — szydziła. W zuchwałych oczach tańczyły ogniki, jak odbłaski słońca na błękitnej wodzie.

Wiedział, że to prawda. Żaden człowiek nie mógł rozbroić gołymi rękami Valerii z

Czerwonego Braterstwa. Zmarszczył się groźnie, miotany przeciwstawnymi uczuciami.

Był zły, lecz również rozbawiony i pełen podziwu dla jej odwagi. Płonęła w nim żądza, by złapać tę piękną dziewczynę i' skruszyć w swych żelaznych ramionach, ale pragnął

też gorąco nie czynić jej krzywdy. Wahał się między pragnieniem przytulenia jej, a

chęcią solidnego potrząśnięcia. Wiedział, że jeżeli zbliży się jeszcze o krok, Valeria zatopi mu miecz w sercu. Zbyt wiele razy widział ją zabijającą ludzi w potyczkach

granicznych i podczas kłótni w tawernach, by mieć jakieś złudzenia. Wiedział, że jest tak szybka jak tygrysica. Mógł dobyć swego miecza i rozbroić ją wytrącając ostrze z jej dłoni, ale myśl o podniesieniu miecza na kobietę, nawet bez zamiaru zranienia, była

mu niemiła.

— Niech cię lichy, ty ladaco! — wykrzyknął zirytowany — Zabiorę ci...

Złość odebrała mu rozsądek; ruszył ku niej, przygotowanej do zadania śmiertelnego

pchnięcia. Śmieszna i groźna scenę przerwał nagle wstrząsający dźwięk. Oboje drgnęli gwałtownie.

— Co to było? — wykrzyknęła Valeria.

Conan odwrócił się szybko jak kot, a wielki miecz zabłysnął mu w dłoni. Puszcza w dole rozbrzmiewała przeraźliwymi odgłosami — końskim kwikiem przerażenia i agonii zmieszany z trzaskiem łamanych kości.

— Lwy zabijają konie! — krzyknęła Valeria.

— Lwy, akurat! — prychnął Conan z błyskiem w oku. — Słyszałaś ryk lwa? Ja też nie!

Słuchaj jak trzaskają kości — nawet lew nie zrobiłby tyle hałasu zabijając konia.

Pospiesznie ruszył w dół. Podążyła za nim, zapominając o osobistej urazie w

instynktownym dla awanturników odruchu jednoczenia się wobec wspólnego

zagrożenia. Kiedy przedarli się przez zielony welon otaczających skałę liści, kwik

ucichł.

— Znalazłem twego konia uwiązanego tam przy sadzawce — mruczał stąpając tak

bezgłośnie, że przestała się dziwić, jak zdołał ją zaskoczyć na skałę. — Przywiązałem swego obok i ruszyłem po twoich śladach. Teraz uważaj!

Wynurzyli się z gęstwiny liści i spojrzeli na dolne partie lasu. Nad nimi zielony pułap rozciągał się mrocznym baldachimem, przez który sączyło się nikiłe światło tworząc

nefrytowej barwy półmrok. Gigantyczne pnie drzew p sto jardów dalej wyglądały

upiornie i groźnie.

— Konie powinny być tam, za tymi zaroślami — szepnął Conan, a jego głos był jak

tchnienie wiatru wśród gałęzi.

— Słuchaj!

Valeria nasłuchiwała i krew zastygła jej w żyłach. Bezwiednie położyła swą białą dłoń na muskularnym, brązowym ramieniu towarzysza.

Zza zarośli dochodziły odgłosy straszliwej uczy; głośny trzask pękających kości i

rozdieranego ciała połączony z żuciem i mlaskaniem.

— Lwy nie robiłyby takiego hałasu — wyszeptał Conan. — Coś zjada nasze konie, ale

to nie jest lew... Na Croma!

Dźwięki urwały się nagle i Conan zaklął cicho. Nagły podmuch wiatru poniosł ich zapach w kierunku miejsca, gdzie gęszcz ukrywał niewidocznego zabójcę.

— Nadchodzi! — mruknął Gymmerianin unosząc miecz.

Zarośla zatrzęsły się gwałtownie i Valeria ścisnęła ramię Conana. Niewiele wiedząc o dżungli, zdawała same jednak sprawę, że żaden zwierz, jakiego kiedykolwiek widziała nie mógłby tak wstrząsać wysokimi krzewami.

— Musi być wielki jak słoń — zawtórował jej myślom Conan. — Co u diabła — jego głos zamarł w zdumionej ciszy.

Z gęstwiny wyłoniła się głowa jak z sennego koszmaru szaleńca. Wyszczierzona paszcza obnażała rzędy ociekających śliną, żółtych kłów, W pomarszczonym, jaszczurczym pysku jarzyły się olbrzymie ślepie, jak tysiącrotnie powiększone oczy pytona, spoglądające bez mrugnięcia na dwoje skamieniałych ludzi przywierających do skały. Pokryte łuską, obwisłe wargi umazane były krwią kapiącą z ogromnej paszczy.

Przypominając krokodyli, lecz znacznie większy, łeb osadzony był na długiej, okrytej łuskami szyi o rzędach sterczących, zębatych kolców. Dalej miażdżąc krzewy wrzośca i młode drzewka, kołyszącym chodem poruszał się tułów; gigantyczny, beczkowaty

korpus na absurdalnie krótkich nogach. Białawy brzuch niemal ciągnął się po ziemi, podczas gdy zębaty grzebień wznosił się wyżej niż Conan mógłby dosięgnąć stając na palcach. Z tyłu ciągnął się długi, kolczasty ogon, jak u skorpiona.

— Z powrotem na skałę, szybko! — rzucił Conan, ciągnąc za sobą dziewczynę. — Nie sądzę, żeby umiał się wspinać, ale może stanąć na tylnych łapach i dosięgnąć nas...

Potwór zbliżał się, gniotąc krzaki i łamiąc drzewka; uciekali przed nim na skałę, jak liście gnane wiatrem. Nurkując w gęstwinę listowia Valerię rzuciła okiem w tył i ujrzała przerażające monstrum stojące na swych masywnych, tylnych łapach tak, jak to Conan przewidział.

Na widok tego Valeria wpadła w panikę.

Wyprostowana, bestia wyglądała na jeszcze większą; zakończony potwornym pyskiem łeb górował nad drzewami. Żelazna dłoń Conana zamknęła się na przegubie dziewczyny ciągnąc ją głową naprzód w maskujący zamęt liści i z powrotem w gorące promienie słońca właśnie w chwili, gdy potwór opadł przednimi łapami na tumie ze wstrząsem, od którego cała skała zadygotała.

Olbrzymi łeb wylądował z trzaskiem wśród gałęzek tuż za uciekającymi, którzy przez jedną przerażającą chwilę spoglądali na koszmarnie oblicze obramowane zielonymi liśćmi; na płonące ślepia i rozdziawioną paszczę. Gigantyczne kły kłapnęły bezsilnie i łeb cofnął się, znikając przed ich oczu jakby zanurzył się w sadzawce.

Spozierając w dół przez połamane gałęzie opierające się o skałę zobaczyli, że potwór przywarował na zadzie u stóp skały wpatrując się w nich nieruchomym spojrzeniem.

Valeria wzdrygnęła się.

— Długo będzie tam czatował — jak myślisz?

Conan trącił stopą czaszkę leżącą wśród liści pokrywających półkę.

— Ten człowiek musiał wspiąć się tutaj uciekając przed tym lub innym podobnym potworem. Musiał umrzeć z głodu. Nie ma żadnych kości połamanych. Ten tam w dole to musi być smok — taki o jakim czarni mówią w swych legendach. Jeżeli tak, to nie odejdzie stąd dopóki oboje nie będziemy martwi.

Valeria patrzyła na niego pustym wzrokiem, zapomniawszy o niechęci.

Usiłowała opanować ogarniający ją strach. Tysiące razy dowiodła swej zuchwałej odwagi w zaciekłych walkach na morzu i lądzie; na suskich od krwi pokładach płonących okrętów wojennych, na murach obleganych miast i na zdeptanych piaskach plaż gdzie straceńcy z Czerwonego Braterstwa nożami rozstrzygali walki o przywództwo. Jednakże groza obecnej sytuacji mroziła krew w jej żyłach. Śmierć od miecza w ogniu walki była niczym, lecz bezczynne i bezradne wysiadywanie na nagiej

skale obleganej przez potworny relikw dawnych wieków w oczekiwaniu na śmierć głodową — na tę myśl ogarniała ją panika.

— Będzie musiał odejść, by jeść i pić — powiedziała bezradnie.

— Nie będzie musiał daleko odchodzić — dowodził Conan. — Dopiero co nażarł się końskiego mięsa, a jako gad może obejść się długo bez jedzenia i picia. Wydaje się jednak, że nie zapada w sen po jedzeniu, jak węże. A w każdym razie nie potrafi wspiąć się na turnię. Conan przemawiał z niezmaconym spokojem. Był barbarzyńcą — straszliwa cierpliwość dziczy i jej dzieci była częścią jego natury, tak jak gwałtowne żądze i namiętności. Potrafił znosić takie sytuacje ze spokojem nieosiągalnym cywilizowanej osobie.

— Czy nie moglibyśmy dostać się na drzewa i uciec podążając po gałęziach jak małpy? — pytała Valeria z rozpaczą w głosie.

Potrząsnął głową. — Myślałem o tym. Gałęzie dotykające turni są zbyt cienkie.

Złamałyby się pod naszym ciężarem. Poza tym mam wrażenie, że ten diabelski stwór mógłby wyrwać każde z tych drzew z korzeniami.

— To znaczy, że będziemy po prostu siedzieć tu na tyłkach, aż umrzemy z głodu, tak?! — krzyknęła z wściekłością. Kopnięta czaszka potoczyła się z chrzęstem po półce.

— Ja nie mam zamiaru! Zejdę na dół i utnę mu ten przeklęty łeb!

Conan usadowił się na skalnym występie u stóp iglicy. Spoglądał z podziwem na błyszczące oczy i spiętą, drżącą postać, lecz widząc, że w tym nastroju jest zdolna do każdego szaleństwa, nie wyraził głośno swego podziwu.

— Siadaj — mruknął, chwytając ją za nadgarstek i sadzając sobie na kolanach. Była zbyt zaskoczona by się opierać gdy wyjął miecz z jej dłoni i wepchnął go z powrotem do pochwy. — Siedź cicho i uspokój się. Złamałabyś tylko swój miecz na jego łuskach. Pozarłby cię jednym kęsem lub zgniótł jak jajko swym kolczastym ogonem. Jakoś

wydstaniemy się z tych tarapatów, ale na pewno nie damy się przeżuć i połknąć.

Valeria nie odpowiedziała i nie próbowała zrzucić jego ręki ze swej kibici. Czowała strach, a to uczucie było czymś nowym dla Valerii z Czerwonego Braterstwa. Tak więc potulnie siedziała na kolanach towarzysza. Zarallo, który przeklął ją jako diabolicę prosto z piekielnego seraju, byłby szczerze zdumiony. Conan bawił się leniwie jej złotymi lokami, najwyraźniej pochłonięty tylko tym podbojem. Ani szkielet u jego stóp, ani potwór czający się w dole w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały mu i nie zmniejszały jego zainteresowania.

Niespokojne oczy dziewczyny błędzące wśród listowia, odkryły barwne plamy wśród zieleni; Duże, ciemnoczerwone kule owoców zwisały z konarów drzewa i szczególnie gęstych i jasnozielonych liściach. Uświadomiła sobie, że jest głodna i spragniona, chociaż pragnienie nie męczyło jej dopóki nie dowiedziała się, że nie może zejść z turni, by znaleźć żywność i wodę.

— Nie musimy głodować — powiedziała. — Tam są owoce; można ich dosięgnąć.

Conan popatrzył we wskazanym kierunku.

— Gdybyśmy je zjedli obeszloby się bez smoka — mruknął. — Czarni ludzie Kush nazywają je Jabłkami Derkety. Derketa jest Królową Zmarłych. Wypij trochę soku albo skrop nim swoje ciało, a będziesz martwa zanim zwalisz się do stóp turni.

— Och!

Valeria pogrążyła się w zatrwożonym milczeniu. Wygląda na to, że nie ma wyjścia z tej paskudnej sytuacji — rozmyślała. Nie widziała żadnej szansy ucieczki, a Conan zdawał się być zainteresowany jedynie jej smukłą talią i złotymi lokami. Jeżeli próbował ułożyć plan ucieczki, to nie okazywał tego.

— Gdybyś zdjął ze mnie swoje ręce choć na chwilę i wdrapał się na ten wierzchołek — rzekła wreszcie — zobaczyłbyś coś, co by cię zdziwiło.

Rzucił jej pytające spojrzenie, lecz posłuchał wzruszając potężnymi, ramionami.

Przywierając do skalnej iglicy powiódł wzrokiem po otaczającej puszczy. Stał długą chwilę w milczeniu, upozowany na skale jak statua z brązu.

— To miasto otoczone murami, jak nic — wymamrotał w końcu. — To tam chciałaś iść, kiedy próbowałaś wysłać mnie samego w drogę do wybrzeża?

— Zobaczyłam je, zanim nadszedłeś. Kiedy opuszczałam Sukhmet nic o nim nie wiedziałam.

— Ktoby pomyślał, że tu można znaleźć miasto? Nie wierzę, żeby Stygijczycy kiedykolwiek przeniknęli tak daleko. Czy czarni ludzie mogli wybudować takie miasto? Nie widzę stąd na równinie, żadnych śladów upraw ani poruszających się ludzi.

— Jak mogłeś mieć nadzieję, że zobaczysz to wszystko z tej odległości? — dopytywała się.

Wzruszył ramionami i opuścił się na dół.

— No, ludzie z miasta nie mogą nam teraz pomóc, a nawet gdyby mogli, nie wiadomo, czy by chcieli. Ludy Czarnych Krain są w większości wrogie wobec obcych. Prawdopodobnie naszpikowaliby nas dzidami...

Conan przerwał i stał w milczeniu wpatrując się w szkarłatne kule pośród liści, jak gdyby zapomniał, o czym mówił.

— Dzidy! — wymamrotał. — Co za przeklęty głupiec ze mnie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Widać, jak śliczna kobieta działa na mężczyznę.

— O czym mówisz? — pytała Valeria.

Nie odpowiadając na jej pytanie zszedł do gęstwiny liści i spojrzał przez nie w dół.

Olbrzymia bestia warowała u stóp skały, obserwując turnię z przerażającą cierpliwością gadziego rodu. Tak mógł patrzeć u zarania dziejów przedstawiciel tego gatunku na ich przodków — jaskiniowców zapędzonych na wysoką skałę. Conan przeklął go bez

zapału i począł ucinąć gałęzie, sięgając i odrąbując je tak daleko, jak tylko zdołał sięgnąć. Gwałtowne poruszania liści niepokoiły potwora. Uniósł zad i tłukł swym ohydnym ogonem, łamiąc drzewka jak wykałaczkę. Conan obserwował go uważnie kątem oka i kiedy Valeria była przekonana, że potwór zaraz rzuci się znów na skałę, Cymmerianin wycofał się na występ niosąc ucięte gałęzie: trzy cienkie drzewca długie prawie na siedem stóp, ale nie grubsze od kciuka. Uciął też kilka mocnych, cienkich pędów winorośli. — Gałęzie są za lekkie na drzewce włóczni, a pnącza nie grubsze od sznurka — powiedział, wskazując na listowie wokół turni. — Nie wytrzymałyby naszego ciężaru — ale w jedności siła. Tak zwykli mówić nam, Cymmerianom Aquilońscy renegaci, kiedy przybywali w nasze góry zebrać wojska i najechać na swój własny kraj. Lecz my zawsze walczyliśmy klanami i szczepami.

— Co to do diabła ma wspólnego z tymi kijami? — dopytywała się.

— Poczekaj a zobaczysz.

Zbierając kije w jedną wiązkę, wepchnął między nie rękę swego sztyletu. Związał je razem pędami winorośli i kiedy zakończył dzieło, otrzymał włócznię niemałej mocy, o krzepkim siedmiostopowym drzewcu.

— Co dobrego tym zrobisz? — dociekała. — Mówiłeś, że ostrze nie przebije jego łusek.

— Nie ma łusek wszędzie — odparł Conan. — Jest więcej niż jeden sposób zdzierania skóry z pantery.

Podchodząc do skraju liści sięgnął włócznią i ostrożnie przeszył ostrzem jedno z

Jabłek Derkety, odchylając się w bok, by uniknąć ciemnoczerwonych kropli kapiących z przebitego owocu. Niebawem wycofał ostrze i pokazał jej błękitną stal splamioną szkarłatnoczerwonym sokiem.

— Nie wiem, czy to dokona dzieła, czy nie — powiedział. — Jest tu dość trucizny, by zabić słonia, lecz... no, zobaczymy.

Valeria podążała tuż za nim, gdy opuszczał się między listowie. Trzymając ostrożnie zatrute ostrze z daleka od siebie, Conan wychylił głowę z gęstwiny i zwrócił się do potwora:

— Na co tam czekasz, ty bękarci potomku podejrzanych moralnie rodziców? — Oto jedno z nielicznych pytań nadających się do druku. — Wystaw tu znów swój paskudny łeb, długoszyja bestio — czy też chcesz, żebym zszedł tam i kopnął cię w nieprawy krzyż?

I tak dalej — z elokwencją wprawiającą Valerię w zdumienie, mimo jej obycia z wulgarnym językiem żeglarzy. Wywarło to zamierzony wpływ na potwora. Tak jak zbyt częste ujadanie psa niepokoi i rozwściecza inne, z natury ciche zwierzęta, tak krzykliwy głos człowieka budzi strach niektórych bestii, a szaloną wściekłość innych. Nagle, z przerażającą szybkością, kolos stanął na swych potężnych tylnych łapach wyciągając szyję we wścieklej próbie dosięgnięcia tego hałaśliwego karła, którego jazgot zakłócał odwieczną ciszę prastarego królestwa.

Jednak Conan dokładnie ocenił odległość: Potężny łeb wylądował ze straszliwym trzaskiem wśród gałęzi, o jakieś pięć stóp poniżej Cymmerianina.

Potworna paszcza rozdziawiła się jak u wielkiego węża i w tej samej chwili Conan wbił włócznię w czerwone mięśnie gardzieli. Uderzył z całą siłą obu ramion, wbijając długie ostrze sztyletu po rękonoż w ciało, żyły i kości. W tej chwili szczęki zwały się konwulsyjnie, przerażając drzewce i prawie strącając Conana z wąskiej półki. Byłby spadł, gdyby stojąca za nim dziewczyna nie chwyciła go za pas. Przytrzymał się skalnego występu i rzucił jej uśmiech podziękowania.

W dole potwór tarzał się po ziemi, jak pies, któremu sypnięto pieprzem w ślepią.

Potrząsał łbem z boku na bok, tarł łapami i raz po raz otwierał paszczę na całą szerokość. Wreszcie zdołał przydepnąć drzewce olbrzymią przednią łapą i wydrzeć

ostrze. Wtedy uniósłszy tryskający krwią, rozwarły pysk, spojrzali na turnię z tak
stęzoną, inteligentną wściekłością w ślepiach, że Valeria zadrżała i dobyła miecza.

Łuski na grzbiecie i bokach potwora zmieniły kolor z rdzawobrazowego na

jaskrawoczerwony, lecz najstraszniejsze było to, że przerwał milczenie. Dźwięki, jakie wydobyły się
z jego spływającej krwią gardzieli nie przypominały niczego, co mogłoby wydać z siebie
jakikolwiek żyjące na ziemi stworzenie.

Z odrażającym, zgrzytliwym rykiem smok rzucił się na turnię, będącą cytadelą
wrogów. Raz za razem potężny łeb przebijał gęstwiny gałęzi, daremnie kłując

powietrze. Całym ciężarem niezgrabnego cielska tłukł o skałę, aż dygotała od podstawy do szczytu.
Wreszcie, stając na tylnych nogach ścisnął skałę przednimi łapami,

próbując wyrwać ją z korzeniami jak drzewo. Ten pokaz pierwotnej siły zmroził krew w żyłach
Valerii, lecz Conan sam był buski prymitywu, by odczuwać coś więcej niż pełne zrozumienia
zainteresowanie. Barbarzyńca, inaczej niż Valeria, nie widział wielkiej

różnicy między zwierzętami, a ludźmi. Dla Conana miotający się u stóp skały potwór

był zaledwie formą życia o innym kształcie zewnętrznym, lecz obdarzoną podobnymi

do ludzkich cechami charakteru. We wściekłości potwora widział odpowiednik swego

gniewu, a w rykach i charkocie tylko równoważnik przekleństw, jakimi uprzednio

obrzucił gada. Poczuwając się do pokrewieństwa ze wszystkim co dzikie, nawet ze

smokiem, nie doświadczał mdlącego przerażenia, jakie ogarnęło Valerię na widok

okrutnej bestii.

Siedział spokojnie obserwując smoka i wskazując zmiany, jakim ulegały jego głos i

ruchy.

— Trucizna zaczyna działać — powiedział z przekonaniem.

— Nie wierzę.

Valerii wydawało się niedorzecznością twierdzić, że cokolwiek choćby nie wiem jak

śmiercionośnego, mogło poskutkować na tę górę mięśni i wściekłości.

— Słysząc ból w jego głosie — stwierdził Conana. — Z początku był tylko wściekły z

powodu ukłucia w szczękę. Teraz czuje pieczenie trucziny. Patrz! Zatacza się. Za parę chwil oślepnie. No, co ci mówiłem?

Smok nagle zachwiał się i ruszył z trzaskiem przez krzaki.

— Ucieka? — dopytywała się niespokojnie Valeria.

— Idzie do sadzawki — Conan zerwał się, błyskawicznie gotów do działania. —

Truczina wywołała pragnienie. Chodź! Za chwilę będzie ślepy, ale wróci do turni po węchu i jeżeli wyczuje, że jeszcze tu jesteśmy, będzie siedział pod nią do śmierci, a jego wrzaski mogą zwabić inne smoki. Chodźmy!

— Na dół? — Valeria była przerażona.

— Pewnie! Udamy się do miasta! Mogą nam tam uciąć głowy, ale to nasza jedyna szansa. Możemy wpaść po drodze na tysiąc innych smoków, ale zostać tu, to pewna śmierć. Jeżeli będziemy czekać aż zdechnie, możemy mieć tuzin innych na karku. Za mną, szybko!

Ruszył w dół zwinnie jak małpa, przystając tylko po to, by pomóc swej mniej zręcznej towarzysze, która, dopóki nie ujrzała wspinającego się Cymmerianina, uważała że

dorównuje każdemu mężczyźnie we wspinaczce po takielunku czy po pionowych

ścianach skalnych. Zeszli w panujący pod gałęziami półmrok i cicho ześliznęli się na ziemię. Valerii zdawało się, że bicie jej serca można usłyszeć z daleka. Głośny bulgot i chłeptanie dochodzące zza gęstych krzewów wskazywały, że smok pije wodę z

sadzawki.

— Wróci, jak tylko napełni żołądek — mamrotał Conan. — Mogą upłynąć godziny, nim trucizna go zabije — o ile w ogóle zabije.

Daleko za lasem słońce opadało za horyzont. Mglisty półmrok puszczy zapełniły

czarne cienie i niewyraźne kształty. Conan chwycił Valerię za rękę i oddalał się z nią cicho od podnóża skały. Czynił mniej hałasu niż wietrzyk przelatujący wśród pni; Valerii wydawało się, że stąpanie jej butów zdradza całą puszczy ich ucieczkę,

— Nie sądzę, żeby zdołał pójść za tropem — mruczał Conan. — Ale jeśli wiatr przyniesie mu nasz zapach, może nas wywęszyć.

— Mitro, spraw by wiatr nie powiał! — wysapała Valeria. Błady owal jej twarzy

majaczył w półmroku. W wolnej ręce ścisnęła miecz, ale dotyk oprawnej w rekinią skórę rękojeści wyzwalał w niej jedynie poczucie bezsilności. Mieli jeszcze kawał drogi do skraju puszczy, kiedy usłyszeli za sobą trzask i łomot. Valeria przygryzła wargę,

tłumiąc okrzyk.

— Jest na naszym tropie! — szepnęła. Conan potrząsnął głową.

— Nie poczuł naszego zapachu na skale, więc błądzi po omacku po lesie próbując nas znaleźć. Chodź! Albo dotrzemy do miasta, albo koniec z nami! On może wyrwać każde drzewo, na które byśmy się wspięli. Jeżeli tylko nie będzie wiatru...

Skradali się, aż drzewa przed nimi zaczęły rzednąć. Puszcza stała wokół jak czarny, nieprzenikniony ocean, a w oddali błakający się smok wciąż łamał drzewa ze złowieszczym trzaskiem.

— Przed nami równina — dyszała Valeria. — jeszcze trochę i...

— Na Croma! — zaklął Conan. — Mitro! — szepnęła Valeria. Od południa zerwał się wiatr.

Przeleciał nad nimi prosto w stronę czarnej puszczy i natychmiast straszliwy ryk

wstrząsnął lasem. Beładne trzaski łamanych krzaków zmieniły się w jednostajny hałas, gdy smok ruszył jak huragan prosto ku miejscu, z którego dolatywał zapach wrogów.

— Biegiem! — warknął Conan, z oczyma płonącymi jak u wilka schwytanego w pułapkę. — Tylko to możemy zrobić!

Żeglarskie buty nie są stworzone do wyścigów, a życie pirata nie czyni go biegaczem.

Po stu jardach Valeria dyszała i zwolniła kroku, podczas gdy trzaski z tyłu przeszły w narastający łomot — potwór wydostał się z gąszczu na mniej zarośniętą przestrzeń.

Żelazne ramię Conana otoczyło kibić dziewczyny na wpół ją unosząc, tak że stopami

ledwie dotykała ziemi, pędząc z szybkością, jakiej sama nigdy by nie osiągnęła. Jeśli zdołają się utrzymać z dala od bestii, może ten zdradziecki wiato zaraz ucichnie... Lecz wiatr wiał nadal i szybkie spojrzenie przez ramię ukazało Conanowi, że potwór prawie ich dogonił, nadciągając jak galera wojenna na skrzydłach huraganu. Cymmerianin

odepchnął silnie Valerię, tak że przeleciała parę jardów łapiąc równowagę i upadła u stóp najbliższego drzewa, a sam stawił czoło pędzącej bestii. Przekonany, że wybiła

jego ostatnia godzina, Cymmerianin zachował się zgodnie ze swoją naturą; rzucił się na spotkanie potwora.

Skoczył jak ryś, ciął, poczuł, jak jego miecz wbija się głęboko w łuski ochraniające potężny pysk — i straszliwe uderzenie odrzuciło go półżywego i pozbawionego tchu o

pięćdziesiąt stóp dalej.

Cymmerianin sam nie wiedział jakim cudem stanął na nogach. W jego mózgu

zachowała się tylko jedna myśl: że tam na drodze rozpędzonej bestii leży oszołomiona i bezradna kobieta. Ze świstem wciągnął powietrze w płuca i już stał nad nią z mieczem w dłoni.

Valeria leżała tam, gdzie ją pchnął, próbując podnieść się do siedzącej pozycji. Nie tknęły jej ani straszliwe kły, ani miażdżące łapy. Conan został uderzony barkiem lub przednią łapą potwora, który pognał dalej w nagłych kurczach agonii zapominając o

niedoszłych ofiarach. Pędząc na łeb, na szyję trzasnął wreszcie nisko zwieszonym łbem o pień gigantycznego drzewa. Siła uderzenia wyrwała drzewo z korzeniami i

zmiażdżyła ukryty w niekształtnej czaszce mózg zwierzęcia. Drzewo runęło

przykrywając potwora; dwoje oszołomionych ludzi patrzyło, jak wstrząsane

konwulsjami skrytego cielska gałęzie i liście nieruchomieją zwolna.

Conan postawił Valerię na nogi i ruszył ciągnąc ją za sobą. Kilka chwil później wyszli na bezdrzewną równinę okrytą ciszą i mrokiem. Conan przystanął na chwilę i obejrzał

się za siebie. W mahoniowej głuszy nie zadrżał ani jeden liść, nie zaświergotał żaden ptak. Puszcza stała tak cicha, jak musiała być przed stworzeniem człowieka.

— Chodź — mruknął Cymmerianin biorąc dziewczynę za rękę. — Jeszcze tylko

chwilę. Jeżeli inne smoki wyjdą z lasu...

Nie musiał kończyć zdania.

Miasto zdawało się bardzo odległe, dalej, niż to wyglądało z turni.

Valerii brakło tchu, a serce łomotało jej w piersiach. Przy każdym kroku spodziewała się, że usłyszy trzask krzaków i ujrzy następnego kolosa szarżującego na nich. Jednak nic nie zakłócało ciszy.

Kiedy oddalili się o milę od lasu, Valeria odetchnęła. Powoli wracała je pogodna

pewność siebie. Słońce zaszło i równinę ogarnęła ciemność, rozjaśniana trochę przez gwiazdy zamieniające kępy kaktusów w przerażające zjawy.

— Nie ma bydła, nie ma pól uprawnych — mamrotał Conan. — Jak ci ludzie żyją?

— Może bydło zagnano na noc do zagród — sugerowała Valeria — a pola i pastwiska są po drugiej stronie miasta.

— Może — przytaknął. — Jednakże z turni nie dostrzegłem niczego takiego.

Księżyc wzeszedł nad miastem i w jego żółtej poświacie ostro odcinały się czarne kontury wież i murów. Valeria zadrżała. Dziwne, czerniejące na tle księżyca miasto wyglądało ponuro i złowrogo. Conan chyba doznał tego samego uczucia, bo stanął, rozejrzał się dookoła i szepnął:

— Zatrzymamy się tu. Nie ma sensu podchodzić do wrót po nocy; i tak by nas nie

wpuścili. Co więcej, musimy odpocząć, a nie wiemy jak nas przyjmą. Kilka godzin snu i będziemy w lepszej formie do walki lub ucieczki. Podszedł do kępy kaktusów

tworzących okrąg — zjawisko częste na pustyniach południa. Wyciął mieczem przejście i gestem zachęcił Valerię do wejścia.

— Przynajmniej będziemy tu bezpieczni przed wężami. Valeria spojrzała ze strachem na odległą o prawie sześć mil, czarną linię puszczy.

— A jeśli smok przyjdzie z lasu?

— Będziemy trzymać straż — odparł, chociaż nie czynił żadnych propozycji, co zrobić w takim wypadku. Spojrzał na wznoszące się kilka mil dalej miasto.

Nawet promyk światła nie błyskał na wieżach i blankach. Wznosiło się pod gwiazdzistym niebem jak ogromna, czarna bryła tajemnicy.

— Kładź się i śpij. Ja będę czuwał pierwszy.

Valeria zawahała się, patrząc na niebo niepewnie, ale Conan już usiadł w przejściu ze skrzyżowanymi nogami i mieczem na kolanach, zwrócony twarzą ku równinie, a

plecami do niej. Bez zbędnych uwag położyła się na piasku wewnątrz kolczastego kręgu.

— Obudź mnie, kiedy księżyc będzie w zenicie — nakazała. Cymmerianin nie odpowiedział i nie spojrział w jej stronę.

Zapadła w sen zabierając pod powiekami obraz jego muskularnej postaci, przypominającej wykuty w brązie posąg, wznoszący się na tle rozgwieźdzonego nieba.

2

Valeria obudziła się nagle i stwierdziła, że nad równiną wstaje szary świt. Usiadła, trąc oczy, Conan przykucnął przy kaktusie, odcinając grube liście i sprawnie wrywając kolce.

— Nie obudziłeś mnie — powiedziała oskarżycielsko. — Pozwoliłeś mi spać przez całą noc!

— Byłaś zmęczona — odparł. — I z pewnością bolała cię tylna część ciała po tak długiej jeździe. Wy, piraci nie jesteście przyzwyczajeni do końskiego grzbietu.

— A ty?

— Zanim zostałem piratem byłem kozakiem — odparł.

— Oni żyją w siodle. Ja ucinam sobie drzemki jak pantera czekająca przy ścieżce na przechodzącego jelenia. Kiedy moje oczy śpią, uszy czuwają.

Rzeczywiście, olbrzymi barbarzyńca wyglądał tak świeżo, jakby przespał całą noc na złożonym łóżku. Usunął kolce, obrał grubą skórę i podał dziewczynie mięsisty, soczysty liść.

— Zjedz go. To pokarm i woda ludzi pustyni. Kiedyś byłem wodzem Zuagirów — koczowników zajmujących się grabieniem karawan.

— Jest coś, czego nie robiłeś? — pytała Valeria na wpół kpiąco, na wpół z podziwem.

— Nigdy nie władałem hyboreańskim królestwem — wyszczerzył zęby w uśmiechu, odgryzając potężny kęs kaktusa — chociaż śniło mi się to. Może któregoś dnia zostanę królem... Dlaczego by nie?

Potrząsnęła głową podziwiając jego chłodne zuchwalstwo i zaczęła pochłaniać swoją porcję kaktusa. Okazał się niezły w smaku i pełen orzeźwiającego, gaszącego pragnienie soku. Kończąc posiłek Conan wytarł ręce w piasek, wstał, przyglądził palcami swą gęstą, czarną grzywę, podciągnął pas i rzekł:

— No — chodźmy. Jeżeli ludzie w tym mieście mają poderżnąć nam gardła, równie dobrze mogą to zrobić teraz, nim zaczniesz się skwar.

Jego czarny humor był mimowolny, lecz Valerię olśniła myśl, że mógł być proroczy.

Wstając również podciągnęła pas z mieczem. Wczorajszy strach minął. Ryczące smoki odległego lasu zdawały się niewyraźnym snem. Buńczucznie stawiała stopy idąc obok Cymmerianina. Jakiegokolwiek niebezpieczeństwa na nich oczekiwały, ich wrogami będą ludzie. A Valeria z Czerwonego Braterstwa nie widziała jeszcze twarzy człowieka, którego by się obawiała. Conan popatrzył na nią gdy tak szła dziarskim krokiem, podobnym do jego stąpania.

— Idziesz jak góral, nie jak żeglarz — powiedział. — Musisz być Aquilonką. Słońce Derfaru nie przybrązowiło twej białej skóry. Wiele księżniczek mogłoby ci tego pozazdrościć.

— Pochodzę z Aquilonii — odparła. Jego komplementy już jej nie irytowały. Wyraźny podziw, jakim ją obdarzał sprawiał jej przyjemność. I nie wykorzystał swej przewagi, jaką uzyskał, gdy Valeria okazała swój strach i słabość. Ostatecznie — pomyślała

— Conan nie jest zwykłym mężczyzną.

Słońce weszło nad miastem, oblewając jego wieże złowieszczym szkarłatem.

— W nocy czarne na tle księżyca — mamrotał Conan z oczami zasnutymi mgłą barbarzyńskich przesądów — i krwawoczerwone jak ponura groźba w porannym słońcu. Nie podoba mi się to miasto.

Pomimo to podążali ku jego murom, a gdy szli, Conan zwrócił uwagę na fakt, że

żadna droga nie wiodła do miasta od pomocy.

— Nie ma śladów bydlą po tej stronie miasta — rzekł — i od lat, a może od wieków żaden lemiesz nie tknął tej ziemi. Patrz

— jednak kiedyś ją uprawiali.

Valeria zobaczyła prastare rowy nawadniające, które wskazywał, miejscami na pół zasypane i zarośnięte kaktusami. Zmarszczyła brwi, zatroskana, wodząc oczyma po rozciągającej się na wszystkie strony równinie, otoczonej ginącym w oddali lasem.

Spojrzała niechętnie na miasto. Na blankach nie widać było błyszczących hełmów i grotów włóczni, nie zagrzmiały trąby, z wież nie ozwały się krzyki straży. Nad murami i basztami wisiała głucha cisza.

Słońce było wysoko na niebie, gdy stanęli przed wielką bramą po północnej stronie miasta. Rdza upstrzyła żelazne wiązania potężnego portalu z brązu, a na zawiasach, progu i zaryglowanych wrotach srebrzyły się gęste pajęczyny.

— Te wrota nie były otwierane od lat! — wykrzyknęła Valeria.

— Martwe miasto — przytaknął Conan. — Dlatego rowy są zasypane, a ziemia leży odłogiem.

— Ale kto je zbudował? Kto tu mieszkał? Dlaczego je opuszczono?

— Kto wie? Może wybudował je klan wygnanych Stygijczyków. Może nie. To nie wygląda na stygijską architekturę. Może ludność została wybita przez wrogów, a może wymarła od zarazy...

— W takim razie kurz i pajęczyna nadal pokrywają ich skarby — odpowiedziała Valeria, w której obudził się instynkt posiadania — nieodłączna cecha jej profesji — potęgowany przez kobiecą ciekawość.

— Czy można otworzyć bramę? Wejdźmy i rozejrzyjmy się trochę.

Conan popatrzył z powątpiewaniem na masywny portal, lecz oparł swe mocarne

ramię o wrota i pchnął ile sił w udach i łydkach. Brama uchyliła się opornie z

przeraźliwym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Conan wyprostował się i dobył

miecza. Valeria zagładnęła mu przez ramię i krzyknęła ze zdziwienia. Nie spoglądali na ulicę czy dziedziniec, tak jak można by się spodziewać. Otwarta brama, czy też raczej drzwi, prowadziły prosto do długiego, szerokiego holu, ciągnącego się coraz dalej i

dalej, by wreszcie zginać w półmroku. Gigantycznych rozmiarów sala miała podłogę z

kwadratowych płyt dziwnego, czerwonego kamienia, który wydawał się płonąć

przytłumionym blaskiem płomieni. Ściany wykonano z błyszczącego, zielonego

budulca.

— Niech będę Shemitą, jeśli to nie nefryt! — zaklął Conan.

— Nie w takiej ilości — protestowała Valeria.

— Ograbiłem dość karawan z Khitanu by wiedzieć, co mówię — zapewniał. — To nefryt!

Łukowate sklepienie z lapis lazuli wyłożone było niezliczonymi ilościami wielkich

kamieni, błyszczących jadowito zieloną poświatą.

— Zielone kamienie ognia — mruknął Conan. — Tak nazywa je lud Puntu. Uważa się

je za skamieniałe oczy tych prehistorycznych węży, które starożytni nazywali Złotymi Żmijami. Płoną w ciemnościach jak kocie ślepia. W nocy rozświetliłyby cały hol, ale

byłoby to piekielnie posępne oświetlenie. Rozejrzyjmy się trochę. Może znajdziemy

jakąś skrytkę z klejnotami.

— Zamknij drzwi — doradziła Valeria. — Nie bardzo bym chciała ścigać się ze smokiem w tym holu.

Conan roześmiał się i odparł:

— Nie wierzę, by smoki w ogóle wychodziły z lasu. Jednak usłuchał rady i wskazał na złamany rygiel po wewnętrznej stronie drzwi.

— Zdawało mi się, że słyszałem jak coś pęka, kiedy je pchnąłem. Spójrz: ten rygiel

jest świeżo złamany. Rdza prawie go przeżarła. Gdyby ludzie uciekli, po co ryglowaliby drzwi od wewnątrz?

— Zapewne wyszli przez inną bramę — sugerowała Valeria. Zastanawiała się, ile wieków upłynęło od chwili, gdy po raz ostatni światło dnia wpadło otwartą bramę do tego wielkiego holu. Światło słoneczne docierało tu jednak jakimś sposobem i szybko wykryli jego źródło. Wysoko, w wygiętym sklepieniu wybito otwory osadzając w nich przezroczyste tafle jakiejś krystalicznej substancji. W plamach cienia między nimi mrugały zielone klejnoty błyszczące jak oczy rozłoszczonych kotów. Czerwona posadzka pod stopami płonęła posępnie wszystkimi odcieniami płomieni. Dwoje ludzi wędrowało jakby dnem piekieł, mając nad głową migoczące upiornie gwiazdy. Po każdej stronie holu biegły, jeden nad drugim, trzy krużganki.

— Czteropiętrowy dom — mruknął Conan. — A ten hol sięga aż po dach i jest długi jak ulica. Wydaje mi się, że widzę bramę na drugim końcu.

Valeria wzruszyła białymi ramionami.

— Wobec tego twoje oczy są lepsze od moich, choć znana jestem wśród korsarzy z sokolego wzroku.

Weszli w pierwsze lepsze drzwi i przekroczyli kilka pustych komnat o posadzkach takich jak w holu, o ścianach z zielonego nefrytu, marmuru, kości słoniowej lub chalcedonu, wyłożonych brązem, srebrem lub złotem. W sufitach osadzono zielone kamienie ognia, a ich blask był upiorny i mamiący, tak jak to Conan powiedział. W ich magicznej poświacie dwoje intruzów wyglądało jak widma. Niektóre pomieszczenia nie miały takiego oświetlenia i drzwi do nich ziały ciemnością jak Wrota Piekieł. Conan i Valeria unikali takich komnat, trzymając się zawsze tych oświetlonych.

W kątach wisiały pajęczyny, lecz nie widać było nawet śladu kurzu na posadzce ani na wypełniających komnaty stołach i stolcach z marmuru, nefrytu czy kornelianu. Tu i ówdzie leżały dywany z jedwabiu znanego jako khitański, który jest praktycznie

niezniszczalny. Nigdzie jednak nie znaleźli okien ani drzwi wychodzących na ulicę lub dziedzińce. Każde przejście prowadziło jedynie do następnej komnaty lub holu.

— Dlaczego nie wychodzimy na ulicę — utyskiwała Valeria. — Ten pałac, czy co to jest, musi być wielki jak seraj władcy Turanu.

— Nie mogli wymrzeć od zarazy — powiedział Conan medytując nad tajemnicą opustoszałego miasta. — Inaczej znaleźlibyśmy szkielety. Może to miejsce jest nawiedzone i wszyscy stąd uciekli. Może...

— Może, do, diabła! — przerwała mu szorstko Valeria.

— Nigdy się nie dowiemy. Patrz na te fryzy — ukazują ludzi. Do jakiej rasy oni należą?

Conan popatrzył uważnie i potrząsnął głową.

— Nigdy nie widziałem takich ludzi. Ale mają w sobie coś wschodniego: może Vendhya albo Kosala.

— Byłeś królem Kosah? — zapytała, kpinią kryjącą zainteresowanie.

— Nie, ale byłem wodzem wojennym Afghulisów żyjących w górach Himelii przy granicach Vendhyi. Ci ludzie na freskach przypominają Kosalańczyków. Tylko po co Kosalańczycy mieliby budować miasto tak daleko na zachodzie?

Sceny przedstawiały szczupłych, oliwkowych mężczyzn i kobiety o delikatnie rzeźbionych, egzotycznych rysach. Wszyscy nosili cienkie tuniki i wysadzone kamieniami ozdoby, a ukazani byli głównie w tańcu, zabawie i miłości. — To na pewno ludzie ze wschodu — powtórzył Conan.

— Lecz nie wiem skąd. Musieli wieść nieprzyzwoicie spokojne życie, inaczej nie brakowałoby tu obrazów wojen i walk. Wejźmy po tych schodach.

Kręte schody ze słoniowej kości prowadziły w górę. Minęli trzy kondygnacje i doszli do obszernej komnaty na czwartym, prawdopodobnie ostatnim piętrze budynku. Przez

otwory w suficie padało światło i kamienie ognia lśniły bladawo, przyćmione jego blaskiem. Zaglądając w drzwi znajdowali kolejne, podobnie oświetlone komnaty. Tylko jedne drzwi prowadziły na otaczający hol krużganek, o wiele mniejszy od tego, który niedawno odkryli na dole.

— Niech to wszyscy diabli! — zniesmaczona Valeria usiadła na nefrytowej ławie. —

Opuszczając miasto mieszkańcy musieli zabrać wszystkie skarby ze sobą. Mam dość tego błąkania się po pustych pokojach.

— Wygląda na to, że wszystkie górne komnaty są oświetlone — rzekł Conan. —

Chciałbym, żebyśmy znaleźli okno z widokiem na miasto. Zobaczymy, co jest za tamtymi drzwiami.

— Sam zobacz — doradziła Valeria. — Ja tu posiedzę i dam odpocząć nogom.

Conan zniknął w drzwiach znajdujących się naprzeciw tych, które wiodły na

krużganek, a Valeria oparła się o ścianę z dłońmi splecionymi pod głową i wyciągnęła przed siebie nogi Ciche komnaty i przedsionki o świecących zielono powalach i

płonących krwawo podłogach zaczęły działać na nią przygnębiająco, Chciałaby, żeby znaleźli wyjście z labiryntu, w jaki się zagłębiali i wyszli na ulicę.

Zastanawiała się leniwie, czyje ciemne stopy stąpały ukradkiem po tych płonących posadzkach w minionych wiekach, na ile okrutnych i tajemniczych czynów spoglądały mrugające na sufitach klejnoty, gdy cichy dźwięk wyrwał ją z rozmyślań. Z mieczem w dłoni, zerwała się na równe nogi nim jeszcze uświadomiła sobie, co ją zaniepokoiło.

Conan nie wrócił i wiedziała, że to nie jego usłyszała.

Dźwięk dobiegał gdzieś spoza drzwi wiodących na krużganek.

Prześliznęła się przez nie bezszelestnie na miękkich, skórzanych podszwach, podkradła się do balustrady i zerknęła między grubymi słupkami.

PRZEZ HOL SKRADAŁ SIĘ CZŁOWIEK!

Widok ludzkiej istoty w mieście uznanym za opustoszałe był dla Valerii gwałtownym wstrząsem. Przyczajona za kamiennymi balaskami spoglądała na skradającą się postać, czując nerwowe mrowienie na całym ciele. Mężczyzna nie przypominał postaci ukazanych na ścianach. Nieco' więcej niż średniego wzrostu, o ciemnej, lecz nie czarnej skórze, nagi, jeśli nie liczyć skąpej jedwabnej przepaski częściowo tylko okrywającej biodra i szerokiego, skórzanego pasa wokół wąskiej talii. Długie, czarne włosy zwisały mu prostymi pasmami do ramion, nadając dziki wygląd. Wychudłe ciało znaczyły jednak sznury i węzły mięśni na ramionach i nogach pozbawionych miękkiej tkanki, zapewniającej przyjemną symetrię konturów. Ekonomiczna budowa jego ciała sprawiała niemal odrażające wrażenie, lecz na Valerii większe wrażenie wywarło jego zachowanie niż wygląd zewnętrzny. Przemykał się chyłkiem, skulony, i rozglądał się na boki. W prawej ręce — jak widziała — drżącej z emocji, ścisnął miecz o szerokim ostrzu. Był przerażony, wprost trząsł się ze strachu. Gdy obrócił głowę pochwyciła błysk oszalałych oczu pod spadającymi na czoło pasmami czarnych włosów.

Nie widział jej. Prześliznął się na palcach przez hol i zniknął w otwartych drzwiach. W chwilę później Valeria usłyszała zduszony krzyk i znów zapadła cisza. Zżerana przez ciekawość dziewczyna przekradła się galerią, aż dotarła do drzwi znajdujących się piętro wyżej od tych, w które wszedł człowiek. Prowadziły na inny, mniejszy krużganek otaczający sporą komnatę na trzecim piętrze, której sufit znajdował się niżej niż strop holu. Oświetlały ją tylko kamienie ognia; ich upiorny, zielony blask zostawiał przestrzeń pod galerią w cieniu.

Valeria otworzyła szeroko oczy. Człowiek, którego widziała, był jeszcze w komnacie. Leżał twarzą w dół na ciemnoczerwonym dywanie pośrodku komnaty. Ręce miał szeroko rozrzucone a ciało wiotkie. Zakrzywiony miecz leżał obok.

Zastanawiała się, dlaczego tak leży bez ruchu. Popatrzyła na dywan i zmrużyła oczy. Materiał dookoła leżącego miał nieco inną barwę. — żywszą i bardziej szkarłatną. Drżąc lekko przycupnęła za balustradą, intensywnie wpatrując się w cień pod otaczającą pokój galerią, lecz nie dostrzegła niczego. Nagle pojawiła się druga postać ponurego dramatu. Podobny do pierwszego, mężczyzna wszedł drzwiami naprzeciw. Jego oczy

zabłyły na widok człowieka na podłodze i powiedział jasnym, wyraźnym głosem coś, co zabrzmiało jak „Chicmec!”. Leżący nie poruszył się.

Człowiek podszedł do niego szybko, pochylił się i chwyciwszy za ramię obrócił leżącego. Wydał zduszony krzyk, gdy głowa leżącego opadła bezwładnie w tył, odsłaniając poderżnięte od ucha do ucha gardło. Mężczyzna upuścił ciało na zalany krwią dywan i skoczył na równe nogi, dygocząc jak liść na wietrze, z twarzą popielatą ze strachu. Nagle zamarł w pół ruchu, nieruchomy jak posąg, patrząc rozszerzonymi oczami w drugi koniec komnaty.

W cieniu pod balkonem pojawił się dziwny blask; poświata nie pochodząca z kamieni ognia. Valeria czuła, jak włosy stają jej na głowie, gdy na to patrzyła. Ledwie widoczna w pulsującej poświacie unosiła się ludzka czaszka i z tej właśnie czaszki — ludzkiej, lecz przerażająco niekształtnej — wydawało się emanować upiorne światło. Wisiała w powietrzu jak odcięta od szkieletu, wywołana z mroku i cieni tajemnym zaklęciem, coraz lepiej widoczna, ludzka i nieludzka zarazem. Człowiek stał bez ruchu, jak uosobienie skamieniałego przerażenia, wpatrując się uporczywie w zjawę. Ta ruszyła ku niemu rzucając groteskowy cień. Zwolna cień dał się poznać jako podobna do człowieka postać, której nagi korpus i członki świeciły blado jak pobielające kości. Naga czaszka na jej ramionach patrzyła pustymi oczodołami na człowieka niezdolnego oderwać od niej spojrzenia. Wojownik stał milcząc, miecz kołysał się w jego pozbawionych czucia palcach, a na twarzy malował się wyraz hipnotycznego oszołomienia.

Valeria uświadomiła sobie, że to nie tylko strach sparaliżował mężczyznę. Jakaś piekielna właściwość pulsującego światła pozbawiła go zdolności myślenia i działania. Nawet bezpieczna powyżej dziewczyna czuła skiby napór nieznannej siły zagrażającej zdrowym zmysłom. Zjawa sunęła w kierunku swej ofiary i ta poruszyła się wreszcie; człowiek upuścił miecz i padł na kolana, zakrywając oczy rękami. Otępiały, oczekiwał

ciosu ostrza błyszczącego teraz w ręce widma, stojącego nad nim jak tryumfująca nad ludzkością śmierć.

Valeria zachowała się zgodnie ze swą nieobliczalną naturą. Jednym tygrysim skokiem przesadziła balustradę i zeskoczyła na posadzkę za przerażającą postacią. Na głuchy łoskot miękkich butów na podłodze zjawa odwróciła się, lecz w tej samej chwili proste ostrze opadło i dzika radość napełniła Valerię, gdy poczuła, że miecz rozcina śmiertelne ciało i twarde kości.

Zjawa krzyknęła bełkotliwie i padła, rozcięta od barku po mostek. Płonąca czaszka potoczyła się po posadzce, odsłaniając czarny wiecheć prostych włosów i ciemnoskórą twarz, wykrzywioną w agonii. Pod przerażającą maską ukrywała się ludzka istota — mężczyzna podobny do klęczącego biernie na dywanie. Ten ostatni na odgłos ciosu i okrzyk uniósł głowę; zdumiony, spoglądał teraz oszalałym wzrokiem na kobietę o białej skórze, stojącą nad trupem z okrwawionym mieczem w dłoni. Wojownik wstał chwiejnie, bełkocząc coś, jak gdyby ten widok pozbawił go rozsądku. Valeria ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że go rozumie. Mówił po stygijsku, chociaż nieznanym jej dialektem.

— Kim jesteś? Skąd przybyłaś? Co robisz w Xucholt? — nie czekając na odpowiedź ciągnął pospiesznie. — Obojętnie czy boginią, czy demonem, jesteś mi przyjacielem!

Zabiłaś Płonącą Czaszkę! A jednak to tylko człowiek skrywał się pod nią! Sądziliśmy, że to demon, którego oni wywołali z katakumb. Słuchaj!

Gwałtownie urwał swoje bełkotliwe okrzyki i nasłuchiwał. Dziewczyna nic nie słyszała.

— Musimy się spieszyć — szepnął. — Oni są na zachód od Wielkiej Sali! Mogą być wszędzie dookoła! Może już się do nas podkradają!

Chwycił jej ramię kurczowym chwytem, z którego z trudem się wyrwała.

— Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”? — odpytywała się. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, jakby nie mógł pojąć jej ignorancji.

— Oni? — wyjąkał niewyraźnie — No... ludzie z Xotalanc! To klan męzczyzny, którego zabiłaś. Mieszkają przy wschodniej bramie.

— Chcesz powiedzieć, że to miasto jest zamieszkałe? — zakrzyknęła.

— Tak! Tak! — kręcił się niespokojnie. — Chodźmy sąd! Chodź szybko! Musimy wracać do Tecuhtli!

— Gdzie to jest? — spytała.

— To dzielnica przy zachodniej bramie! — Znów chwycił ją za rękę i ciągnął w stronę drzwi, którymi przyszedł. Wielkie krople potu spływały mu po ciemnym czole, a w oczach widniał strach.

— Zaczekaj chwilę! — warknęła wyrywając się — z uścisku. — Trzymaj ręce przy sobie albo rozłupię ci czaszkę. O co tu chodzi? Kim jesteś? Gdzie mamy iść?

Wziął się w garść i rzucając spojrzenia na boki zaczął mówić tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą.

— Nazywają mnie Techotl. Jestem z Tecuhtli. Ja i ten człowiek, który leży z przeciętym gardłem. Przyszliśmy do Sal Ciszy by zasadzić się na Xotalancan.

Rozdzieliliśmy się i kiedy tu wróciłem, zastałem go nieżywego. Wiem, że zrobiła to Płonąca Czaszka; tak samo zarzęłaby mnie, gdybyś się nie zjawiła. Jednak on nie mógł być sam; Inni Xotalancanie mogą się tu skradać! Nawet bogowie wzdragają się przed losem tych, którzy wpadną żywcem w ich ręce!

Na samą myśl zatrzęsł się jak w febrze, a jego skóra stała się szaropopielata. Valeria zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Czuli, że w tych bajdurzeniach jest jakiś sens, ale nie potrafiła go odnaleźć. Odwróciła się do czaszki nadal świecącej i pulsującej na

posadzce zamierzając ją kopnąć obutą stopą, gdy człowiek zwący siebie Techotlem podskoczył ku niej z krzykiem.

— Nie dotykaj jej! Nawet nie patrz na nią! W niej ukrywa się szaleństwo i śmierć.

Magowie Xotalanc zrozumieli jej sekret. Znaleźli ją w katakumbach, gdzie spoczywają kości straszliwych królów rządzących Xuchotl w minionych, czarnych wiekach. Widok jej mrozi krew i niszczy umysł człowieka, który nic nie pojmuje jej tajemnicy; Jej dotknięcie powoduje szaleństwo i zgubę,

Nie wiedząc, co czynić, popatrzyła na niego groźnie. Nie wzbudzał zaufania ze swą szczupłą, muskularną sylwetką i gwałtownymi ruchami. W jego oczach oprócz błysku przerażenia migotał upiorny płomień, jakiego nigdy nie widziała w oczach zdrowego człowieka. Mimo to jego protesty wyglądały na szczerze.

— Chodź! — prosił, wyciągając rękę i cofając ją, gdy przypomniał sobie jej ostrzeżenie. — Jesteś tu obca. Nie wiem skąd się tu wzięłaś, lecz czy jesteś boginią czy demonem, chodź pomóc Tecuhtli, a dowiesz się wszystkiego o co mnie pytałaś. Musisz być zaa wielkiej puszczy, skąd przybyli nasi przodkowie. Jesteś przyjacielem, inaczej nie zabiłabyś mojego wroga. Chodź prędko, nim Xotalancanie znajdą nas i zabiją!

Valeria odwróciła wzrok od jego odpychającej, roznamiętnionej twarzy ku złowrogiej czaszce jarzącej się na posadzce obok trupa. Niewątpliwie ludzka, lecz niepokojąco zdeformowana i nieproporcjonalna, wyglądała jak twór sennego koszmaru. Istota, do której należała, musiała być potworna i odrażająca za życia. Życia? Sama czaszka zdawała się żyć własnym życiem. Szczęki rozwarły się nagle i zamknęły z kłapnięciem.

Poświata stawała się jaśniejsza, pulsowała szybciej i niepokojące uczucie stawało się również silniejsze; to sen, całe życie jest snem...

Ponaglający głos Techotla wyrwał Valerię z mrocznych czeluści w jakie zdawała się zapadać.

— Nie patrz na czaszkę! Nie patrz na czaszkę! — dobiegał ją krzyk jak z nieprzebytych pustkowi.

Valeria otrząsnęła się, tak jak lew wstrząsa grzywą i znów ujrzała wszystko wyraźnie.

Techotl terkotał:

— Za życia kryły mózg strasznego króla magów! Wciąż drzemie w niej życie i magiczna siła!

Zwinnie jak pantera, Valeria skoczyła z przekleństwem i czaszka rozprysnęła się na tysiąc kawałków pod ciosem jej miecza. W tej samej chwili gdzieś w komnacie, a może w niejasnych głębiach jej świadomości, zabrzmiał głuchy, nieludzki krzyk bólu i wściekłości. Ręka Techotla wpijała się w ramię dziewczyny, a on sam bełkotał:

— Strzaskałaś ją! Zniszczyłaś! Cała mroczna wiedza Xotalacan jej nie wskrzesi! Chodź stąd! Chodź stąd szybko!

— Nie mogę — protestowała. — Mam tu gdzieś przyjaciela...

Błysk w jego oczach sprawił, że zatrzymała się w pół zdania — spoglądał przez ramię z upiornym grymasem na twarzy. Odwróciła się akurat w chwili, gdy czterech mężczyzn wpadło różnymi drzwiami do komnaty pędząc ku stojącej na środku dywanu parze.

Byli podobni do tych, których już widziała, a takich samych prostych kruczoczarnych włosów, z węzłami mięśni na wychudłych kończynach i szaleństwem w otwartych szeroko oczach. Strojem i uzbrojeniem nie różnili się od Techotla, jedynie tym, że na piersiach każdego z nich widniała namalowana biała czaszka.

Bez wyzwisk i bojowych okrzyków Xotalancanie rzucili się wrogom do gardeł, jak oszalałe z żądz krwi tygrysy. Techotl stawiał im czoła z furją rozpacz. Uniknął ciosu szerokiego ostrza i zwarłszy się z napastnikiem pociągnął go na posadzkę, gdzie toczyli się bez słowa w morderczym zmaganiu.

Pozostali trzej runęli na Valerię, a ich posępne oczy nabiegły krwią jak ślepią wściekłych psów. Zabiła pierwszego, który znalazł się w zasięgu jej meczy nim zdążył zadać cios. Długie, proste ostrze rozłupało mu czaszkę w chwili, gdy podniósł swój miecz do ciosu. Uskoczyła przed pchnięciem drugiego napastnika, jednocześnie parując cięcie trzeciego. W oczach miała groźny błysk, a na wargach bezlitosny

uśmiech. Znów była Valerią z Czerwonego Braterstwa i świst stan' brzmiał w jej uszach jak pieśń weselna.

Miecz Valerii ominął gardę przeciwnika i wbił się na sześć cali w osłonięty skórzany pasem brzuch. Mężczyzna padł na kolana z jękiem agonii, ale jego wysoki towarzysz

natarł wściekle, uderzając raz po raz z taką furją, że Valeria nie miała możliwości

zadania ciosu. Cofała się z zimną rozwagą, parując uderzenia i czekając na okazję, by wymierzyć śmiertelne pchnięcie. Nie będzie mógł długo utrzymać tego huraganu

ciosów — myślała. Jego ramię osłabnie, zabraknie mu tchu; zmęczy się i ustanie, a

wtedy jej ostrze gładko wbije się w jego serce. Zerkając w bok ujrzała Techotla

klęczącego na piersi przeciwnika i starającego się oswobodzić rękę uzbrojoną w

sztylet. Pot perlił się na czole jej napastnika, a jego oczy płonęły jak węgle. Wyteżając wszystkie siły nie był w stanie przełamać ani osłabić jej obrony. Zaczął dyszeć

spazmatycznie i jego ciosy padały nieskładnie. Valeria odskoczyła w tył by wytrącić go z równowagi — i jej nogi znalazły się w stalowym uścisku. Zapomniała o rannym

napastniku.

Klęcząc aa posadzce, raimy przytrzymał ją obejmując oburącz uda, a jego

towarzysz zarechotał z tryumfem i począł zachodzić ją z lewej strony. Valeria szarpała się i wrywała — daremnie. Mogła oswobodzić się z niebezpiecznego uścisku jednym

cięciem miecza, ale w tej chwili zakrzywiona klinga wysokiego wojownika strzaskałaby jej czaszkę. Ranny, jak dzika bestia, wbił zęby w nagie udo dziewczyny.

Valeria sięgnęła lewą ręką i chwyciwszy za długie włosy pociągnęła głowę rannego w

tył, tak że uniósł w górę twarz błyskając białymi zębami i tocząc błędnym spojrzeniem.

Wysoki napastnik krzyknął dziko i doskoczył wymierzając z całej siły wściekły cios.

Dziewczyna niezręcznie odparowała cios i ostrze spadło na płask uderzając ją w głowę, aż zobaczyła wszystkie gwiazdy. Zachwiała się, a napastnik wzniósł ponownie miecz

wydając głuchy, zwierzęcy okrzyk tryumfu. Wtedy wyłoniła się za nim gigantyczna

postać i stal opadła z piorunującą szybkością, Okrzyk wojownika urwał się nagle a on sam padł jak wół pod toporem rzeźnika, z mózgiem tryskającym z czaszki rozplątanej

aż po gardziel.

— Conan! — wydyszała Valeria. W porycie pasji zwróciła się ku Xotalancaninowi, którego długie włosy nadal ścisnęła w lewej ręce. — Do piekła, psie!

Jej меч świsnął przecinając powietrze zamaszystym łukiem i bezgłowe ciało upadło ciężko, tryskając krwią. Cisnęła przez komnatę odrąbaną głowę.

— Co się tu dzieje, do diabła? — Conan ze swoim szerokim mieczem w dłoni obszedł ciało człowieka, którego zabił, spoglądając na niego ze zdumieniem.

Krwawiący z głębokiej rany w udzie Techotl podniósł się znad wijącego się w agonii ciała ostatniego z Xotalancan, strząsając czerwone krople z ostrza sztyletu. Patrzył na Conana rozszerzonymi oczyma.

— Co to wszystko znaczy? — dopytywał się Conan. Jeszcze nie otrząsnął się ze zdziwienia w jakie wpadł znalazłszy Valerię wplątaną w dziką bitwę z tymi dziwnymi mieszkańcami mis które uznał za opuszczone. Kiedy wrócił z bezowocnej wyprawy do górnych komnat i stwierdził, że Valerii nie ma w miejscu gdzie ją pozostawił, ruszył w kierunku z jakiego dochodziły odgłosy utarczki,

— Pięć martwych psów! — wykrzyknął Techotl z oczami płonącymi upiorną radością.

— Pięciu zabitych! Pięć krwawych ówieków dla Czarnej Kolumny! Bogom krwi niech będą dzięki!

Podniósł w górę drżące ręce, a potem ze zwierzęcym grymasem na twarzy począł pluć na zwłoki i kopać je, tańcząc z niesamowitej radości. Nowi sprzymierzeńcy spoglądali na niego ze zdumieniem.

— Kim jest ten szaleniec? — zapytał Conan po aquilońsku.

Valeria wzruszyła ramionami.

— Mówi, że na imię ma Techotl. Z jego bełkotania zrozumiałam tylko, że jego lud mieszka na jednym końcu tego zwariowanego miasta, a tamci — wskazała ruchem

głowy na leżących — na drugim. Chyba lepiej będzie pójść z nim. Wydaje się przyjaźnie nastawiony, a jak łatwo zauważyć, ci z drugiego klanu nie powitali nas miło.

Techotl przestał tańczyć i znów nasłuchiwał jak pies, z głową przechyloną na bok. Na jego odrażającej twarzy strach mieszał się z tryumfem.

— Chodźcie stąd... Natychmiast! — szepnął. — Dosyć zrobiliśmy! Pięć martwych psów! Mój lud powita was z radością! Uhonoruje was! Chodźcie! Do Tecuhlti jest daleko. W każdej chwili Xotalancanie mogą nadejść w liczbie zbyt wielkiej nawet dla waszych mieczy!

— Prowadź — zgodził się Conan.

Techotl skierował się natychmiast ku schodom wiodącym na krużganek, dając wędrowcom znak, by poszli w jego ślady. Ruszyli spiesznie trzymając się tuż za nim. Osiągnąwszy galerię zanurzyli się w prowadzące na zachód korytarze i szybko przemierzali komnatę za komnatą, wszystkie oświetlone światłem zielonych kamieni lub padającym przez otwory w sufitach.

— Ciekawe, co to za lud — zamruczała pod nosem Valeria.

— Crom wie! — odparł Conan. — Widziałem już jednak takich jak on. Zamieszkują brzegi jeziora Zuad, blisko granicy Kuch. Są mieszańcami Stygijczyków i innej rasy, która przywędrowała do Stygii ze wschodu kilkaset lat temu i została przez nich wchłonięta. Nazywają siebie Hazitlanami. Gotów jestem jednak się założyć, że to nie oni wybudowali to miasto.

Mimo iż oddalali się od komnaty, gdzie leżeli zabici, przestach Techotla wcale nie wydawał się zmniejszać. Ustawicznie obracał głowę nasłuchując odgłosów pościgu i wpatrywał się z napiętą uwagą w każde drzwi, które mijali.

Valeria drżała mimowolnie. Nie obawiała się żadnego człowieka, lecz posępna posadzka pod stopami, niesamowity blask zielonych kamieni, przyczajone w kątach

cienie i przerażenie milczącego przewodnika napelniały ją dziwnym lękiem i poczuciem zagrożenia.

— Mogą być między nami a Tecuhtli! — szepnął Techotl. — Musimy się wystrzeżać, bowiem mogą czekać w ukryciu!

— Dlaczego nie wyjdziemy z tego piekielnego pałacu i nie pójdziemy ulicami? — dopytywała się Valeria.

— Nie ma ulic w Xuchotl — odparł — ani placów, ani dziedzińców. Całe miasto zbudowane jest jak olbrzymi pałac, pod jednym wielkim dachem. Najbardziej podobna do ulicy jest Wielka Sala, ciągnąca się od północnej bramy do południowej. Jedyna droga na zewnątrz wiedzie przez bramy miasta, ale od pięćdziesięciu z górą lat nie przeszedł przez nie żaden człowiek.

— Od jak dawna mieszkacie tutaj? — spytał Conan.

— Urodziłem się w zamku Tecuhtli trzydzieści pięć lat temu. Nigdy nie postawiłem stopy poza murami miasta. Na litość boską — bądźmy cicho! Te sale mogą być pełne ukrytych wrogów. Olmec opowie wam wszystko, gdy dotrzemy do Tecuhtli.

Tak więc podążali w milczeniu. Zielone kamienie lśniły nad ich głowami, posadzki płonęły posępnym blaskiem i Valerii zdawało się, że wędrują przez Piekło, prowadzeni przez goblina o ciemnej skórze i prostych włosach. Gdy przechodzili przez niezwykle szeroką komnatę Conan dał znak, by się zatrzymali. Jego wyćwiczony w leśnej dziczy słuch był jeszcze lepszy niż wyostrzony przez lata walki w tych cichych korytarzach słuch Techotla.

— Myślisz, że kilku twoich wrogów może czekać przed nami w zasadzce?

— Kręcą się po tych komnatach przez cały czas — odparł Techotl — tak jak i my. Sale i korytarze między Tecuhtli a Xotalanc to obszar sporny, ziemia niczyja. Nazywamy je Salami Ciszy. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ przed nami są ludzie — rzekł Conan. — Słyszałem brzęk stali uderzającej

o kamień.

Techotl znów zadygotał i zacisnął zęby, by powstrzymać szczękanie.

— Może to twoi przyjaciele? — poddała Valeria.

— Nie wolno nam ryzykować — wysapał i ruszył z szaloną szybkością. Przemknął przez boczne drzwi do komnaty na lewo, z której schody z kości słoniowej wiodły w dół, w ciemności.

— Prowadzą do nieoświetlonego korytarza pod nami! — syknął. Wielkie krople potu

perliły mu się na czole. — Tam też mogą się czaić. To może być podstęp, żeby nas tam zwabić. Musimy jednak zaryzykować i przyjąć, że zastawili na nas pułapkę w pokojach

na górze. Chodźcie... cicho!

Bezszelestnie jak zjawy zeszli po schodach do ciemnego jak noc korytarza. Przez

chwilę czaili się, nasłuchując, po czym wtopili się w ciemność.

Valerii ciarki przebiegły po plecach; idąc po ciemku w każdej chwili spodziewała się morderczego ciosu. Oprócz żelaznego uścisku palców Conana na swym ramieniu nie

czuła fizycznej obecności swych towarzyszy. Żaden nie robił więcej hałasu niż kot

Wokół panował absolutny mrok. Dziewczyna dotykała ściany jedną wyciągniętą ręką, od

czasu do czasu wyczuwając pod palcami drzwi. Wydawało się, że korytarz nigdy się nie skończy.

Nagle dolatujący z tyłu dźwięk pobudził ich do działania. Valeria znów poczuła

dreszcz przebiegający po plecach; rozpoznała odgłos cicho otwieranych drzwi. Jacyś

ludzie weszli za nimi do korytarza. W tej samej chwili potknęła się o coś, co

przypominało ludzką czaszkę i potoczyło się z przeraźliwie głośnym grzechotem po

posadzce.

— Biegiem! — zawył Techotl histerycznym głosem i pomknął korytarzem szybko jak duch.

Valeria ponownie poczuła, że ramię Conana nieledwie unosi ją w powietrzu i ciągnie

w ślad za przewodnikiem. Conan nie widział lepiej niż ona w ciemnościach, ale posiadał jakieś instynktowne wyczucie kierunku. Bez jego pomocy i przewodnictwa przewróciłaby się lub wpadła na ścianę. Pędzili korytarzem, a cichy tupot nóg ścigających ciągle się przybliżał.

Nagle Techotl wydyszał:

— Na schody! Za mną, szybko! Och, szybko! — wyciągnął w mroku rękę i chwycił Valerię za ramię, gdy potknęła się na stopniach.

Czuła jak pół ciągną pół wnoszą ją po schodach. W połowie drogi Cymmerianin puścił jej rękę i odwrócił się. Słuch i instynkt podpowiadały mu, że prześladowcy siedzą mu na karku.

I NIE WSZYSTKIE DŹWIĘKI WYWOŁANE BYŁY PRZEZ LUDZKIE ISTOTY

Coś wypęzło na schody; coś co wiło się, szeleściło i powodowało zimny powiew w powietrzu. Conan ciął swym wielkim mieczem i poczuł, jak ostrze rozcina coś, co mogło być ciałem i kością i wbija się głęboko w stopnie. Jego stopy dotknęło coś zimnego jak dotknięcie mrozu, a potem ciemność w dole przeszył straszliwy trzask i łomot oraz ludzki krzyk agonii.

W następnej chwili Conan przebiegł schody i otwarte drzwi na ich szczycie. Valeria i Techotl już tam byli; Techotl zatrzasnął drzwi i zasunął rygiel — pierwszy, jaki Conan widział od czasu gdy przekroczyli bramy miasta.

Tecuhltlanin obrócił się i pobiegł w głąb jasno oświetlonej komnaty, w której się znajdowali. Kiedy przebiegali przez drzwi na jej końcu Conan rzucił okiem w tył i zobaczył, że zamknięte drzwi uginają się i trzeszczą pod gwałtownym naporem z drugiej strony. Techotl zdawał się odzyskiwać pewność siebie, chociaż nie zwalniał kroku i nie zaniechał ostrożności. Zachowywał się jak człowiek znajdujący się na dobrze znanym terenie, blisko przyjaciół.

Mimo to wpadł ponownie w przerażenie, gdy Conan zapytał:

— Co to było, to, z czym walczyłem na schodach?

— Ludzie z Xotalanc — odparł Techotl nie oglądając się. — Mówiłem wam, że pełno ich w komnatach.

— To nie był człowiek — mruknął Conan. — To było coś pełzającego, w dotknięciu zimne jak lód. Sądzę, że przeciąłem to na pół. Spadło na ludzi, którzy nas ścigali i musiało zabić jednego z nich w śmiertelnych skurczach.

Techotl odwrócił gwałtownie głowę — twarz miał popielato — szarą. Z najwyższym trudem przyspieszył kroku.

— To był Pełzacz! Potwór, którego wywołali z katakumb do pomocy! Nigdy go nie widzieliśmy, ale znajdowaliśmy naszych ludzi straszliwie przez niego zmasakrowanych.

Na Seta — pospieszcie się! Jeżeli jest na naszym tropie, będzie nas ścigał aż do samych wrót Tecuhltli!

— Wątpię — mruknął Conan. — Tam na schodach zadałem mu potężny cios.

— Spieszcie się! Spieszcie! — jęczał Techotl.

Przebiegli kilka zielono oświetlonych komnat, przecięli szeroki przedsionek i stanęli przed olbrzymimi wrotami z brązu.

— To jest Tecuhltli! — rzek Techotl.

3

Techotl załomotał w drzwi zaciśniętą pięścią i stanął bokiem do nich, tak że mógł obserwować przedsionek.

— Zdarzało się, że ludzie ginęli tutaj kiedy sądzili, że są bezpieczni — rzekł.

— Dlaczego nie otwierają bramy? — zapytał Conan.

— Patrzą na nas przez Oko — odparł Techotl. Wasz widok ich zadziwił. Podniósł głos

i zawołał — Otwieraj, Excelanie! To ja, Techotl wraz z przyjaciółmi z wielkiego świata za puszcza!

— Otworzą — zapewnił sprzymierzeńców.

— Lepiej niech zrobią to szybko — rzekł Conan ponuro. — Słyszę, jak coś pełźnie po

posadźce do przedsionka.

Techotl ponownie poszarzał i zaatakował wrota pięściami:

— Otwórzcie, durnie, otwórzcie! Pełzacz depcze nam po piętach!

W tejże chwili wielkie wrota z brązu uchyliły się bezszelestnie, odsłaniając ciężki

łańcuch, a za nim lśniące ostrza włóczy i spoglądające czujnie na przybyszów twarze o dzikich rysach. Po chwili łańcuch opadł i Techotl z nerwowym pośpiechem nieomal

przeciągnął ich przez próg.

Gdy wrota zamykały się, Conan spojrział przez ramię w głąb rozległego, mrocznego

przedsionka i ujrzał na jego końcu niewyraźnie zarysowany, gadzi kształt. Bładawe,

wijące się z trudem zwoje przelewały się przez drzwi komnaty do obszernego

przedsionka, a odrażający, zlany krwią łeb kiwał się chwiejnie. Później zamykające się wrota zasłoniły widok.

Kiedy znaleźli się wewnątrz czworobocznej komnaty, zasunięto masywne rygle i

założono łańcuch. Wrota mogły wytrzymać ciężkie oblężenie. Pilnowało ich czterech

strażników — ciemnoskórych, prostowłosych jak Techotl, z włóczyniami w dłoniach i

mieczami u boku. W ścianie przy wrotach znajdował się skomplikowany układ luster tak ustawiony, że przez wąską szybę z kryształu można było spoglądać nie dając się

zauważyć z zewnątrz. Conan odgadł, że to jest wspomniane przez Techotla Oko.

Czterej strażnicy, ze zdumieniem spoglądali na przybyłych, lecz nie zadawali pytań, a Techotl nie raczył im udzielić żadnych wyjaśnień. Zachowywał się z dużą pewnością

siebie, tak jakby niezdecydowanie i strach opuściły go z chwilą, gdy przekroczył próg.

— Chodźcie! — popędzał swych nowych przyjaciół, ale Conan spojrział na wrota.

— A co z tymi, co nas ścigali? Nie będą szturmować bramy? Techotl potrząsnął głową.

— Wiedzą, że nie mogą wyłamać Wrót Orła. Ruszą z powrotem do Xotalanc razem ze swą pełzającą bestią. Chodźcie! Powiodę was do władców Tecuhltli.

Jeden ze strażników otworzył drzwi naprzeciwko i wkroczyli do przedsionka

oświetlonego światłem padającym przez otwory i promieniami mrugających kamieni ognia, podobnie jak większość pomieszczeń na tym poziomie. Jednak w przeciwieństwie do innych komnat jakie widzieli, to pomieszczenie nosiło ślady zamieszkania.

Aksamitne gobeliny pokrywały błyszczące, nefrytowe ściany; grube dywany leżały na czerwonych posadzkach, a ławy, otomany i fotele z kości słoniowej wyścielono atłasem.

Na końcu znajdowały się zdobione drzwi, przed którymi nie wystawiono straży. Techotl bezceremonialnie wszedł i wprowadził przyjaciół do obszernej komnaty, gdzie około

trzydzieścioro ciemnoskórych mężczyzn i kobiet, wylegających się na wyłożonych atłasem sofach, skoczyło na ich widok na równe nogi wydając okrzyk zdumienia.

Oprócz jednego, wszyscy mężczyźni wyglądali podobnie jak Techotl, również ich kobiety, choć dość ładne w pewien posępny, mroczny sposób, miały dziwne oczy i zbyt

zylaste ciała. Nosiły sandały, złote napierśniki i krótkie jedwabne spódniczki podtrzymywane paskami inkrustowanymi szlachetnymi kamieniami, a ich czarne

grzywy przycięte u nagich ramion przytrzymywały srebrne obręcze.

Na podium z nefrytu stał szeroki fotel z kości słoniowej, a na nim siedziało dwoje

ludzi znacznie różniących się od pozostałych. On, olbrzym o potężnie sklepionej piersi i barkach byka jako jedyny ze zgromadzonych nosił gęstą, kruczoczną brodę,

sięgającą niemal do pasa. Okrywała go toga z purpurowego jedwabiu, błyszczącego

wszystkimi odcieniami czerwieni przy każdym ruchu. Jeden szeroki rękaw, podciągnięty do łokcia, odsłaniał węzły mięśni na potężnym przedramieniu. Podtrzymująca jego

kruczoczarne loki obręcz była wysadzana błyszczącymi klejnotami.

Siedząca u jego boku kobieta na widok przybyszów porwała się na równe nogi z

okrzykiem zdumienia i zaledwie przelotnie spojrzawszy na Conana, utkwiała palące spojrzenie w Valerii.

Wysoka i gibka, była najpiękniejszą ze zgromadzonych w komnacie kobiet. Nosiła

strój jeszcze bardziej skąpy niż inne kobiety; zamiast spódniczki zaledwie dwa szerokie paski z przetykanej złotem purpurowej tkaniny przymocowane do pasa z przodu i z tyłu. Napierśniki i zdobiona klejnotami obręcz na skroniach dopełniały stroju, noszonego z cyniczną obojętnością. Ze wszystkich ciemnoskórych ludzi tylko w jej oczach nie czał się pełgający płomień szaleństwa. Po pierwszym okrzyku zdziwienia nie wypowiedziała nawet słowa; stała zaciskając pięści i z napięciem wpatrując się w Valerię. Mężczyzna w fotelu z kości słoniowej siedział bez ruchu.

— Książę Olmec — przemówił Techotl wyciągając ręce o zwróconych grzbietami w dół dłoniach — przywiodłem sprzymierzeńców ze świata za puszcza. W Komnacie Tezota Płonąca Czaszka zabiła Chicmeca, mego towarzysza.

— Płonąca Czaszka! — rozległy się drżące, przestraszone głosy.

— Tak! Potem ja nadszedłem i znalazłem Chicmeca z poderżniętym gardłem. Nim zdołałem ujść, Płonąca Czaszka dopadła mnie i kiedy na nią spojrzałem krew w mych

żyłach zamieniła się w lód, a szpik wysechł w mych kościach. Nie mogłem ani walczyć, ani uciec. Mogłem tylko czekać na cios. Wtedy zjawiła się ta kobieta o białej skórze, powaliła ją swym mieczem i słuchajcie! To był xotalancański pies ze skórą pomalowaną na białą i żyjącą czaszką pradawnego czarnoksiężnika na głowie! Teraz czaszka jest

rozbita na kawałki, a pies, który ją nosił nie żyje!

Ostatnie słowa wypowiedział z trudną do opisaną, szaloną radością i tłum słuchaczy zawtórował mu dzikimi okrzykami uciechy.

— Czekaście! — zakrzyknął Techotl. — To nie wszystko! Kiedy rozmawiałem z kobietą, napadło na nas czterech Xotalancan! Jednego ja zabiłem — rana w mym udzie dowodzi, jak zaciekle to była walka. Dwóch zabiła kobieta. Lecz byliśmy w ciężkich opałach, gdy nadszedł ten człowiek i rozłupał czaszkę czwartego. Tak! Pięć czerwonych ćwieków wbijemy w słup zemsty!

Wskazał na czarną kolumnę z hebanu stojącą za podium. Setki czerwonych punktów znaczyło jej wypolerowaną powierzchnię — jasnoczerwone główki miedzianych ćwieków wbitych w czarne drzewo.

— Pięć czerwonych ćwieków jak pięć martwych Xotalancan! — cieszył się Techotl, a straszliwa radość na twarzach słuchaczy czyniła ich niepodobnymi do ludzi.

— Kim są ci ludzie? — zapytał Olmec głosem, który zabrzmiał jak odległy niski ryk byka. Żaden z mieszkańców Xuchotl nie mówił głośno, tak jakby ich dusze wchłonęły ciszę pustych sal i opuszczonych komnat.

— Ja jestem Conan, Cymmerianin — odparł krótko barbarzyńca. — Ta kobieta to Valeria z Czerwonego Braterstwa, korsarz aquiloński. Zbiegliśmy z armii u granic Darfaru, daleko na północy i próbujemy dotrzeć do wybrzeża.

Kobieta na podium przemówiła głośno, płacząc się w pośpiechu:

— Nigdy nie dotrzecie do wybrzeża! Z Xuchotl nie ma ucieczki! Tutaj spędzicie resztę swych dni!

— Co to znaczy? — warknął Conan chwytając za rękojeść miecza i ustawiając się tak, by móc widzieć jednocześnie podium i resztę pomieszczenia. — Chcesz nam powiedzieć, że jesteśmy więźniami?

— Nie to miała na myśli — wtrącił się Olmec. — Jesteśmy przyjaciółmi. Nie zatrzymamy was wbrew waszej woli. Obawiam się tylko, że inne okoliczności uniemożliwią wam opuszczenie Xuchotl.

Rzucił spojrzenie Valerii i opuścił wzrok.

— Ta kobieta to Tascela — rzekł. — Jest księżniczką Tecuhltli. Pozwólmy jednak, by przeniesiono gościom jadło i napoje. Bez wątpienia są głodni i strudzeni długą podróżą.

Wskazał na stół z kości słoniowej i po krótkiej wymianie spojrzeń, awanturnicy usadowili się za nim. Podejrzliwy Cymmerianin wodził po komnacie niespokojnymi oczyma i trzymał miecz na podorędziu. Z zasady nigdy jednak nie odmawiał zaproszenia do jedzenia i picia. Ustawicznie spoglądał na Tascelę, lecz księżniczka

wpatrywała się jedynie w jego białoskórą towarzyszkę.

Owiązawszy zranione udo kawałkiem jedwabiu, Techotl usadowił się za stołem by baczyć na potrzeby swych przyjaciół, najwyraźniej uważając to za zaszczyt i przywilej.

Oglądał jadło i napoje przynoszone w złotych dzbanach i półmiskach, próbując wszystkiego, nim postawił przed gośćmi. Podczas gdy jedli, Olmec przyglądał im się ze swojego fotela, spoglądając w milczeniu spod czarnych brwi. Tascela siedziała obok niego z brodą w dłoniach i łokciami wspartymi na kolanach. Jej ciemne, zagadkowe oczy płonęły dziwnym blaskiem, nie odrywając się ani na chwilę od postaci Valerii. Za plecami księżniczki przystrojona, lecz posępna dziewczyna w wolnym rytmie poruszała wachlarzem ze strusich piór.

Posiłek składał się z egzotycznych owoców nieznanymi wędrowcom, ale bardzo smacznych i ciężkiego czerwonego wina o aromatycznym zapachu.

— Przybyliście z daleka — rzekł w końcu Olmec. — Czytałem księgi naszych ojców.

Aquilonia leży za ziemią Stygijczyków i Shemitów, za Argos i Zingarą. A Cymeria leży za Aquilonią.

— Oboje lubimy włóczęgę — odparł Conan niedbale.

— Dziwi mnie, jak przebyliście puszcę — rzekł Olmec. — W minionych dniach tysiąc wojowników z trudem zdołało się przedrzeć przez te niebezpieczne ostępy.

— Napotkaliśmy jakiegoś potwora o nogach jak ławy i wielkiego jak mastodont — powiedział Conan obojętnie wyciągając rękę z pucharem, który Techotl z wyraźną przyjemnością napełnił winem — ale kiedy go zabiliśmy, nie mieliśmy więcej kłopotów.

Dzban z winem wypadł z ręki Techotla i z trzaskiem rąbnął o posadzkę. Ciemnoskóra

twarz wojownika przybrała barwę popiołu. Olmec skoczył na równe nogi i stał jak

uosobienie zdziwienia, a pozostali wydali okrzyk przerażenia i podziwu. Kilka osób

osunęło się na kolana, jak gdyby tracąc nagle władzę w nogach. Tylko Tascela zdawała się nie słyszeć.

Conan spoglądał na nich z niedowierzaniem.

— O co chodzi? Czemu tak patrzycie?

— Za... Zabiliście boga — smoka?

— Boga? Zabiłem smoka. Czemu nie? Próbował nas pożreć!

— Ale smoki są niepokonane! — wykrzyknął Olmec. — Zabijają się wzajemnie, lecz nigdy jeszcze człowiek nie zabił smoka! Tysiąc wojowników — naszych przodków nie mogło ich zwyciężyć! Miecze łamały się jak chrust na smoczych łuskach!

— Gdyby waszym przodkom przyszło do głowy, by umaczać włócznię w trującym soku Jabłek Derkety — rzekł Conan z pełnymi ustami — i dźgać nimi w oczy, pysk i tym podobne miejsca, to zobaczyliby, że smoki nie są bardziej nieśmiertelne, niż kawał

wołowiny. Ścierwo leży na skraju lasu, przy pierwszych drzewach. Idźcie sobie zobaczyć, jeżeli mi nie wierzycie.

Olmec potrząsnął głową nie z powątpiewaniem, lecz z podziwem.

— To z powodu smoków nasi przodkowie schronili się w Xuchotl — powiedział. — Gdy dotarli na równinę nie ośmielili się ponownie wejść do lasu po drugiej stronie.

Zanim dotarli do miasta smoki schwytały i pożarły wielu z nich.

— Zatem wasi przodkowie nie wybudowali Xuchotl? — spytała Valeria.

— Stało już od wieków, kiedy tu przybyli. Od jak dawna — tego nie wiedzieli nawet jego zdegenerowani mieszkańcy.

— Wasz lud przywędrował znad Jeziora Zuad? — pytał Conan.

— Tak. Ponad pół wieku temu szczep Tlazitlan zbuntował się przeciw stygijskiemu władcy i pobity w bitwie umknął na południe. Przez wiele tygodni wędrowali przez trawiaste równiny, pustynie i wzgórza; w końcu doszli — tysiąc wojowników ze swymi kobietami i dziećmi — do wielkiego lasu. Tam napadły na nich smoki i wielu rozdarły na strzępy. Uciekając przed nimi w obłędnym strachu, wydostali się na równinę i pośrodku ujrzeli miasto — Xuchotl.

Rozbili obóz w pobliżu miasta, nie ośmielając się opuścić równiny, albowiem w nocy słychać było odrażające ryki walczących w puszczy potworów. Smoki nieustannie walczyły ze sobą, ale nie wychodziły na równinę. Mieszkańcy miasta zamknęli bramy i zasypali naszych ludzi gradem strzał z murów. Tlazitlanie byli uwięzieni na równinie, otoczeni ścianą lasu jak wielkim pierścieniem; bo zapuszczanie się w puszcze byłoby szaleństwem. W nocy do ich obozu przyszedł skrycie niewolnik z miasta, krew z ich krwi, który jako młody człowiek zawędrował w te strony na długo przedtem z grupą badających teren żołnierzy. Smoki pożarły wszystkich jego towarzyszy, lecz on dotarł do miasta i został niewolnikiem. Zwał się Tolkmec.

Na dźwięk tego imienia płomień zapalił się w ciemnych oczach słuchaczy, a kilku z nich zakląło plugawie lub splunęło.

— Obiecał otworzyć bramy wojownikom. Prosił tylko, by wszystkich jeńców oddano w jego ręce. O świcie otworzył bramy. Wojownicy wpadli do środka i posadzki Xuchotl spłynęły krwią. Przebywało tu tylko kilkuset mieszkańców — wymierające resztki potężnego niegdyś ludu. Tolkmec twierdził, że przybyli tutaj dawno temu ze wschodu, ze Starej Kosali, gdy przodkowie tych, którzy teraz zamieszkują Kosalę nadeszli z południa i wygnali pierwotnych mieszkańców. Ci wywędrowali daleko na zachód i w końcu znaleźli tę otoczoną lasem równinę, zamieszkiwaną natenczas przez szczerp czarnych ludzi. Z czarnych zrobiono niewolników i zapędzono do budowy miasta. Ze wzgórz na wschodzie sprowadzano marmur, nefryt i lapis lazuli oraz złoto, srebro i miedź, stada słoni dostarczały kości słoniowej. Gdy ukończono budowę, zabito wszystkich czarnych niewolników. Magowie postawili na straży miasta straszliwe potwory; dzięki swej czarnoksięskiej sztuce wskrzesili zamieszkujące kiedyś tę zagubioną ziemię smoki, których olbrzymie kości znaleźli w puszczy. Kości obdarzyli ciałem i życiem, by żywe bestie chodziły po ziemi tak samo, jak czyniły to u zarania czasu. Jednak

zakłęcie magów trzymało je w głębi lasu i nie pozwalało im wyjść na równinę.

Tak więc przez długie wieki ludzie zamieszkiwali w Xuchotl i uprawiali żyzną ziemię, dopóki ich mędrzy nie nauczyli się, jak hodować owoce w mieście. Owoce nie sadzone w ziemi, lecz czerpiące pokarm z powietrza — wtedy pozwolili wyschnąć rowom nawadniającym i pograżyli się w zbytku i gnuśności, aż zaczęli chylić się ku upadkowi. Byli już wymierającą rasą, kiedy nasi przodkowie przedarli się przez puszcze i przybyli na równinę. Magowie dawno pomarli a lud zapomniał prastarych sztuk czarnoksięskich.

Nie umieli walczyć ani czarami, ani orężem.

Tak więc ojcowie nasi pozabijali mieszkańców Xuchotl, wszystkich prócz setki jeńców, których oddano Tolkmecowi — ich byłemu niewolnikowi i przez wiele dni i nocy sale rozbrzmiewały echemi ich przeraźliwych wrzasków podczas tortur.

Tlazitlanie zamieszkali tutaj, żyjąc przez pewien czas w pokoju pod rządami Tecuhtli i Xotalanca oraz Tolkmeca. Ten ostatni wziął dziewczynę ze szczepu za żonę, a ponieważ otworzył bramę i znał wiele sekretów Xuchotlan, dzielił władzę nad szczepem z braćmi, którzy przewodzili podczas buntu i ucieczki.

Przez kilka lat żyli w mieście w pokoju, głównie oddając się uciechom stołu i łoża oraz wychowując dzieci. Nie musieli uprawiać ziemi, bo Tolkmec nauczył ich, jak hodować owoce pobierające pokarm z powietrza.

Poza tym zagłada Xuchotlan złamała zakłęcie trzymające smoki w puszczy i nocami ryczały one pod murami miasta. Równina spłynęła krwią wskutek ich odwiecznej wojny i właśnie wtedy...

Ugryzł się w język w środku zdania i po lekkim wahaniu prawił dalej, lecz Conan i Valeria czuli, że powstrzymał się przed wyznaniem czegoś, co uznał za niemądre.

— Żyli w pokoju przez pięć lat. Później — Olmec rzucił krótkie spojrzenie milczącej kobiecie u swego boku — Xotalanc pojął za żonę kobietę, której pożąдали zarówno

Tecuhtli jak i stary Tolkmec. W swym szaleństwie Tecuhtli porwał ją. Co prawda, poszła dość chętnie. Tolkmec, na złość Xotalancowi, pomógł Tecuhtli. Xotalanc żądał, by ją oddali z powrotem, a rada szczepu postanowiła pozostawić decyzję kobiecie.

Zdecydowała pozostać z Tecuhtli. Rozgniewany Xotalanc starał się odebrać ją siłą i stronnicy obu braci starli się w Wielkiej Sali. Nikt nie chciał ustąpić. Krew popłynęła po obydwu stronach. Spór przerodził się w potyczkę, potyczka w otwartą wojnę. Z zamętu

wyłoniły się trzy stronnictwa — Tecuhtli, Xotalanca i Tolkmeca. Już wcześniej, w dniach pokoju, podzielili miasto między siebie. Tecuhtli zamieszkiwał zachodnią dzielnicę

miasta, Xotalanc wschodnią, a Tolkmec ze swoją rodziną południową. Złość, niechęć i zazdrość zaowocowały przelewem krwi, gwałtem i mordem. Gdy raz sięgnięto po miecz, nie było już odwrotu; krew żądała krwi i zemsta chyżo ściągała okrucieństwo.

Tecuhtli walczył z Xotalancem, a Tolkmec wspomagał raz jedno, raz drugie

stronnictwo zdradzając oba, gdy mu to było wygodne. Tecuhtli ze swymi ludźmi

wycofał się do dzielnicy przy zachodniej bramie, tu gdzie teraz jesteśmy. Xuchotl jest zbudowane w kształcie okręgu. Tecuhtlanie, którzy nazwali się tak od imienia swego

księcia, zajmują zachodnią część okręgu.

Zablokowano wszystkie drzwi łączące dzielnicę z resztą miasta, za wyjątkiem jednych

wrót na każdej kondygnacji, które można łatwo obronić. Tecuhtlanie zeszli do

podziemi i postawili mur odcinający od reszty miasta katakumby, gdzie leżą ciała

pradawnych Xuchotlan i zabitych w walkach Tlazitlan. Zamieszkaliśmy jak w oblężonym

zamku, czyniąc wycieczki i wypadki na wrogów.

Ludzie Xotalanca podobnie umocnili wschodnią dzielnicę miasta, a Tolkmec zrobił to

samo przy południowej bramie. Środkowa część została pusta i niezamieszkała. Sale i

komnaty stały się polem bitwy i siedliskiem strachu.

Tolkmec walczył z obydwoma klanami. Był bestią w ludzkiej skórze, gorszą niż

Xotalanc: znał wiele tajemnic miasta, których nigdy nie wyjawiał. W kryptach katakumb ograbił martwych z ich strasznych sekretów i tajemnic pradawnych królów i

czarowników, dawno zapomnianych przez zdegenerowanych Xuchotlan wybitych przez naszych przodków. Mimo to, cała jego magia nie pomogła mu w dniu, gdy my — Tecuhltlanie zdobyliśmy jego warownię i wyrzneliśmy wszystkich jego ludzi. Tolkmece torturowano przez wiele dni.

Głos Olmece stał się monotony i spoglądał gdzieś w dal, jakby z głęboką przyjemnością patrzył na scenę z minionych lat.

— Tak — trzymaliśmy go przy życiu, aż wypatrywał śmierci niczym oblubienicy. W końcu wynieśliśmy go jeszcze żywego z sali tortur i cisnęliśmy do lochu, by szczury ogryzały jego kości, gdy umrze. Zdołał jednak uciec jakimś sposobem i zniknął w katakumbach. Tam z pewnością umarł, bowiem jedyna droga z katakumb pod Xuchotl wiedzie przez Tecuhltli, a tu nigdy się nie pojawił. Nigdy nie znaleziono jego kości, a przesądni wśród naszych ludzi przysięgają, że jego duch do dziś nawiedza krypty, skowycząc wśród kości zmarłych. Dwanaście lat temu wyrzneliśmy klan Tolkmece, lecz wojna między Tecuhltlanami a Xotalancanami trwa i będzie trwać, aż do ostatniego człowieka. Pięćdziesiąt lat temu Tecuhltli porwał żonę Xotalanca, Od pół wieku trwa walka. Trwała, gdy się urodziłem. Trwała, gdy rodzili się wszyscy obecni w tej komnacie — prócz Tascei. Sądzymy, że będzie trwać do naszej śmierci...

Jesteśmy wymierającą rasą, taką jaką byli Xuchotlanie, których pozabijali nasi przodkowie. Gdy rozpoczynała się wojna każde stronnictwo liczyło kilkaset osób. Teraz jest nas, Tecuhltlan tyłu, ilu stoi przed tobą, nie licząc ludzi pilnujących czterech bram; razem czterdzieści osób. Jak wielu Xotalancan pozostało — nie wiem, lecz wątpię, by było ich więcej od nas. Od piętnastu lat nie urodziło się u nas ani jedno dziecko i nie widzieliśmy żadnego u Xotalancan. Wymieramy, ale nim umrzemy, zabijemy tyłu Xotalancan ilu bogowie pozwolą.

Z ogniem w posępnych źrenicach Olmec opowiadał długo o tej strasznej wojnie, toczącej się w cichych komnatach i mrocznych salach przy blasku kamieni ognia, na

posadzkach płonących piekielną czerwienią i zbryzganych krwią z rozrąbanych ciał.

Długotrwała rzeź wyniszczyła całą generację. Xotalanc nie żył od dawna, zabity w ponurej bitwie na schodach z kości słoniowej. Nie żył też Tecuhltli, żywcem obdarty ze skóry przez rozwścieczonych Xotalancan, którzy go pojmali.

Bez śladu wzruszenia Olmec opowiadał o straszliwych bitwach w ciemnych korytarzach, o zasadzkach na krętych schodach, o krwawych rzeziach. Głęboko osadzone, ciemne oczy pały czerwonym blaskiem, gdy mówił o mężczyznach i kobietach obdartych żywcem ze skóry, okaleczonych i porąbanych, o jeńcach wyjących z bólu podczas tortur tak okropnych, że nawet Cymmerianin — barbarzyńca wzdragał się z odrazy. Nic dziwnego, że Techotl trzął się ze strachu na myśl o wpadnięciu żywcem w ręce wrogów! A jednak wyruszył by zabić, jeśli zdoła, wiedziony nienawiścią silniejszą od strachu. Olmec mówił dalej, o sprawach mrocznych i tajemniczych, o czarnej magii i sztukach czarnoksiężskich, o upiornych stworzeniach ciemności przywoływanych na pomoc z czarnych głębi katakumb. W tym wszystkim Xotalancanie mieli przewagę, bo to we wschodniej części katakumb spoczywały kości prastarych Xuchotlan, razem z ich zapomnianymi sekretami.

Valeria słuchała z chorobliwym zainteresowaniem.

Waśń stała się straszliwym, prymitywnym żywiołem, popychającym mieszkańców Xuchotl ku nieuniknionej zagładzie i samozniszczeniu. Zemsta wypełniała im całe życie. Rodzili się i zamierzali umrzeć w walce. Nigdy nie opuszczali swej zabarykadowanej warowni, chyba żeby zakraść się do Sal Ciszy leżących między wrogimi obozami, by zabijać i dawać się zabić. Czasem wojownicy wracali z oszalałymi ze strachu jeńcami lub z ponurymi dowodami zwycięstwa. Czasem nie wracali w ogóle lub powracali tylko jako porąbane ochłapy, porzucone pod zaryglowanymi wrotami z brązu. Ludzie ci wiedli niesamowity, koszmarny żywot, odcięci od reszty świata, schwytani jak króliki w tę samą pułapkę, wyrzynając się nawzajem, czając się i skradając mrocznymi

korytarzami, mordując, kalecząc i torturując.

Gdy Olmec opowiadał, Valeria czuła wpatrzone w nią oczy Tasceli. Księżniczka zdawała się nie słyszeć tego, o czym mówił Olmec. Na wspomnienie zwycięstw albo klęsk jej twarz nie przybierała wyrazu dzikiej radości, ani zwierzęcej wściekłości, ukazujących się na twarzach innych Tecuhltlan. Waśń, która stała się obsesją ludzi jej klanu, nie miała dla niej znaczenia. Ta gruboskóra nieczułość wydała się Valerii bardziej odrażająca niż nagie okrucieństwo Olmeca.

— Nigdy nie opuszczamy miasta — mówił Olmec. — Przez pięćdziesiąt lat opuścili je tylko ci...

Znów przerwał w połowie zdania.

— Gdyby nawet zagrażały nam smoki — ciągnął — my, urodzeni i wychowani w mieście, nie ośmielilibyśmy się stąd odejść. Nikt z nas nie postawił stopy za murami. Nie przywykliśmy do słońca i nieba nad głową. Nie, urodziliśmy się w Xuchotl i w Xuchotl umrzemy.

— No — rzekł Conan — za waszym pozwoleniem, my zaryzykujemy ze smokami. Ta waśń to nie nasza sprawa. Jeśli pokażecie nam drogę do zachodnich wrót ruszymy zaraz.

Tascela zacisnęła dłonie i zaczęła coś mówić, lecz Olmec przerwał jej:

— Już zmierzcha. Jeżeli będziecie wędrować nocą po równinie, niechybnie staniecie się łupem smoków.

— Przeszliśmy równinę zeszłej nocy i spaliśmy pod gołym niebem nie widząc żadnego z nich — zareplikował Conan.

Tascela uśmiechnęła się ponuro — Nie ośmielicie się opuścić Xuchotl!

Conan spojrzał na nią z instynktowną wrogością. Nie patrzyła na niego, lecz na siedzącą naprzeciw niego Valerię.

— Myślę, że się ośmiela — stwierdził Olmec. — Conanie i Valerio, bogowie musieli

nam was zesłać, by oddać zwycięstwo w ręce Tecuhltlan! Jesteście zawodowymi

wojownikami — dlaczego nie mielibyście walczyć dla nas? Mamy obfitość bogactw; w

Xuchotl jest tyle cennych klejnotów, ile brukowców w miastach całego świata. Niektóre Xuchotlane przynieśli ze sobą z Kosali. Inne, jak kamienie ognia, znaleźli w górach na wschodzie. Pomóżcie nam rozprawić się z Xotalancanami, a damy wam tyle klejnotów,

ile zdołacie unieść.

— A pomożecie nam zgładzić smoki? — spytała Valeria. — Trzydziestu ludzi

uzbrojonych w łuki i strzały może zabić wszystkie smoki w puszczy.

— Tak! — odparł Olmec pospiesznie. — Zapomnieliśmy, jak obchodzić się z łukiem, walcząc wręcz przez długie lata, ale możemy się znów nauczyć.

— Co ty na to? — Valeria spytała Cymmerianina.

— Jesteśmy włóczęgami bez grosza — uśmiechnął się zuchwale. — Mogę równie dobrze zabijać Xotalancan jak kogoś innego.

— A więc zgadzacie się? — wykrzyknął Olmec, a Techotl wprost nie posiadał się z radości.

— Tak. Teraz może pokażecie nam komnaty, w których będziemy spać, byśmy wypoczęli, nim zaczniemy jutro zabijać.

Olmec skinął głową. Na ten gest Techotl i jedna z kobiet poprowadzili awanturników korytarzem, którego wejście znajdowało się na lewo od nefrytowego podium. Oglądając się za siebie Valeria zobaczyła odprowadzającego ich wzrokiem Olmeca, siedzącego na tronie z brodą opartą na pięści. Jego oczy płonęły posepnym blaskiem. Wygodnie

oparta Tascela szeptała coś do ucha Jasali — służącej o ponurej twarzy, która pochyliła głowę nadstawiając ucha szepczącym wargom księżniczki.

Przedśionek był węższy niż większość tych, przez które przeszli, lecz dość długi.

Niebawem kobieta zatrzymała się, otworzyła drzwi i usunęła się na bok przepuszczając Valerię.

— Czekaj chwilę — warknął Conan. — Gdzie ja śpię? Techotl wskazał na następne

drzwi, umieszczone po drugiej stronie korytarza. Conan zawahał się i zdawał się mieć zastrzeżenia, ale Valeria uśmiechnęła się pogardliwie i zamknęła mu drzwi przed

nosem. Cymmerianin zamruczał coś niepochlebnego o wszystkich kobietach i

pomaszerował korytarzem za Techotlem.

Conan rozejrzał się po bogato zdobionej komnacie, jaką mu przydzielono i spojrzął na świetliki pod sufitem. Kilka otworów miało wystarczającą średnicę, by szczupły mężczyzna mógł się nimi przecisnąć po rozbiciu szkła.

— Dlaczego Xotalancanie nie wejdą na dach i nie przedostaną się przez te okna? — zapytał.

— Są nietłukące — odparł Techotl. Ponadto trudno byłoby wspinać się po dachach.

Większość z nich to kopuły i iglice o ostrych krawędziach.

Techotl dobrowolnie udzielił innych informacji o zamku. Tak jak reszta miasta, zamek miał cztery poziomy — czy też piętra, komnat o dachach wyciągniętych w wieże.

Każde piętro miało swoją nazwę. Xuchotlanie nadali nazwy każdej komnacie, sali, każdym schodom w mieście — tak, jak mieszkańcy bardziej normalnych miast nazywają ulice i dzielnice. W Tecuhtli piętra nosiły następujące nazwy: najwyższe, czwarte — Orła i kolejno: Małpy, Tygrysa i Żmii.

— Kim jest Tascela? — spytał Conan. — Żoną Olmeca? Techotl wzdrygnął się i szybko spojrzął za siebie nim odpowiedział.

— Nie. Ona jest... jest Tascelą! To żona Xotalanca — kobieta, którą porwał Tecuhtli, przez co rozpoczęła się wojna.

— O czym ty mówisz? — pytał Conan. — Ta kobieta jest młoda i piękna. Chcesz mi wmówić, że była mężatką pięćdziesiąt lat temu?

— Tak! Przysięgam! Była dojrzałą kobietą, kiedy Tlazitlanie wyruszyli znad Jeziora

Zuad. Xotalanc i jego brat zbuntowali się i umknęli w puszcze, ponieważ władca Stygii chciał uczynić Tascelę swą nałożnicą. To czarownica; zna sekret wiecznej młodości.

— Jaki sekret? — spytał Conan.

— Nie pytaj! Nie ośmielę się wyjawić! To zbyt straszne, nawet jak na Xuchotl.

Przykładając palec do ust, wyśliznął się z komnaty.

4

Valeria odpięła pas z mieczem i położyła go przy łożu, na którym miała spać.

Zauważyła drzwi zaopatrzone w rygle i spytała, gdzie prowadzą.

— Te do sąsiednich komnat — odpowiedziała kobieta, wskazując drzwi po prawej i po lewej stronie — a te na korytarz wiodący ku schodom, którymi schodzi się do katakumb — wskazała na obite miedzią drzwi naprzeciw wejścia. — Ale nie lękaj się.

Nic ci tu nie grozi.

— Kto mówi o lęku? — ucięła Valeria. — Chcę tylko wiedzieć w jakim porcie zarzucam kotwicę. Nie, nie chcę byś spała przy moim łóżku. Nie przywykłam by mi ktoś usługiwał — przynajmniej nie kobieta. Możesz odejść.

Gdy została sama zaryglowała wszystkie drzwi, kopnięciem zrzuciła buty i wyciągnęła się wygodnie na łożu. Wyobraziła sobie Conana podobnie ułożonego w swoim pokoju, ale kobieca próżność poddała jej natychmiast inny obraz: boleśnie upokorzony Cymmerianin, gniewnie mamrocząc, ciska się po swym samotnym łożu. Zapadając w drzemkę uśmiechnęła się złośliwie.

Nad miastem zapadła noc. Nocny wiatr jęczał jak zbłąkana dusza gdzieś między ciemnymi wieżami. W salach Xuchotl zielone kamienie ognia lśniły jak oczy prehistorycznych kotów. Mrocznymi korytarzami poczęły się skradać niewyraźne, bezcielesne postacie.

Valeria obudziła się nagle. W mglistym, szmaragdowym blasku kamieni ognia ujrzała

pochyłoną nad nią, niewyraźną postać. W oszołomionych oczach Valerii zjawia się przez chwilę być częścią snu, jaki śniła. Wydawało się jej, że leży tak jak leżała, na sofie w komnacie, a nad nią pulsuje, faluje olbrzymi czarny kwiat tak wielki, że sięga sufitu.

Jego egzotyczny zapach owładnął ją całkowicie, wprowadzając w rozkoszne, zmysłowe omdlenie będące czymś więcej, a zarazem mniej niż snem. Zapadała w pachnące fale błogiej nieświadomości, gdy coś dotknęło jej twarzy. Oszołomione zmysły Aquilonki były tak wyczulone, że lekkie dotknięcie przywróciło ją natychmiast do przytomności jak silny cios. Wtedy zobaczyła nad sobą nie potwornej wielkości kwiat, lecz ciemnoskórą kobietę.

Wraz ze świadomością przyszedł gniew i natychmiastowe działanie. Kobieta odwróciła się chyżo, lecz nim zdołała uciec, Valeria stanęła na nogi i chwyciła ją za ramię. Kobieta walczyła przez chwilę jak dziki kot, ale poddała się czując miażdżącą przewagę przeciwniczki. Valeria obróciła ją szarpnięciem twarzą do siebie, wolną ręką ujęła za brodę i zmusiła do uniesienia głowy. Była to Yasala, służąca Tasceli.

— Co tu robiłaś, do diabła? Co tam masz w ręce? Kobieta nie odpowiedziała, próbując coś odrzucić w kąt.

Valeria wykręciła jej rękę i „coś” upadło na posadzkę — duży, czarny, egzotyczny kwiat na nefrytowozielonej łodydze, z pewnością wielki jak kobieca głowa, lecz maleńki w porównaniu z sennym majakiem.

— Czarny lotos! — wycedziła Valeria przez zęby. — Kwiat, którego zapach sprowadza głęboki sen. Próbowalaś mnie uspić! Gdybyś nie dotknęła przypadkiem mojej twarzy płatkami... Dlaczego to robiłaś?

Yasala trwała w ponurym milczeniu, Valeria z przekleństwem obróciła ją i wykręcając jej rękę na plecy zmusiła, by uklęknęła.

— Mów, albo wyrwę ci rękę!

Yasala skręcała się z bólu, gdy Valeria bezlitośnie wykręcała jej ramię, ale jedyną jej odpowiedzią było gwałtowne potrząśnięcie głową.

— Suka! — Valeria cisnęła ją na podłogę i spoglądając na powaloną roziskrzonym

wzrokiem. Lęk i wspomnienie palącego spojrzenia Tasceli zmieszały się w niej, budząc drapieżny instynkt samozachowawczy. Ten lud chylił się ku upadkowi; można się było

po nich spodziewać każdej przewrotności. Jednak Valeria czuła, że kryje się za tym coś więcej, jakaś groźna tajemnica gorsza niż zwykły podstęp. Ogarnęła ją fala lęku i

obrzydzenia do tego posępnego miasta, którego mieszkańcy nie byli normalnymi

ludźmi. Szaleństwo tliło się w ich oczach, z wyjątkiem okrutnych, zagadkowych oczu

Tasceli, kryjących tajemnice i zagadki mroczniejsze niż szaleństwo.

Uniosła głowę i nasłuchiwała bacznie. Sale Xuchotl były ciche, jak gdyby było ono

naprawdę wymarłym miastem. Zielone klejnoty oblewały komnatę koszmarnym

blaskiem, w którym zwrócone ku Valerii oczy klęczącej na posadzce kobiety lśniły

niesamowicie. Dreszcz lęku przeszył Aquilonkę, pozbawiając jej dziką duszę resztek

litości.

— Dlaczego próbowałaś mnie uspić? — syknęła, chwytając kobietę za czarne włosy i

zagładając w uparte oczy o długich rzęsach. — Tascela cię wysłała?

Brak odpowiedzi. Valeria zakłęła jadowicie i otwartą dłonią uderzyła kobietę w twarz, najpierw z jednej, potem z drugiej strony. Komnata rozbrzmiewała odgłosem uderzeń,

ale Yasala nie wydała dźwięku.

— Dlaczego nie wrzeszczysz? — dopytywała się wściekła Valeria. — Obawiasz się, że

ktoś cię usłyszy? Kogo się boisz? Tasceli? Olmeca? Conana?

Yasala nie odpowiadała. Skulona, wpatrywała się w prześladowczynię oczyma

złowrogimi, jak u bazyliuszka. Uparte milczenie budzi złość. Valeria obróciła się i urwała kawał sznura z wiszącej obok draperii.

— Uparta suko! — wycedziła przez zęby. — Rozbiorę cię do naga, przywiążę do tego

łoża i będę chłostać, aż powiesz co tu robiłaś i kto cię przysłał.

Yasala nie zaprotestowała ani nie stawiała oporu, gdy Valeria spełniała pierwszą część groźby z furią spotęgowaną przez upór schwytej. Później przez dłuższą chwilę w

komnacie rozlegał się jedynie świst i chłaśnięcia mocno splecionego, jedwabnego

sznura na nagim ciele. Yasala nie mogła poruszyć mocno przywiązanyymi rękami i nogami. Ciało jej wiło się i kurczyło w czasie chłosty, a głowa kołysała się z bolcu na bok w rytmie ciosów. Przygryzła zębami dolną wargę aż do krwi — ale nie krzyczała.

Giętki sznur nie czynił wiele hałasu spadając na drgające ciało pojmanej — jedynie suchy trzask — lecz każdy cios pozostawiał czerwoną pręgę na ciemnym ciele Yasali.

Valeria wymierzała karę z całej siły zahartowanego wojaczką ramienia, z bezlitosną sprawnością jakiej nabyła wiodąc życie, w którym ból i męki były na porządku dziennym, z całą cyniczną pomysłowością jaką tylko kobieta może wykazać wobec innej kobiety. Yasala cierpiała bardziej, fizycznie i psychicznie, niżby cierpiała pod ciosami mężczyzny, nawet bardzo silnego.

Właśnie ten kobiecy cynizm poskromił w końcu Yasalę. Z jej ust wydobył się cichy skowyt i Valeria zatrzymała się z uniesionym ramieniem odgarniając z czoła wilgotny kosmyk jasnych włosów.

— No, będziesz mówić? — spytała. — Jeżeli trzeba, mogę to robić całą noc!

— Litości! — szepnęła kobieta. — Będę mówić...

Valeria przecięła więzy na jej przegubach i kostkach i postawiła ją na nogi. Yasala osunęła się na sofę, pólżąc na jednym nagim biodrze, wsparta na ramieniu, krzywiąc się, gdy obolałe ciało dotknęło sofy. Dygotała cała.

— Wina! — błagała suchymi wargami, wskazując trzęsącą się ręką złote naczynie na stole z kości słoniowej. — Daj mi pić. Osłabłam z bólu. Potem wszystko ci powiem.

Valeria podała jej naczynie i Yasala uniosła się chwiejnie na nogi. Wzięła naczynie, podniosła je do ust — i chlusnęła całą jego zawartość w twarz Aquilonki. Valeria

zatonęła się do tyłu, otrząsając się i wycierając rękami oczy, zalane piekącym płynem.

Jak przez mgłę widziała Yasalę podbiegającą do okutych miedzią drzwi, odsuwającą rygiel i wybiegającą na korytarz przez otwarte drzwi. W jednej chwili ruszyła za nią z mieczem w dłoni i żądzą mordu w sercu.

Yasala jednak wystartowała pierwsza i biegła z szaloną szybkością kobiety, którą

tylko co wychłostano, aż do histerycznego załamania. Minęła zakręt korytarza kilka

jardów przed Valerią i kiedy ta dobiegła do rogu, zobaczyła tylko pusty przedsionek, a na jego końcu ziejące czernią otwarte drzwi. Dobywał się z nich wilgotny zapach pleśni.

Valeria zadrżała. Te drzwi musiały prowadzić do katakumb. Yasala poszukała schronienia wśród martwych.

Valeria podeszła do drzwi i zajrzała w głąb. Kamiennie stopnie szybko ginęły w kompletnych ciemnościach. Najwidoczniej nie łączyły się z niższymi piętrami, prowadząc wprost do podziemi pod miastem. Wzdrygnęła się lekko na myśl o tysiącach okrytych zbutwiałymi szatami zwłok leżących w kamiennych kryptach na dole. Nie miała zamiaru zapuszczać się tam po omacku. Yasala niewątpliwie znała każdy zakręt i zakamarek tych podziemnych tuneli.

Zawróciła, zawiedziona i wściekła, gdy z ciemności dobiegł jękliwy krzyk. Zdawał się dochodzić z wielkiej głębokości, ale można było rozróżnić niewyraźne słowa i to, że należał do kobiety.

— Och, pomocy! Pomocy, na Seta! Aaaach! — głos zginął w dali i Valerii zdawało się,

że pochwyliła uchem echo upiornego chichotu. Dreszcz przebiegł po plecach

dziewczyny. Co się przytrafiło Yasali w gęstych ciemnościach na dole. Valeria nie miała wątpliwości, że to ona krzyczała. Co mogło jej zagrażać? Czyżby ukrywał się tam jakiś Xotalancanin? Olmec zapewnił, że katakumby pod Tecuhtli są oddzielone murem od reszty, zbyt mocnym, by wrogowie mogli się tamtędy przedrzeć. Poza tym ten chichot wcale nie przypominał dźwięku wydawanego przez ludzką istotę.

Aquilonka pospieszyła z powrotem korytarzem, nie tracąc czasu na zamykanie drzwi.

Wróciwszy do swej komnaty zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel. Naciągnęła buty na nogi i przypięła pas z mieczem. Zdecydowała się pójść do pokoju Conana i ponaglić go, jeżeli jeszcze żyje, by przyłączył się do niej i spróbował wyrąbać sobie drogę z tego miasta upiorów.

W momencie, gdy podeszła do drzwi prowadzących na korytarz, w salach zabrzmiał przeciągły krzyk ginącego człowieka, po którym rozległ się tupot biegnących nóg i

szczęk mieczy.

5

Na trzecim piętrze, zwanym Poziomem Orła dwaj wojownicy przesiadywali w warowni. Zachowywali się z obojętną, zwyczajową czujnością. Zawsze należało się liczyć z możliwością ataku z zewnątrz na wielkie wrota z brązu, chociaż od wielu lat żadna ze stron nie podjęła takiej próby.

— Przybysze to potężni sojusznicy — powiedział jeden.

— Jestem pewny, że Olmec ruszy jutro na wroga.

Przemawiał tak, jak żołnierz na wojnie. W małym świecie Xuchotl każda garstka zwaśnionych była armią, a puste sale między wrogimi ugrupowaniami polem ich bitwy.

Drugi strażnik medytował przez dłuższą chwilę.

— A jeżeli z ich pomocą zniszczymy Xotalancan — rzekł.

— Co wtedy, Xatmec?

— No — odparł Xatmec — wbijemy wiele czerwonych ćwieków. Jeńców będziemy przypiekać, obdzierać ze skóry i ćwiartować.

— Ale potem? — naciskał tamten. — Jak już zabijemy ich wszystkich? Czy to nie będzie dziwne — nie mieć z kim walczyć? Przez całe życie walczyłem i nienawidziłem Xotalancan. Co będę robił, kiedy waśń się skończy?

Xatmec wzruszył ramionami. Nigdy nie wybiegał myślami poza chwilę zniszczenia wrogów. Nie był do tego zdolny. Nagle obaj zdrętwieli, słysząc jakiś hałas za bramą.

— Do drzwi, Xatmec! — syknął ostatni z rozmawiających. — Popatrzę przez Oko.

Z mieczem w garści Xatmec oparł się o mosiężne wrota, wytężając słuch by usłyszeć coś przez grubą, metalową płytę. Jego towarzysz spojrział w lustro i drgnął gwałtownie.

Wokół drzwi tłoczyli się ciemnoskórzy mężczyźni, o ponurych twarzach, trzymając miecze w zębach — I ZATYKALI PALCAMI USZY. Jeden z nich, o głowie przystrojonej

piórami miał kilka złączonych rur, które przytknął do warg. W chwili, gdy Tecuhtlanin zamierzał wydać ostrzegawczy okrzyk, z rur wydobył się cichy pisk.

Krzyk zamarł w gardle strażnika, kiedy wysoki, posępny dźwięk przeniknął metalowe wrota i wpadł mu w uszy. Xatmec pozostał oparty o drzwi, jak sparaliżowany. Jego twarz zdrętwiała w przerażonym zasluchaniu. Drugi strażnik, bardziej oddalony od źródła dźwięku, czuł grozę sytuacji i straszliwe niebezpieczeństwo kryjące się w upiornych dźwiękach. Czuł posępne nuty wdzierające się jak niewidzialne palce w komórki jego mózgu, napęlniając go obcymi wzruszeniami i budzące szaleństwo. Z najwyższym wysiłkiem woli strząsnął czar z siebie i wrzasnął ostrzegawczo nieswoim głosem. W tej samej chwili melodia przeszła w nieznośne zawodzenie przeszywające jego uszy jak nóż. Xatmec wrzasnął w męce i rozsądek opuścił go jak zdmuchnięty wichrem płomyk. Jak szaleniec zerwał łańcuch, rozwarł gwałtownie drzwi i wypadł na zewnątrz, nim towarzysz zdołał go zatrzymać. Runął na ziemię, powalony tuzinem ciosów, a po jego pokrwawionym ciele Xotalancanie wpadli do strażnicy z przeciągłym, oszalałym z żądzą krwi wyciem, które roznosiło się niezliczonym echem w niezwykłych hałasach.

Odzyskując przytomność umysłu, pozostały przy życiu strażnik skoczył im na spotkanie z nastawioną włócznią. Oszłomienie, w jakie wprawiły go czary których był świadkiem, ustąpiło miejsca przerażeniu. Wróg dostał się do Tecuhtli. Grot włóczni strażnika przeszył czyjeś ciemne ciało, a później nie czuł już nic, bo opadający miecz rozplątał mu czaszkę w chwili, gdy jego dzikoocy pobratymcy nadbiegali z dalszych komnat.

Dziki wycia i szczęk stali poderwały Conana z sofy. W jednej chwili zupełnie przebudzony, dopadł drzwi z mieczem w dłoni i otworzył je szarpnięciem. Wyglądając na korytarz ujrzał nadbiegającego Techotla z oczyma płonącymi szaleństwem.

— Xotalancanie! — wrzasnął Techotl głosem niepodobnym do ludzkiego. —

Przedostali się przez bramę!

Conan wybiegł na korytarz i jednocześnie Valeria pojawiła się w drzwiach swojej komnaty.

— Co jest, do diabła? — zawołała.

— Techotl mówi, że Xotalancanie wdarli się do Tecuhltli — odparł pospiesznie. —

Sądząc po tym rabanie, ma rację.

Z Tecuhltlaninem depczącym im po piętach wpadli do sali tronowej i zobaczyli obraz przekraczający najdziksze sny o krwi i przemocy. Dwudziestka mężczyzn i kobiet z rozwianymi, czarnymi włosami i wymalowanymi na piersiach czaszkami, zwarła się w walce z mieszkańcami Tecuhltli. Po obu stronach kobiety stały równie zaciekle jak mężczyźni. Sala i przedsionek były już zasłane trupami.

Olmec nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, walczył opodal swego tronu, a w chwili gdy Conan i Valeria wkroczyli na scenę, Tascela wybiegła z bocznej komnaty z mieczem w ręku.

Xatmec i jego towarzysz byli martwi, tak więc nie miał kto opowiedzieć Tecuhltlanim, jak wrogowie dostali się do warowni. Nikt też nie mógł powiedzieć, co wywołało ten szaleńczy atak.

Straty Xotalancan musiały być jednak większe i ich położenie znacznie gorsze, niż sądzili Tecuhltlanie. Okaleczenie ich gadziego sprzymierzeńca, zniszczenie Płonącej Czaszki oraz wiadomość, wyszeptana przez umierającego, że tajemniczy białoskórzy przybysze przyłączyli się do ich wrogów przywiodły Xotalancan do szalonej desperacji. Postanowili umrzeć w śmiertelnej walce z odwiecznymi wrogami.

Tacuhltlanie, otrząsnąwszy się z oszołomienia wywołanego niespodziewanym atakiem, podczas którego zepchnięto ich do sali tronowej zadając ciężkie straty, oddawali ciosy z równą wściekłością. Nadbiegali pędem strażnicy z niższych pięter, by rzucić się w

wir walki. Walczyli jak stado rozszalałych wilków; zaślepieni, dyszący i bezlitośni. Bitwa przewalała się tam i z powrotem od drzwi do podium. Błyskały ostrza tnąc ciała, tryskała krew, niósł się tupot nóg po czerwonej posadzce, na której tworzyły się ciemnoczerwone kałuże. Połamano stoły z kości słoniowej, rozbito w drzazgi ławy, aksamitne draperie zostały podarte i zbryzgane krwią. Każdy z walczących wiedział, że nadszedł finał krwawej, półwiecznej walki. Ostateczny wynik był z góry przesądzony.

Tecuhltlanie prawie dwukrotnie przewyższali liczebnie napastników. Ten fakt oraz pojawienie się na polu bitwy jasnoskórych sprzymierzeńców dodały im serca. Conan i Valeria rzucili się w wir walki z niszczącą siłą przelatującego przez zagajnik huraganu.

Conan był silniejszy niż trzech Tlazitlan razem wziętych i pomimo swej wagi znacznie zwinniejszy. Wpadł w skłębiony, wirujący tłum pewnie i niszcząco jak szary wilk w stado ulicznych kundli i kroczył naprzód, pozostawiając za sobą zasłaną trupami posadzkę.

Valeria walczyła u jego boku, z uśmiechem na twarzy i roziskrzonym wzrokiem. Silniejsza niż przeciętny mężczyzna, górowała nad przeciwnikami szybkością i zręcznością w posługiwaniu się mieczem, który w jej ręce wydawał się żywą istotą.

Podczas gdy Conan miażdżył przeciwników samą siłą ciosów, łamiąc włócznie, rozcinając czaszki i torsy do pasa, Valeria prezentowała finezję sztuki szermierczej zdumiewając i oszałamiając tych, którzy skrzyżowali z nią ostrza. Raz po raz unoszący w górę swój ciężki brzeszczot wojownik otrzymywał pchnięcie w gardło nim zdążył uderzyć. Conan, górując nad placem bitwy, kroczył wśród zamętu, zadając razy na prawo i lewo, a Valeria poruszała się jak łudzająca zjawia, ciągle zmieniając pozycję, nieustannie tnąc, siekąc i kłując. Raz po raz miecze chybiały jej przesywając puste powietrze a ich właściciele umierali z jej klingą w sercu lub gardle, słysząc szyderczy śmiech Aquilonki.

W szale bitewnym walczący nie zważali na płeć czy stan przeciwników. Jeszcze nim Conan i Valeria przyłączyli się do walki, pięć xotolancańskich kobiet padło w bitwie, a na każdego rannego osuwającego się na posadzkę czekał cios nożem po bezbronnym gardle lub miażdżące czaszkę kopnięcie obutą w sandał stopą.

Od ściany do ściany, od drzwi do drzwi przetaczały się fale potyczki, rozlewając się po przyległych

komnatach. W końcu wielkiej sali tronowej pozostali na nogach jedynie Tecuhtlanie i ich jasnoskórzy sprzymierzeńcy. Ledwie żywi, spoglądając na siebie

pustym wzrokiem, pobladli, jak pozostali przy życiu po Sądzie Ostatecznym czy końcu

świata. Na szeroko rozstawionych nogach, ściskając poszczerbione i ociekające krwią

miecze, spływając krwią własną i cudzą, patrzyli na siebie ponad posiekanymi ciałami przyjaciół i wrogów. Brakło im tchu, by krzyczeć, tylko zwierzęce, oszalałe wycie

tryumfu dobywało się z ich ust. Conan chwycił Valerię za ramię i obrócił ją twarzą do siebie.

— Masz ranę w łydce — mruknął.

Popatrzyła w dół, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że pieką ją mięśnie prawej

nogi. Któryś z umierających na posadzce wojowników ostatnim wysiłkiem wbił w nią

swój sztylet.

— Sam wyglądasz jak rzeźnik — zaśmiała się. Strząsnął czerwone bryzgi ze swych

rąk.

— To nie moja krew. Och, draśnięcie tu i ówdzie. Nie ma czym się martwić. Ale twoją

nogę trzeba zabandażować!

Olmec przeszedł przez pobojowisko — wyglądał jak upiór. Potężne, nagie ramiona

miał zbryzgane krwią, czarną brodę umoczoną w posoce, a nabiegłe czerwone oczy

pały się w wykrzywionej radością twarzy.

— Zwycięstwo! — wykrzyknął chrapliwie w oszołomieniu. — Waść skończona! Psy

xotalancańskie martwe! Och, żeby tak choć jednego jeńca do obdarcia żywcem ze

skóry! Mimo to, dobrze widzieć ich zwłoki. Dwadzieścia martwych psów! Dwadzieścia

czerwonych ćwieków dla czarnej kolumny!

— Lepiej zajmijcie się swoimi rannymi — mruknął Conan odwracając głowę. — Hej,

dziewczyno, pokaż mi nogę!

— Czekaj chwilę! — odtrąciła go niecierpliwie. — Skąd wiemy, że to są wszyscy? To

mogła być tylko część nieprzyjaciół.

— Nie rozdzielałoby klanu na taki wypad jak ten — powiedział Olmec potrząsając głową i odzyskując nieco zdrowego rozsądku. Bez purpurowej togi wyglądał raczej na odrażającego drapieżnika niż na księcia.

Tascela podeszła wycierając miecz o nagie udo i trzymając w drugiej ręce przedmiot odebrany zabitemu przywódcy Xotalancan, przystrojonemu w pióra.

— Piszczalki szaleństwa — powiedziała. — Jeden z wojowników powiedział mi, że Xatmec otworzył bramę Xotalancanom i został zarąbany, gdy szturmowali strażnicę.

Ten wojownik nadbiegł właśnie z dalszej komnaty i zdążył to zobaczyć, a także usłyszeć ostatnie dźwięki posępnej muzyki, od której niemal dusza w nim zamarła.

Tolkmec zwykł mówić o tych piszczalkach, a Xuchotlanie przysięgali, że są ukryte gdzieś w katakumbach razem z kośćmi starożytnego maga, który używał ich za swego życia. Xotalancańskie psy zdołały je jakoś odnaleźć i odkryć ich tajemnicę.

— Ktoś powinien pójść do Xotalanc i zobaczyć, czy nie został tam ktoś przy życiu — powiedział Conan. — Pójdę, jeśli ktoś mnie poprowadzi.

Olmec spojrział na resztę swoich ludzi. Tylko dwudziestka Tecuhltlan przeżyła bitwę, przy czym kilkoro z nich leżało jęcząc na posadzce.

Tascela jako jedyna wyszła zupełnie bez szwanku, chociaż sądząc po jej wyglądzie, walczyła równie zaciekle jak wszyscy.

— Kto pójdzie z Conanem do Xotalanc? — spytał Olmec. Techotl pokuśtykał ku nim. Do starej rany w udzie doszła nowa, tym razem w lewy bok. Obie rany krwawiły.

— Ja pójdę!

— Nie, ty nie — sprzeciwił się Conan. — I ty też nie, Valerio. Za chwilę noga ci zeszywnieje.

— Ja pójdę! — zgłosił się wojownik obwiązujący bandażem rozcięte ramię.

— Bardzo dobrze, Yanath. Idź z Cymmerianinem. I ty też, Topal.

Olmec wskazał drugiego mężczyznę, który odniósł lekkie obrażenia.

— Ale najpierw pomóżcie przenieść ciężko rannych na łoża, gdzie będzie można opatrzyć ich rany.

Zrobiono to szybko. W pewnej chwili, gdy Olmec pochylał się by podnieść kobietę ogłuszoną uderzeniem maczugi, jego broda otarła się o ucho Topala. Conanowi wydało się, że książę szepnął coś do wojownika, lecz nie był pewien tego. Nie minęło wiele czasu i Cymmerianin ruszył ze swymi dwoma towarzyszami do Xotalanc. Przechodząc przez bramę Conan spojrzął wstecz, na pobojuwisko, gdzie na jarzącej się posadzce leżeli martwi, ze zlanymi krwią i wyprężonymi w ostatnim śmiertelnym wysiłku kończynami. Ich zastygłe w maski nienawiści, ciemne twarze wpatrywały się szklanymi oczyma w zielone kamienie ognia, oblewając niesamowitą scenę przyćmionym, szmaragdowym światłem. Żywi krążyli bezcelowo wśród martwych, jak w transie. Conan usłyszał jak Olmec przywołuje jedną z kobiet i nakazuje jej opatrzyć nogę Valerii. Aquilonka podążyła za kobietą do przyległej komnaty, zaczynając już lekko utykać.

Dwaj Tecuhltlanie zachowując ostrożność poprowadzili Conana przez przedsionek za wielkimi wrotami z brązu przez kolejne, migoczące zielonym ogniem komnaty. Nikogo nie spostrzegli, niczego nie usłyszeli po drodze. Kiedy przekroczyli Wielką Salę oddzielającą północną część miasta od południowej, zwiększyli czujność, świadomi bliskości wrogiego terytorium. Komnaty i sale pozostawały jednak puste. W końcu dotarli do szerokiego, mrocznego przedsionka i zatrzymali się przed wrotami z brązu podobnymi do Wrót Orła w Tecuhltli. Ostrożnie pchnęli je. Otworzyły się cicho. Zajrzeli z respektem i podziwem w głąb zielono oświetlonych pomieszczeń. Przez pięćdziesiąt

lat żaden Tecuhtlanin nie wszedł do tych sal za wyjątkiem zmierzających ku okrutnej zgubie jeńców. Pójść do Xotalanc oznaczało najstraszliwszy los, jaki mógł spotkać

człowieka z zachodniej dzielnicy miasta. Od najwcześniejszego dzieciństwa koszmar ten nawiedzał ich sny. Dla Yanatha i Topala te drzwi z brązu były wrotami piekieł.

Cofnęli się ze strachem w oczach, kuląc się z przerażenia. Conan przepchał się między nimi i wkroczył do Xotalanc.

Rozglądając się bojaźliwie na boki przekroczyli próg i poszli za nim. Jednakże tylko ich nerwowo przyspieszone oddechy zakłócały panującą tam ciszę.

Weszli do niewielkiej strażnicy, takiej jak ta za Wrotami Orla i podobnego przedsionka, który prowadził do rozległej Sali będącej odpowiednikiem Tronowej Sali Olmeca. Conan spoglądał na kilimy, otomany i draperie przedsionka nasłuchując uważnie. Niczego nie słyszał. Pomieszczenia wydawały się puste. Nie wierzył, by w Xuchotol pozostali jeszcze jacyś Xotalancanie.

— Chodźmy — mruknął i ruszył korytarzem.

Nie uszedł kilku kroków, gdy zorientował się, że tylko Yanath idzie za nim. Odwrócił się i ujrzał zastygłego z przerażenia Topala wyciągającego rękę, jakby odpychającego grożące niebezpieczeństwo, zahipnotyzowanymi, wybałuszonymi oczami wpatrującego się w coś wystającego zza otomany.

— Ki diabeł?

Nagle Conan zobaczył to, na co patrzył Topal i dreszcz przebiegł na szerokich plecach Cymmerianina. Zza otomany sterczał potworny, gadzi łeb, długi jak u krokodyla. Z górnej szczęki wystawały zakrzywione, wygięte w tył kły. Ciało potwora leżało jednak w nienaturalnym bezwładzie, a ohydne ślepia były szkliste. Conan zajrzał za sofę. Wielki gad, jakiego nigdy jeszcze nie spotkał podczas swych wędrówek po obcych krainach, leżał zwiotczały i martwy. Wokół unosił się smród i ziąb czarnych głębi ziemi, a nieokreślonego koloru zwoje miały zmieniający się zależnie od kąta

widzenia wyblakły odcień. Wielka rana na karku zdradzała przyczynę śmierci.

— To Pełzacz! — szepnął Yanath.

— To jest to, co rozrąbałem na schodach — przytaknął Conan. — Ścigało nas aż do

Wrót Orła, a potem przywlekło się tu, by zdechnąć. Jak Xotalancanie zdołali zapanować nad tą bestią?

Tecuhltlanie wzdrygnęli się i potrząsnęli głowami.

— Przywiedli to z mrocznych tuneli pod katakumbami. Odkryli tajemnice jakich nie znamy.

— No, w każdym razie to jest martwe, a gdyby mieli jakieś inne stwory zabrali by je ze sobą idąc do Tecuhltli. Chodźcie!

Niemal deptali mu po piętach, gdy przeszedł przez korytarz i pchnął masywne drzwi na jego końcu.

— Jeżeli na tym piętrze nie znajdziemy nikogo — powiedział — to zejdziemy na niższe poziomy. Przeszukamy Xotalanc od podziemi aż po dach. Jeżeli Xotalanc jest podobne do Tecuhltli, to wszystkie komnaty na tym piętrze będą oświetlone... Co, u diabła?

Weszli do obszernej sali, przypominającej Salę tronową Tecuhltli. Taki sam tron z kości słoniowej na podium z nefrytu, te same sofy, gobeliny i draperie na ścianach.

Brakowało tylko czarnej, upstrzonej czerwonymi punktami kolumny tronowej, lecz nie zabrakło świadectwa ponurej waśni. Ściana za podium pokryta była rzędami oszklonych półek, na których setki znakomicie zachowanych, ludzkich głów nieruchomymi oczami spoglądały od nie wiedzieć ilu miesięcy i lat.

Topał wymamrotał ciche przekleństwo, Yanath stał w milczeniu z szaleństwem rodzącym się w szeroko otwartych oczach. Conan zmarszczył brew — wiedział, że niemal każdy Tlazitlanin jest o włos od utraty zdrowych zmysłów. Trzęsącym się

palcem Yanath wskazał na upiorne trofea.

— Tam jest głowa mojego brata! — wybełkotał. — A tam młodszego brata mego ojca!

A tam za nimi — najstarszego syna mojej siostry!

Nagle zaczął płakać bez łez, chrapliwym głośnym szlochem wstrząsającym całym jego ciałem. Nie odrywał oczu od uciętych głów. Jego łkanie przeszło w przeraźliwy, piskliwy śmiech, a ten z kolei w trudny do zniesienia wrzask. Yanath zupełnie oszalał.

Conan położył mu rękę na ramieniu. Jak gdyby to dotknięcie wyzwoliło całe

szaleństwo z jego duszy. Yanath wrzasnął, odwrócił się i ciął mieczem. Cymmerianin

sparował cios, a Topal próbował chwycić towarzysza za ramię, lecz szaleniec wyrwał się i tocząc z ust pianę wbił miecz głęboko w ciało druha. Topal padł z jękiem, a Yanath miotał się przez chwilę po sali jak szalony derwisz. Później podbiegł do półek i bluźniąc piskliwie jął rąbać szkło.

Conan zaszedł go od tyłu próbując z zaskoczenia odebrać mu broń, ale szaleniec

odwrócił się i runął na niego wrzeszcząc jak potępieniec. Osądziwszy, że wojownik jest zupełnie obłąkany, Conan uskoczył przed ciosem i jednym uderzeniem położył go

trupem obok jego konającej ofiary.

Barbarzyńca pochylił się nad Topalem i przekonał się, że mężczyzna wydaje ostatnie tchnienie. Nawet nie warto było próbować tamowania krwi tryskającej ze strasznej rany.

— Koniec z tobą, Topal — mruknął Conan. — Chcesz coś przekazać swoim?

— Pochyl się — szepnął Topal.

— Conana usłuchał i w tej samej chwili pochwycił rękę Tecuhltlanina, unikając ciosu sztyletem w piersi.

— Na Croma! — zaklął. — Ty też oszalałeś?

— Olmec tak kazał — wyszeptał umierający. — Nie wiem dlaczego. Gdy przenosiliśmy rannych na łoża... Rozkazał zabić cię, nim wrócimy do Tecuhltli... — rzekł Topal i skonał z imieniem swojego klanu na ustach.

Zdziwiony Conan patrzył na trupa z marszem na czole. Cała ta historia zakrawała na

szaleństwo. Czy Olmec też zwariował? Czyżby wszyscy Tecuhltlanie byli bardziej szaleni, niż sądził?

Wzruszył ramionami i opuścił salę, pozostawiając obu zabitych. Z długich półek szklane oczy krewniaków patrzyły pustym spojrzeniem na zlaną krwią posadzkę. Conan nie potrzebował przewodnika wracające przez labirynt komnat. Instynktowne wycucie kierunku wiodło go nieomylnie ku Tecuhltli. Z mieczem w dłoni podążał równie czujnie jak przedtem, uważnie badając wzrokiem każdy zakręt i ciemny zakamarek. Obawiał się teraz nie duchów zabitych Xotalancan, lecz niedawnych sprzymierzeńców. Właśnie przebył Wielką Salę i wkroczył do komnat pod drugiej stronie, kiedy usłyszał przed sobą zbliżające się dźwięki. Ktoś gramolił się korytarzem, poruszając się z trudem, dysząc i z trudem łapiąc oddech. W chwilę później Conan ujrzał pełznącego ku niemu mężczyznę, który zostawiał za sobą szeroką, krwawą smugę na jarzącej się posadzce. To był Techotl... Czołgał się z wysiłkiem, jego oczy zachodziły już mgłą a z głębokiego cięcia na piersi sączył się przez zaciskające ranę palce strumień krwi. Pomagając sobie drugą ręką, wolno posuwał się do przodu.

— Conanie — zawołał zduszonym głosem. — Conanie! Olmec porwał żółtowołosą!

— A więc dlatego kazał Topalowi mnie zabić! — mruknął Conan przyklękając przy wojowniku, który, jak ocenił doświadczonego okiem, był umierający. — Olmec nie jest tak szalony, jak myślałem.

Macające palce Tuchtla zacisnęły się na ręce Conana. W zimnym, pozbawionym miłości, odpychającym świecie Tecuhltlan jego podziw i szacunek dla przybyszów z dalekiego świata tworzyły ciepłą oazę człowieczeństwa, obdarzając go ludzkimi cechami, jakich zupełnie brakowało jego współplemieńcom, przepelnionym jedynie nienawiścią, żądzą zemsty i sadystycznym okrucieństwem.

— Chciałem mu przeszkodzić — wyrzeźbił Techotl. Pieniste bańki krwi pojawiły się na

jego wargach. — Ale powalił mnie. Myślał, że mnie zabił, ale poczołgałem się dalej... Na Seta, jak długo pełzłem...! Strzeż się, Conanie, gdy będziesz wracał! Olmec może

przygotować zasadzkę! Zabij go! To bestia... Weź Valerię i uchodź! Nie obawiaj się

drogi przez puszcę. Olmec i Tascela nie powiedzieli ci prawdy o smokach. Pozabijały się nawzajem wiele lat temu, został tylko najsilniejszy. Od wielu lat był tylko ten

jeden... Skoro go zabiliście, nic wam już w puszczy nie zagraża. Smok był bogiem,

któremu Olmec oddawał cześć. Składał mu ofiary z ludzi, starców lub dzieci...

związanych rzucano z murów... Pospieszaj! Olmec zabrał Valerię do komnaty...

Głowa Techotla opadła na bok — umarł.

Conan zerwał się. Oczy płonęły mu jak węgle. Tego więc chciał Olmec, posłużywszy

się przybyszami przy zniszczeniu swych nieprzyjaciół! Można się było domyślić, że coś takiego lęgnie się w głowie czarnobrodego degenerata.

Cymmerianin ruszył szybko w kierunku Tecuhtli, na nic nie zważając. Przeliczył w

myślach szeregi niedawnych sprzymierzeńców. Tylko dwudziestu jeden Tecuhtlan,

wliczając Olmeca, przeżyło straszliwą bitwę w Sali Tronowej. Od tej pory zginęło trzech.

Pozostało osiemnastu. Rozwścieczony Conan czuł się na siłach stawić czoła całemu

klanowi. Jednak wrodzona mu przebiegłość nabyta przez bytujących w dziczy

przodków, pohamowała szaloną wściekłość. Pamiętał ostrzeżenie Techotla przed

zasadzką. Całkiem możliwe, że książę mógł coś takiego przygotować na wypadek,

gdyby Topal nie zdołał wykonać jego rozkazu. Olmec z pewnością spodziewa się, że

Conan będzie wracał tą samą drogą, którą szedł do Xotalanc.

Cymmerianin spojrział przez świetlik, pod którym przechodził i dostrzegł przyćmiony

blask gwiazd. Jeszcze nie zaczęły blednąć — do świtu było daleko. Nocne wydarzenia

przebiegły w stosunkowo krótkim czasie. Barbarzyńca skręcił w bok i zszedł krętymi

schodami na niższe piętro. Nie wiedział, gdzie na tym poziomie można znaleźć bramę

wiodącą do Tecuhtli i nie miał pojęcia, jak sforsuje zamki. Był przekonany, że

wszystkie drzwi będą zamknięte i zaryglowane, jeżeli nie z innej przyczyny, to z nabytego przez pół wieku przyzwyczajenia. Nie miał jednak innego wyjścia: musiał próbować.

Ściskając w garści miecz spieszył bezgłośnie przez labirynt zielono oświetlonych lub ciemnych pokoi i sal. Czuł, że znajduje się blisko Tecuhtli, gdy nagle jakiś odgłos zatrzymał go w miejscu. Rozpoznał co to było — jakaś ludzka istota próbowała

krzyczeć przez dławiący knebel. Głos dobiegał gdzieś z przodu. W śmiertelnie cichych komnatach nawet stłumiony dźwięk rozchodził się daleko.

Conan skręcił i zaczął szukać źródła powtarzających się krzyków.

Wreszcie zajrzawszy w uchylone drzwi zobaczył upiorną scenę. W pokoju do którego zaglądał leżała na podłodze żelazna rama a do niej przywiązano rozkrzyżowanego

olbrzyma. Jego głowa spoczywała na łożu z żelaznych kolców o końcach czerwonych już od krwi płynącej z poranionej skóry. Wymyślne jarzmo otaczało głowę

nieszczęśnika w taki sposób, że skórzana opaska nie chroniła przed kolcami. Ta uprząż łączyła się przez cienki łańcuch z mechanizmem utrzymującym olbrzymią, żelazną kulę

zawieszoną nad owłosioną piersią więźnia. Tak długo, jak długo mężczyzna pozostawał bez ruchu, żelazna kula wisiała nieruchomo, lecz kiedy ból wywołany przez żelazne

kolce zmuszał go do uniesienia głowy, bryła żelastwa opuszczała się o następne kilka cali. Po chwili obolałe mięśnie karku nie mogły dłużej utrzymać głowy w nienaturalnej pozycji, znów opadała na kolce. Było oczywiste, że w końcu kula zgniecie go na

miazgę, wolno i nieubłaganie. Wybałuszone, czarne oczy zakneblowanej ofiary zwróciły się z niemym błaganiem ku stojącemu w drzwiach, zdumionemu Conanowi.

Człowiekiem przywiązanym do żelaznej ramy był Olmec, ksiązę Tecuhtli.

6

— Czemu zabrałeś mnie do tej komnaty, by obandażować mi nogę? — pytała Valeria.

— Nie mogłaś tego równie dobrze zrobić w Sali Tronowej?

Siedziała na łożu z wyciągniętą przed siebie zranioną nogą, a Tecuhtlanka właśnie skończyła ją owiazywać jedwabnymi bandażami. Zbroczony krwią miecz Valerii leżał

obok niej, na sofie. Mówiąc do kobiety zmarszczyła się groźnie. Ciemnoskóra wykonała swoje zadanie sprawnie i cicho, ale Valerii nie podobał się ani wyraz jej twarzy, ani długotrwały, pieszczotliwy dotyk smukłych palców.

— Resztę rannych zabrano do innych komnat — odparła kobieta miękką mową

Tecuhltlanek nie łączącą się ani z miękkością, ani z delikatnością mówiących. Chwilę wcześniej Aquilonka widziała tę samą kobietę przebijającą mieczem pierś Xotalanki i

kopnięciem wybijającą oko rannemu wrogowi.

— Ciała zabitych zniosą do katakumb — dodała — żeby duchy nie uciekły do komnat

i nie zamieszkały w nich.

— Wierzysz w duchy? — spytała Valeria.

— Wiem, że duch Tolkmeca mieszka w katakumbach — odparła zapytana ze

wzdrygnięciem. — Kiedyś sama go widziałam w krypcie, skulonego wśród kości

martwej królowej. Przybrał postać odwiecznego starca z długą, białą brodą i włosami

oraz płonącymi czerwono w ciemności oczyma. To był on, Tolkmec. Widziałam go

będąc dzieckiem, gdy wzięto go na tortury.

Jej głos opadł do przerażającego szeptu — Olmec się śmieje, ale ja WIEM, że duch

Tolkmeca przebywa w katakumbach! Mówią, że to szczury ogryzają ciała zmarłych —

ale duchy też jedzą ciała. Kto wie oprócz... Cień padł na sofę i kobieta obejrzała się szybko. Valeria podniosła wzrok i zobaczyła wpatzonego w nią Olmeca. Książę

oczyścił swoje ręce, tors i brodę z krwi, którą był zbryzgany — lecz nie zmienił togi.

Jego wielkie, ciemnoskóre, włochate ciało okryte purpurową materią nadal

przypominało drapieżne zwierzę. Głębokie, czarne oczy płonęły prymitywną żądzą, a

palce gładzące gęstą brodę zdawały się kurczyć gwałtownie. Skupił wzrok na kobiecie, ta podniosła się i wysliznęła z komnaty. Wychodząc rzuciła Valerii przez ramię

spojrzenie pełne cynicznego szyderstwa i sprośnej kpiny.

— Niezdarnie to zrobiła — skrytykował książę podchodząc do otomany i pochylając

się nad opatrunkiem. — Pozwól mi...

Z szybkością zdumiewającą u kogoś jego rozmiarów pochwycił jej miecz i odrzucił w kąt. W następnej chwili porwał ją w swoje potężne ramiona. W mgnieniu oka Valeria chwyciła za sztylet i wymierzyła mordercze pchnięcie w gardło napastnika.

Niespodziewany cios prawie sięgnął celu. Raczej dzięki szczęściu niż zręczności

Olmecowi udało się złapać ją za rękę i rozpoczęły się dzikie zapasy. Aquilonka

atakowała pięściami, nogami, kolanami, zębami i paznokciami, używając całej swej siły i umiejętności walki wręcz nabytej przez lata włości i walk na lądzie i morzu.

Wszystko to na nic się nie zdało przeciw brutalnej sile księcia. Już w pierwszym starciu straciła sztylet i nie zostało jej nic, co mogłoby sprawić dotkliwy ból olbrzymiemu

napastnikowi. Posępne, czarne oczy Olmeka jarzyły się złowrogim blaskiem, a ich

wyraz doprowadził dziewczynę do wściekłości, potęgowanej przez sardoniczny

uśmiech przyklejony do jego warg. Te oczy i uśmiech zawierały cały cynizm i

okrucieństwo kryjące się w umysłach tej zdegenerowanej, wyrafinowanej rasy. Po raz

pierwszy w życiu Valeria doświadczyła strachu przed mężczyzną. Zdawało się jej, że

walczy z jakimś potężnym, prymitywnym żywiołem. Żelazne ramiona napastnika

udaremniały wszelkie jej ataki z dziecinną łatwością. Sprawiał wrażenie odpornego na każdy ból, jaki mogła mu zadać. Zareagował tylko raz, gdy z pasją zatopiła białe zęby w jego przegubie, aż popłynęła krew. Wtedy trzepnął ją otwartą dłonią w bok głowy tak silnie, że zobaczyła wszystkie gwiazdy i zachwiała się.

Koszula Valerii rozdarła się w czasie szamotaniny. Olmek z zimnym okrucieństwem

potarł gęstą brodą nagie piersi dziewczyny wydobywając krzyk bólu i wściekłości z jej ust.

Szaleńczy opór był bezskuteczny; rozbrojoną i dyszącą ciężko przygniótł do sofy, nie zważając na wściekłe spojrzenia jej płonących oczu. W chwilę później pospiesznie opuszczał komnatę, unosząc dziewczynę w ramionach. Nie stawiała oporu, lecz błysk w

oczach zdradzał, że przynajmniej jej duch pozostał niezwyciężony. Nie krzyczała

wiedząc, że Conan jest poza zasięgiem głosu i nie przypuszczając, by ktoś w Tecuhtli mógł sprzeciwić się księciu. Zauważyła jednak, że Olmec skradał się nadstawiając ucha, jakby nasłuchując odgłosów pogoni i nie wrócił do Sali Tronowej. Przeniósł ją przez

drzwi znajdujące się naprzeciw tych którymi wszedł, przemierzył następny pokój i

zaczął cicho iść korytarzem. Kiedy Valeria nabrała pewności, że księżę obawia się, iż ktoś przeszkodzi w porwaniu, obróciła głowę i wrzasnęła ile sił w piersiach. W nagrodę otrzymała policzek, który na wpół ją ogłuszył i Olmec przyspieszył kroku, przechodząc w człapiący galop.

Krzyk poniósł się echem po korytarzu i oglądając się, częściowo oślepiąca przez łzy i gwiazdy wirujące jej przed oczami, Valeria zobaczyła kuśtykającego za nimi Techotla.

Olmec odwrócił się z warknięciem, przekładając kobietę pod pachę i trzymając ją w tej niewygodnej, zupełnie pozbawionej godności pozycji wijącą się i kopiącą bezsilnie jak dziecko.

— Olmec! — protestował Techotl. — Nie możesz być takim psem... Nie rób tego! To kobieta Conana! Pomogła nam zabić Xotalancan i...

Bez słowa Olmec zwinął wolną dłoń w olbrzymią pięść i jednym ciosem rozciągnął rannego wojownika u swych stóp. Nie zważając na szamotanie i przekleństwa branki pochylił się, wyjął miecz Techotla z pochwy i pchnął wojownika w pierś. Potem odrzucił broń i ruszył korytarzem. Nie zauważył ciemnej kobiecej twarzy zerkającej ostrożnie spoza draperii. Twarz zniknęła, a po chwili Techotl jęknął, poruszył się, wstał z trudem i odszedł chwiejnym, zataczającym się krokiem jak pijak, wzywając Conana.

Olmec pospiesznie przeszedł korytarz i zszedł po krętych schodach z kości słoniowej. Minał kilka pomieszczeń i w końcu zatrzymał się w obszernej komnacie o trzech ścianach zasłoniętych grubymi draperiami; w czwartej osadzone były ciężkie, mosiężne drzwi podobne do Wrót Orła piętro wyżej. Poruszony do głębi, wskazał na nie.

— To jedne z drzwi prowadzących na zewnątrz Tecuhltli. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat nie są strzeżone. Nie potrzebujemy już straży, bo nie ma już Xotalancan.

— Dzięki Conanowi i mnie, ty przekłety łotrze! — urągała Valeria trzęsąc się z furii i wstydu. — Zdradziecki psie! Conan poderżnie ci za to gardło!

Olmec nie trudził się, by wyrazić swoje przekonanie, że zgodnie z wydanym rozkazem to Conan ma już poderżnięte gardło. Był zbyt cyniczny by interesowały go

myśli czy opinie Valerii. Pożerał ją płomiennym wzrokiem, zatrzymując go dłużej na wspaniałych przestrzeniach nagiego, białego ciała odsłoniętego w miejscach, gdzie koszula i spodnie rozdarły się w czasie szamotaniny.

— Zapomnij o Conanie — rzekł chropawo. — Olmec jest panem Xuchotl. Nie ma już Xotalancan. Nie będzie więcej walki. Będziemy spędzać czas pijąc wino i kochając się.

Najpierw wypijmy!

Usadowił się na stole z kości słoniowej i przemocą posadziwszy sobie Valerię na kolanach, rozsiadł się niczym ciemnoskóry satyr z białą nimfą w ramionach. Ignorując jej przekleństwa, zupełnie nie pasujące do nimfy, trzymał ją bezradną, obejmując jednym ramieniem kibić, a drugim sięgając po naczynie z winem.

— Pij! — rozkazał przytykając je do warg Valerii. Targnęła głową. Trunek rozlał się parząc jej wargi i oblewając nagie piersi.

— Twój gość nie lubi takiego wina, Olmec — przemówił chłodny, sardoniczny głos.

Książę zeszywniał i w jego płomiennych oczach pojawił się lęk. Wolno obrócił wielką głowę i popatrzył na Tascelę upozowaną niedbale w osłanianych draperią drzwiach.

Valeria przekręciła się w żelaznym uścisku i chłodny dreszcz przebiegł jej po krzyżu, kiedy napotkała palący wzrok księżniczki. Tej nocy dusza dumnej Valerii doznała wielu nowych wrażeń. Dopiero co nauczyła się strachu przed mężczyzną — teraz dowiedziała

się, czym jest strach przed kobietą. Olmec siedział bez ruchu. Jego śniada skóra przybrała szary odcień. Tascela stała z jedną ręką opartą na gładkim biodrze. Teraz wyciągnęła drugą rękę ukazując małe, złote naczynie ukryte do tej pory za plecami.

— Obawiam się, że nie będzie jej smakować twoje wino, Olmec — zamruczała księżniczka — więc przyniosłam trochę swojego, tego, jakiego przyniosłam ze sobą dawno temu znad brzegów Jeziora Zuad. — Rozumiesz, Olmec?

Na czole księcia wystąpiły grube krople potu. Uchwyt, w jakim trzymał Valerię, rozluźnił się na tyle, że zdołała wyrwać się i przebiec na drugą stronę stołu. Mimo że rozsądek nakazywał jej natychmiastową ucieczkę, jakaś niezrozumiała fascynacja

zatrzymywała ją w komnacie. Tascela podeszła do siedzącego księcia kołyszącym, płynnym krokiem, który sam w sobie był szyderstwem. Jej głos brzmiał miękko i pieszczotliwie, lecz w oczach miała niebezpieczne błyski. Szczupłymi palcami lekko pociągnęła za brodę Olmeca.

— Jesteś samolubny, Olmec — mruzczała uśmiechając się. — Zatrzymałbyś naszego pięknego gościa dla siebie, chociaż wiedziałeś, że chcę ją ugościć? Wielka jest twoja wina, Olmec. Na ułamek chwili maska opadła z jej twarzy, oczy rozbłyły wściekłością, usta wykrzywiły się, a dłoń na brodzie księcia zacisnęła się kurczowo w zadziwiającym pokazie siły wydzierając garść włosów. Lecz nawet ten dowód nadludzkiej mocy był mniej przerażający niż piekielna furia szalejąca pod maską łagodności.

Olmec z rykiem porwał się na nogi i stał kołysząc się jak niedźwiedź, zaciskając i otwierając potężne pięści.

— Suko! — jego dudniący głos napełnił pokój. — Czarownico! Diablico! Tecuhltli powinni cię zabić pięćdziesiąt lat temu! Strzeż się! Za dużo znosiłem! Ta białoskóra dziewczka jest moja! Precz stąd, nim cię zabiję!

Księżniczka zaśmiała się i cisnęła mu w twarz zlepione krwią kłaki. Jej uśmiech był bezlitosny jak brzęk krzemienia o stal.

— Kiedyś mówiłeś inaczej Olmec — szydziła. — Kiedyś w dniach swej młodości, przemawiałeś słowami miłości. Tak, byłeś kiedyś mym kochankiem, wiele lat temu, a ponieważ mnie kochałeś, spałeś w mych ramionach pod zaczarowanym lotosem

— i oddałeś w ten sposób w moje ręce łańcuchy, które cię spętały. Wiesz dobrze, że nie możesz stawić mi czoła. Wiesz, że wystarczy mi tylko spojrzeć na ciebie i magiczna moc, której przed laty nauczył mnie stygijski kapłan, uczyni cię bezsilnym. Przypomnij sobie tę noc pod czarnym lotosem falującym nad nami, poruszonym podmuchem nie z tego świata. Znowu poczujesz nieziemskie zapachy unoszące się wokół i otaczające cię jak chmura, by cię zniewolić. Nie możesz ze mną walczyć. Jesteś moim niewolnikiem,

tak jak tamtej nocy — i będziesz nim do końca swych dni.

— Olmecu z Xuchotl!

Głos Tasceli przeszedł w pomruk, brzmiący jak szmer strumienia płynącego przez rozświetlone gwiazdami ciemności. Zbliżyła się do księcia i położyła rozpostarte palce o długich, ostrych paznokciach na jego szerokiej piersi. Natychmiast wzrok mu zmętniał a wielkie dłonie opadły bezwładnie po bokach. Ze złośliwym uśmiechem okrutna Tascela uniosła naczynie i przytknęła je do jego warg.

— Pij!

Olmec usłuchał bezwiednie. Po pierwszym łyku jego oczy przestały być szkliste.

Napełniły się zrozumieniem, wściekłością i przeraźliwym lękiem. Otworzył usta, lecz nie wydał dźwięku. Przez chwilę chwiał się na uginających się nogach, wreszcie osunął się na posadzkę jak zmięty łachman.

Jego upadek wyrwał Valerię z odrętwienia. Obróciła się i skoczyła do drzwi, ale

Tascela wyprzedziła ją z szybkością pantery spadającej na ofiarę. Valeria uderzyła pięścią, wkładając w cios całą siłę ramienia. Takie uderzenie powinno rozciągnąć

każdego przeciętnego człowieka na podłodze, lecz Tascela zwinnym skrętem tułowia

uniknęła ciosu i chwyciła przegub Aquilonki. Następnie unieruchomiła lewą rękę Valerii i trzymając oba przeguby w swojej lewej ręce, spokojnie zawiązała je wydobytym zza

pasa sznurem. Valeria myślała, że tej nocy doznała już najgorszego upokorzenia, ale

wstyd z powodu sromotnej porażki z księciem był niczym w porównaniu z uczuciami,

jakie miały ją po tej walce. Zawsze gardziła innymi przedstawicielkami swojej płci i spotkanie innej kobiety, która mogła obchodzić się z nią jak z dzieckiem, wstrząsnęła nią do głębi. Prawie nie stawiała oporu, gdy Tascela siłą posadziła ją na krześle i

przywiązała do niego. Obojętnie przestąpiwszy przez ciało Olmeca, Tascela podeszła

do mosiężnych drzwi, trzasnęła rygłem i rozwarła je silnym pchnięciem odsłaniając wąski korytarz.

— Te drzwi prowadzą — napomknęła, po raz pierwszy zwracając się do pojmanej —

do komnaty, używanej kiedyś jako sala tortur. Kiedy schroniliśmy się w Tecuhltli zabraliśmy większość urządzeń ze sobą, ale jedno zostało, zbyt ciężkie, by je ruszyć.

Nadal działa. Myślę, że będzie zupełnie odpowiednie.

W oczach Olmeca pojawił się błysk zrozumienia i strachu. Tascela podeszła do niego, schyliła się i chwyciła go za włosy.

— Jest tylko chwilowo sparaliżowany — nadmieniła tonem towarzyskiej pogawędki. — Słyszy wszystko, myśli i czuje — o tak, czuje naprawdę doskonale!

Wypowiedziawszy tę zgryźliwą uwagę ruszyła ku drzwiom z łatwością ciągnąc za sobą olbrzymie cielsko księcia. Valeria otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Księżniczka weszła do korytarza i nie zatrzymując się poszła dalej, znikając ze swą ofiarą w komnacie, z której doleciał ją szcęk żelaza.

Valeria zakłęta cicho i szarpnęła się w więzach, zapierając się nogami o krzesło — daremnie. Sznur, którym ją spętano był najwidoczniej nie do zerwania. Tascela niebawem wróciła, z komnaty zaś dobiegały zduszone jęki. Zamknęła drzwi, lecz nie zarygłowała ich. Najwidoczniej siła przyzwyczajenia nie rządziła nią, podobnie jak inne ludzkie emocje i instynkty.

Valeria siedziała oszołomiona, obserwując kobietę w szczupłych dłoniach której — jak sobie uświadomiła — spoczywał jej los. Tascela chwyciła złote loki Aquilonki i odchyliła jej głowę w tył zaglądając w twarz. Błyszczące, ciemne oczy księżniczki miały dziwny wyraz.

— Czeka cię wielki zaszczyt — powiedziała. — Odnowisz młodość Tasceli. Och, wytrzeszczasz oczy! Wyglądam młodo, lecz w me żyły wkrada się leniwy chłód podeszłego wieku, jak to czułam już tysiące razy. Jestem stara, tak stara, że nie pamiętam swojego dzieciństwa. Kiedyś byłam dziewczyną, a stygijski kapłan pokochał mnie i zdradził sekret nieśmiertelności i wiecznej młodości. Potem umarł — niektórzy mówili, że od trucizny. Ja jednak mieszkałam w moim pałacu nad brzegami Jeziora

Zuad i mijające lata nie tknęły mnie ani mej urody. W końcu zapragnął mnie król Stygii, ale mój lud zbuntował się przeciw niemu i przybyliśmy tutaj. Olmec obwołał mnie

księżniczką, ale chociaż nie ma w moich żyłach królewskiej krwi, jestem więcej niż księżniczką. Jestem Tascela, której przywrócisz młodość!

Valerii zaschło w ustach. Czowała, że w słowach Tasceli kryje się tajemnica bardziej przerażająca niż mogła się spodziewać po zwyrodniałym umyśle Tecuhtlanina.

Księżniczka odwiązała Aquilonkę od krzesła i postawiła na nogi. To nie lęk przed straszną siłą drzemiącą w mięśniach Tasceli uczynił z Valerii bezradnego, drżącego więźnia. Sprawily to płonące hipnotycznym blaskiem oczy Tasceli.

7

— No, niech będę Kushitą! — Conan spojrział na leżącego. — Co ty tu robisz, do diabła?

Zza knebla dobiegały zduszone dźwięki. Conan schylił się i wydarł szmatę z ust więźnia, który wrzasnął głośno ze strachu, bowiem w wyniku gwałtownego ruchu żelazna kula opadła w dół, niemal dotykając szerokiej piersi księcia.

— Na Seta, uważaj! — błagał Olmac.

— Niby czemu? — dopytywał się Conan. — Czy myślisz, że obchodzi mnie, co się z tobą stanie? Chciałbym tylko mieć dość czasu, by stać tutaj i patrzeć jak ten kawał żelastwa wycisnie z ciebie flaki. Niestety, spieszę się. Gdzie jest Valeria?

— Uwolnij mnie! — ponaglał Olmec. — Wszystko powiem! — Najpierw powiedz.

— Nigdy! — książę uparcie zacisnął kwadratowe szczęki.

— W porządku — Conan usadowił się na ławce obok. — Sam ją znajdę, kiedy zostanie z ciebie galareta. Myślę, że mogę przyspieszyć ten proces wkręcając ci koniec miecza w ucho — dodał, wyciągając miecz w stronę głowy leżącego.

— Czekaj! — z popielatoszarych warg więźnia posypały się bezładne słowa. —

Tascela mi ją zabrała. Zawsze byłem tylko narzędziem w rękach Tasceli.

Tascela? — parsknął Conan i splunął — Ty parszywy...

— Nie, nie! — dyszał Olmec. — Jest gorzej, niż myślisz. Tascela jest stara — ma setki lat. Odnawia swoją młodość i przedłuża sobie życie składając ofiary z pięknych,

młodych dziewcząt. Oto jedna z przyczyn niewielkiej liczebności naszego klanu.

Tascela wydobędzie esencję życia z ciała Valerii i zakwitnie świeżym pięknem i nową energią.

— Bramy są zamknięte? — spytał Conan, próbując kciukiem ostrza swego miecza.

— Tak! Ale wiem, jak dostać się do Tecuhtli. Tylko Tascela i ja znamy tę drogę, a ona sądzi, że już się mnie pozbyła. Uwolnij mnie. Przysięgam, że pomogę ci uwolnić

Valerię. Bez mojej pomocy nie dostaniesz się do Tecuhtli, bo nawet gdybyś torturami zmusił mnie do wyjawienia tajemnicy, to sam nie potrafisz otworzyć drzwi. Pozwól mi

iść z tobą. Podkradniemy się do Tasceli i zabijemy ją, nim zdąży użyć swojej magii —

nim spojrzy na nas. Cios nożem w plecy dokona dzieła. Powinienem już dawno zrobić

w ten sposób, ale bałem się, że bez jej pomocy Xotalancanie zwyciężą. Ona też

potrzebowała mojej pomocy i tylko dla tego powodu pozwoliła mi żyć tak długo. Teraz

nie potrzebujemy się już wzajemnie i jedno z nas musi umrzeć. Przysięgam, że kiedy

zabijemy czarownicę, ty i Valeria odejdziecie nie niepokojeni. Moi ludzie posłuchają mnie, gdy Tascela umrze.

Conan pochylił się i przeciął więzy księcia. Olmec wysliznął się ostrożnie spod

wielkiej kuli i wstał, potrząsając głową jak byk, mamrocząc przekleństwa i obmacując poszarpaną skórę na głowie. Stojąc ramię w ramię, dwaj mężczyźni prezentowali

groźny obraz prymitywnej siły. Równy wzrostem Conanowi i bardziej krępy Olmec miał

w sobie coś odpychającego, coś zwierzęcego i mrocznego, co niekorzystnie

kontrastowało z czystymi liniami zwartej sylwetki Cymmeriani—na. Conan porzucił

resztki swej podartej, przesiąkniętej krwią koszuli i został półnagi, ukazując

imponującą muskulaturę. Jego olbrzymie barki były równie szerokie jak bary Olmeca

lecz lepiej zarysowane, a potężna, wyżej sklepiona pierś przechodziła w twarde brzuch pozbawiony miękkiej wypukłości. Conan wyglądał jak wykuty w brązie posąg. O ile

barbarzyńca mógł być wzięty za istotę z zarania czasu, o tyle Olmec przypominał ponury relikw z czasów jeszcze wcześniejszych.

— Prowadź — zażądał Conan — i trzymaj się z przodu. Nie ufam ci bardziej niż bykowi targanemu za ogon.

Olmec obrócił się i poszedł przodem, gładząc jedną ręką poszarpaną brodę. Nie poprowadził Conana przez mosiężne wrota, które jak mylnie przypuszczał, Tascela zamknęła, lecz do jednej z komnat na granicy Tecuhtli.

— Ten sekret był strzeżony przez pół wieku — powiedział. — Nawet nasz klan go nie zna, a Xotalancanie nigdy go nie odkryli. Sam Tecuhtli zbudował to ukryte wejście,

zabijając potem niewolników którzy je zrobili. Obawiał się, że któregoś dnia Tascela, której miłość do niego szybko zmieniła się w nienawiść, zamknie przed nim bramy

Tecuhtli. Ona jednak odkryła tajemnicę i zabarykadowała ukryte drzwi, gdy wracał z nieudanego wypadu na Xotalancan. Pochwycili go i obdarli żywcem ze skóry. Śledziłem ją kiedyś. Zobaczyłem, jak wchodzi tą drogą do Tecuhtli — tak odkryłem sekret.

Nacisnął złoty ornament w ścianie i płyta odsunęła się odsłaniając wiodące w górę schody z kości słoniowej.

— Te schody wbudowano w ścianę — powiedział Olmec. — Prowadzą do wieży nad dachem, a stamtąd innymi schodami można dostać się do różnych komnat. Pospieszaj!

— Za tobą, przyjacielu! — odparł ironicznie Conan, kołysząc długim mieczem. Olmec wzruszył ramionami i wstąpił na schody. Conan natychmiast ruszył za nim. Drzwi same zamknęły się po ich przejściu. Umieszczone wysoko w górze kamienie ognia zamieniły klatkę schodową w studnię słabego, skupionego światła.

Mozolnie wspinali się po krętych stopniach, by w chwili, gdy Conan oszacował, że

znajdują się powyżej trzeciego piętra, dotrzeć do owalnej komnaty o kopulastym suficie, w którym osadzono oświetlające schody kamienie ognia. Przez oprawione w złoto tafle z nietłukącego się kryształu — pierwsze prawdziwe okna, jakie widział w Xuchotl — Conan dostrzegł wysokie dachy, kopuły i wieże majaczące groźnie na tle rozgwieżdżonego nieba. Spoglądał na dachy Xuchotl.

Olmec nie patrzył przez okna, Ruszył pospiesznie jednymi z kilku schodów, które prowadziły z wieży w dół i gdy zeszli kilka stóp znaleźli się w wąskim, długim korytarzu. Na końcu korytarza czekały kolejne strome schody. Nagle Olmec przystanął.

Gdzieś w dole zabrzmiał kobiecy krzyk strachu, wściekłości i wstydu, stłumiony przez grube mury, lecz mimo to wyraźny. Conan rozpoznał głos Valerii. Rozwścieczony do

nieprzytomności Cymmerianin, zajęty myślą jakie to zagrożenie wyrwało taki wrzask z ust zuchwałej Valerii zapomniał na moment o Olmecu. Przecisnął się obok księcia i ruszył w dół schodów. Instynkt obudził się w nim w tej samej chwili, gdy Olmec uderzył swą wielką pięścią jak młotem. Gwałtowny i cichy cios wymierzony był w podstawę czaszki Conana. Barbarzyńca odwrócił się jednak w samą porę i przyjął uderzenie w nasadę karku. Siła ciosu złamałaby kręgi słabszego mężczyzny, lecz Conan tylko

zachwiał się, upuścił miecz bezużyteczny przy walce z tak bliskiej odległości i padając złapał wyciągnięte ramię Olmeca, pociągając księcia za sobą. Runęli ze schodów razem na łeb na szyję, jak splątany kłęb głów, nóg i rąk. Już spadając Conan odszukał byczy kark Olmeca i zacisnął na nim żelazne palce. Szyja i ramię barbarzyńcy zdrętwiały od uderzenia olbrzymiej pięści Tecuhltlanina, który uderzył jak kafar, wkładając w cios całą siłę masywnego przedramienia i potężnych bicepsów. Jednak uderzenie nie odebrało

Conanowi siły. W czasie upadku trzymał gardło przeciwnika zaciekle jak buldog. Toczyli się, tłukąc i objając o stopnie, aż w końcu rąbnęli na końcu schodów w drzwi z kości słoniowej z takim impetem, że rozbili je w drzazgi i wpadli do komnaty. Zanim to

nastąpiło, Olmec już nie żył. Jeszcze na schodach żelazne palce Cymmerianina wydusiły mu zdradziecki dech i złamały kark.

Conan podniósł się otrząsając drzazgi z wielkich ramion, ocierając krew i kurz z

twarży. Znajdował się w Wielkiej Sali Tronowej. Oprócz niego było w niej piętnaście osób. Jako pierwszą zobaczył Valerię.

Przed podium z tronem stał dziwny, czarny ołtarz. Wokół niego siedem czarnych świec w złotych lichtarzach wysyłało wijące się spirale gęstego, zielonego dymu o niepokojącym zapachu. Spirale dymu łączyły się pod sufitem w chmurę, tworzącą dymną kopułę nad ołtarzem, na którym leżała zupełnie naga Valeria. Jej ciało wyglądało szokująco białe w porównaniu z błyszczącym hebanowo kamieniem. Leżała rozciągnięta na ołtarzu, z rękami nad głową. Nie była związana. U jednego końca ołtarza klęczał młody mężczyzna, trzymając mocno jej nadgarstki, a na drugim końcu młoda kobieta przytrzymywała ją za kostki nóg. Valeria nie mogła się podnieść ani nawet poruszyć.

Zgromadzeni Tecuhltlanie klęczeli w półokręgu, milcząco obserwując wydarzenia rozpalonymi, pełnymi żądzy krwi oczami. Tascela rozpierała się na tronie z kości słoniowej. Mosiężne czary z kadzidłem snuły wokół niej wstęgi dymu. Gęste pasma owijały się wokół jej nagich członków jak pieszczące palce. Nie mogła usiedzieć spokojnie; wiła się i unosiła w zmysłowym zapamiętaniu, jakby znajdowała przyjemność w kontakcie z gładką kością słoniową. Trzask drzwi rozlatujących się pod uderzeniem dwóch spadających ciał niczego nie zmienił. Klęczący mężczyźni i kobiety spojrzeli tylko bez zainteresowania na zwłoki swego księcia oraz podnoszącego się z posadzki mężczyznę i z powrotem odwrócili łakome oczy ku białej postaci, preżającej się na czarnym ołtarzu. Tascela popatrzyła na Cymmerianina bezczelnie i z drwiącym uśmiechem rozparła się w fotelu.

— Suka! — Conan zobaczył czerwone plamy przed oczami. Ruszył ku księżniczce zaciskając swe pięści ja żelazne młoty.

Po pierwszym kroku usłyszał metaliczny szcęk i zimne żelazo wbiło się w jego nogę. Powstrzymany w marszu, potknął się i prawie że upadł. Na jego nodze zatrzasnęły się

szcęki żelaznej pułapki, głęboko wbijając zęby. Tylko naprężone mięśnie łydki ocaliły kość przed strzaskaniem. Przeklęty potrzask wyskoczył bez ostrzeżenia z czerwonej

posadzki. Przyglądając się uważnie, Conan widział teraz doskonale zamaskowane zapadnie, kryjące inne sidła.

— Głupcze! — zaśmiała się Tascela. — Myślałeś, że nie spodziewam się twego powrotu? Każdych drzwi w tej sali strzegą takie pułapki. Stój tam i patrz, jak dopełni się przeznaczenie twojej pięknej przyjaciółki. Potem zadecyduję o twoim losie.

Conan instynktownie sięgnął ręką do pasa, tylko po to, by napotkać pustą pochwę.

Miecz został na schodach, a sztylet w lesie, tam gdzie smok wydarł go ze swej paszczy. Stalowe zęby wbite w nogę paliły jak rozżarzone węgle, lecz ból nie był tak straszliwy jak wściekłość, kipiąca w jego duszy. Schwymano go w pułapkę, jak wilka.

Gdyby miał swój miecz odrąbałby sobie nogę i poczołgał się po posadzce by zabić

Tascelę. Oczy Valerii pobiegły do niego z niemym błaganiem, a poczucie bezsilności

powodowało, że czerwone fale szaleństwa przelewały się pod czaszką Conana.

Przyklękawszy na swej wolnej nodze usiłował wcisnąć palce między szczęki potrzasku

i rozewrzeć je. Krew trysnęła mu spod paznokci, ale stal otaczała ciasno łydkę

pierścieniem o połowach tak zaciśniętych i tak dopasowanych, że między udręczonym

ciałem a zębatym żelazem nie było najmniejszej szczeliny. Widok nagiego ciała Valerii podsycił jego wściekłość.

Tascela nie zwracała na niego uwagi. Wstała ociężale z fotela, omiotła badawczym

spojrzeniem szeregi poddanych i spytała.

— Gdzie Xamec, Zlanath i Tichic?

— Nie wrócili jeszcze z katakumb, księżniczko — odpowiedział jeden z mężczyzn. —

Tak jak my, znosili ciała zabitych do krypt, ale nie powrócili. Może zabrał ich duch Tolkmece?

— Milcz, głupcze! — nakazała szorstko. — Duch to tylko wymysł.

Zeszła z podium bawiąc się cienkim sztyletem o złotej rękojeści. Jej oczy pały

piekielnym blaskiem. Zatrzymała się przed ołtarzem i przemówiła w napiętej ciszy.

— Twoje życie uczyni mnie znów młodą, biała kobieto! — powiedziała. — Oprę się na twojej piersi, położę moje wargi na twoich i wolno, och, wolno zatopię ostrze w twym sercu, tak że twoje życie uciekając ze sztywniejącego ciała wejdzie w moje i napełni je młodością i siłą.

Powoli, jak wąż zbliżający się do ofiary, pochylała się wśród snujących się dymów nad znieruchomiałą z przerażenia Valerią, wbijając w nią swe płonące, czarne oczy — coraz większe i głębsze, błyszczące jak dwa księżycy wśród wirujących kłębow kadzidła.

Kłęczący zacisnęli dłonie i wstrzymali oddechy wyczekując w napięciu krwawego finału i tylko wściekłe sapanie Conana, usiłującego wyrwać nogę z pułapki, przerywało ciszę. Oczy wszystkich patrzących skupiły się na ołtarzu i białej postaci rozciągniętej na nim. Wydawało się, że chyba tylko huk piorunów mógłby złamać czar. A jednak cichy

okrzyk wstrząsnął widzami i sprawił, że wszyscy odwrócili się gwałtownie.

Spojrzeli na drzwi po lewej stronie podium i zobaczyli zjawę koszmarną, na widok której włosy stawały na głowie. W drzwiach stał mężczyzna o zmierzwiionych, siwych włosach i postrzępionej, białej brodzie spadającej mu na piersi. Łachmany tylko częściowo okrywały wychudłą postać, odsłaniając półnagie członki o dziwnie nienaturalnym wyglądzie. Jego skóra nie była skórą normalnego człowieka. Wydawała się łuszczyć, jakby jej posiadacz przebywał długo w warunkach zupełnie odmiennych od tych, w jakich zwykle trwa ludzkie życie, a płonące wśród splątanej grzywy włosów oczy nie miały w sobie nic ludzkiego: wielkie, błyszczące dyski spoglądały nieruchomo, bez śladu normalnych uczuć czy rozsądku. Z rozdziawionych ust nie wydobywały się składane dźwięki, tylko piskliwy chichot.

— Tolkmec — szepnęła poszarzała ze strachu Tascela, podczas gdy pozostali kulili się w niemym przerażeniu. — Więc to nie wymysł, nie duch! Na Seta! Dwanaście lat ukrywałeś się w ciemnościach! Dwanaście lat wśród kości zmarłych! Jaką okropną strawą się żywiłeś? Jakie obłąkane życie wiodłeś w ciemnościach wiecznej nocy? Teraz wiem, dlaczego Xamec, Zlanath i Tachic nie wrócili z katakumb — i nigdy nie wrócą.

Tylko dlaczego czekałeś tak długo? Szukałeś czegoś w podziemiach? Wiedziałeś, że ukryto tam jakąś tajemną broń? I znalazłeś ją w końcu?

Jedyną odpowiedzią Tolkmeca był ohydny chichot. Wpadł do komnaty długim susem przeskakując ukryty przed drzwiami potrzask — przypadkiem, a może pamiętając o pułapkach Xuchotl. Tak długo przebywał z dala od ludzkości, że nie można było go nazwać obłąkanym człowiekiem — niewiele miał w sobie ludzkiego. Tylko słaba nić wspomnień wywołujących nienawiść i chęć zemsty łączyła go ze światem, z którego uciekł i utrzymywała go w pobliżu znenawidzonych ludzi. Tylko to powstrzymywało go przed zniknięciem na zawsze w czarnych korytarzach i salach podziemnego królestwa, które odkrył dawno temu.

— Szukałeś czegoś! — szepnęła Tascela kuląc się. — I znalazłeś! Pamiętasz o waśni!

Po tych wszystkich latach w mroku — pamiętasz!

Chuda ręka Tolkmeca wymachiwała teraz dziwną laseczką koloru nefrytu, której

jeden koniec wieńczyła jarząca się, czerwona gałka w kształcie jabłka granatu. Tascela uskokczyła w bok, gdy starzec uniósł ramię i z kulistego zakończenia trysnął promień

szkarłatnego ognia. Chybił, lecz kobieta trzymająca nogi Valerii znalazła się na drodze promienia. Ognista Unia trafiła ją między łopatki i przeszła na wylot. Dał się słyszeć ostry trzask. Promień uderzył w czarny ołtarz sypiąc niebieskimi skrami. Kobieta upadła na posadzkę, pomarszczona i zeschnięta jak mumia. Valeria sturlała się na drugą

stronę ołtarza i ruszyła na czworakach pod przeciwległą ścianę. W sali tronowej

martwego Olmeca rozpętało się piekło.

Mężczyzna, który trzymał ręce Valerii umarł jako następny. Odwrócił się by uciec, lecz nim podbiegł pół tuzina kroków, Tolkmec ze zdumiewającą zręcznością zmienił

pozycję, tak że uciekający znalazł się między nim a ołtarzem. Ponownie zabłysnął

czerwony płomień i Tecuhltlanin potoczył się po podłodze, gdy błysk zakończył swą drogę uderzając w czarny kamień krzesząc snop błękitnych iskier.

Rozpoczęła się rzeź. Ludzie biegali po komnacie, wrzeszcząc obłąkańczo, zderzając

się ze sobą, potykając i padając. Wśród nich skakał i pisał Tolkmec, siejąc śmierć i zniszczenie.

Nie mogli uciec z sali, bo najwidoczniej metalowe portale, podobnie jak poznaczone żyłami metalu kamienny ołtarz, zamykały obwód tej diabelskiej siły tryskającej jak błyskawice z magicznej laski starca. Każdy człowiek, który znalazł się między nim a ołtarzem lub drzwiami, umierał natychmiast Tolkmec nie wybierał ofiar. Powalał

każdego, kto mu się nawinął. Jego łachmany powiewały w dzikich płasach, a odrażający chichot wznosił się nad wrzawą ofiar. Tecuhtlanie padali przy ołtarzu i drzwiach, jak liście opadają z drzewa. Jeden zrozpaczony wojownik runął na prześladowcę wznosząc

sztylet lecz zginął, nim zdołał uderzyć. Pozostali biegali jak stada oszalałych owiec, nie myśląc o oporze i bez szansy ucieczki.

Tascela dostała się do Conana i chroniącej się blisko niego Valerii w chwili, gdy padł ostatni z Tecuhtlan. Pochyliła się i dotknęła ornamentu na posadzce. Natychmiast żelazne szczęki uwolniły krwawiącą kończynę i schowały się z powrotem.

— Zabij go jeśli zdołasz! — dyszała księżniczka wciskając długi sztylet w dłoń

Cymmerianina. — Nie znam takich czarów, by się z nim mierzyć!

Płonąc żądzą walki barbarzyńca z pomrukiem skoczył naprzód nie zważając na pokaleczoną nogę. Tolkmec zmierzał ku nim łypiąc niesamowitymi oczyma, ale zawahał się gdy dojrzał nóż błyszczący w dłoni Conana. Rozpoczęli ponure podchody —

Tolkmec chciał, by Conan znalazł się na jednej linii z ołtarzem lub drzwiami, a

barbarzyńca starał się tego uniknąć i pchnąć celnie. Obie kobiety przyglądały się temu w napięciu, wstrzymując oddechy.

W zalegającej ciszy rozlegały się jedynie szurania i tupot szybko przemieszczających się stóp. Tolkmec już nie pisał i nie skakał. Zorientował się, że czeka go trudniejsze zadanie niż z ludźmi, którzy umierali wrzeszcząc i uciekając. W bystrych oczach

barbarzyńcy wyczytał taką samą śmiertelną groźbę, jaka kryła się w jego własnym

spojrzeniu. Kluczyli tam i z powrotem, a kiedy poruszał się jeden z nich, drugi ruszał

się także, jakby łączyły ich niewidoczne więzy. Przez cały czas Conan zbliżał się coraz bardziej do przeciwnika. Właśnie stalowe mięśnie jego nóg zaczęły się prężyć do skoku, gdy Valeria krzyknęła

przeraźliwie. Przez ułamek sekundy mosiężne drzwi znalazły się na jednej Unii z ciałem Cymmerianina. Z laski wystrzelił czerwony promień muskając

lekko bok Conana, który zdążył się odchylić, jednocześnie ciskając nożem. Stary

Tolkmec upadł z rękojeścią sztyletu sterczącą z piersi, tym razem martwy naprawdę.

Tascela skoczyła — nie ku Conanowi, lecz ku lasce byłszczącej żywym blaskiem na

podłodze. Jednak Valeria skoczyła za nią, ze sztyletem odebranyim któremuś z

zabitych. Wbite całą siłą muskularnego ramienia ostrze przeszło księżniczkę, tak że koniec wystawał między jej piersiami. Tascela wrzasnęła i upadła nieżywa, a Valeria

kopnęła nogą jej zwłoki.

— Musiałam to zrobić ze względu na szacunek dla ciebie! — wysapała Aquilonka

spoglądając na stojącego nad bezwładnym ciałem czarownicy Conana.

— No, to załatwia sprawę waśni — mruknął. — Co za piekielna noc! gdzie ci ludzie trzymają jedzenie? Jestem głodny.

— Masz ranę w łydce — Valeria zerwała kawał jedwabnej draperii i zawiązała sobie wokół bioder, później oddarła kilka mniejszych pasów, którymi sprawnie owinęła pokaleczoną nogę barbarzyńcy.

— Mogę iść — zapewnił ją. — Chodźmy stąd jak najszybciej. Na zewnątrz już świta.

Mam dosyć tego piekielnego Xuchotl. Dobrze, że się pozabijali. Nie chcę ich przeklętych klejnotów. Może leżeć na nich klątwa.

— Na świecie jest dość porządnych łupów dla ciebie i dla mnie — powiedziała Valeria prostując się.

Dawny błysk ponownie pojawił się w jego oczach i tym razem nie opierała się, gdy pochwycił ją gwałtownie w ramiona.

— Droga na wybrzeże jest długa — powiedziała wreszcie, odrywając swoje wargi od jego warg.

— Co z tego? — zaśmiał się. — Pokonamy, kogo będzie trzeba. Zanim Stygijczycy otworzą porty na sezon handlowy, staniemy na pokładzie i pokażemy światu, co znaczy plądrować.

SKARBY GWALHURA

Romans Conana z Valerią nie trwał długo. Być może miał z tym coś wspólnego fakt, że każde z nich pragnęło zostać wodzem. W każdym razie rozstali się.

Valeria, by wrócić na morze, Conan, by próbować szczęścia w Czarnych Królestwach. Słyszając o „Zębach Gwalhura” — starożytnych klejnotach, ukrytych gdzieś w Keshanie, Cymmerianin proponuje swoje usługi popędliwemu władcy tego kraju, aby — jak twierdził — przygotować jego armie do wojny z sąsiadującym Królestwem Puntu.

1

ŚCIEŻKI I INTRYGI

Nad dżunglą wznosiły się pionowe ściany skalne. Wyniosłe szańce z kamienia lśniły błękitnie i karmazynowo w wschodzącym słońcu, by potem zniknąć gdzieś daleko na wschodzie i zachodzie, górując nad falującym, szmaragdowym oceanem liści. Ta gigantyczna palisada o ścianach z twardej skały, w której okruchy kwarcu odbijały słoneczny blask, zdała się być niezdobyta. A jednak pnący się ku górze człowiek znajdował się już w połowie drogi na szczyt.

Pochodził z rasy górali, przyzwyczajonych do wspinaczki po niedostępnych turniach, poza tym był mężczyzną niezwyklej siły i zręczności. Jego jedynym odzieniem była para krótkich spodni z czerwonego jedwabiu. Sandały miał przywiązane na plecach, wraz z mieczem i sztyletem, co zapewniało mu większą swobodę ruchów. Był to człowiek silnie zbudowany, gibki jak pantera, o skórze zbrązowiałej od słońca, z prosto przyciętą czarną grzywą włosów, przytrzymywanych na skroniach srebrną opaską. Żelazne mięśnie, sokoli wzrok i pewne nogi dobrze mu służyły przy wspinaczce, na drodze

jakby stworzonej do sprawdzania zalet prawdziwego mężczyzny. Sto pięćdziesiąt stóp niżej falowała dżungla, tyleż powyżej grań wbijała się w niebo poranka.

Zachowywał się jak ktoś wiedziony pośpiechem, lecz mimo to musiał poruszać się w żółwym tempie. Przywierając do ściany jak mucha, macając na oślep rękami i nogami wyszukiwał wgłębienia i uchwyty w najlepszym razie ryzykowne, a czasami dosłownie zawisał na czubkach palców. Mimo to szedł w górę, nieledwie zębami i pazurami walcząc o każdą stopę. Chwilami zatrzymywał się, dając odpocząć obolałym mięśniom i strząsając pot zalewający oczy, odwracał głowę, aby spojrzeć badawczo na rozciągającą się w dole dżunglę, szukając w zielonej przestrzeni śladu ludzkiego życia czy jakiegoś ruchu.

Był już blisko szczytu, gdy spostrzegł, że kilka stóp nad nim w pionowej ścianie skały znajduje się wyłom. W chwilę później dotarł do małej groty tuż przed krawędzią grani.

Wspierając się na łokciach zajrzał do wnętrza. Jęknął. Grota była niewielka, zaledwie nieco większa od niszy wyciętej w skale, ale miała mieszkańca.

W pieczarze siedziała mumia; brązowa, pomarszczona, ze skrzyżowanymi nogami, rękami założonymi na zapadniętej piersi, z pochyloną głową. Niewyprawione rzemienie, które teraz zamieniły się w przegniłe włókna, przytrzymywały kończyny mumii w

pierwotnej pozycji. Jeśli postać ta była kiedyś odziana, to wpływ czasu już dawno zamienił jej strój w proch.

Jednak wciśnięty między skrzyżowane ramiona a wyschniętą pierś zwój pergaminu, pożółkły z wiekiem na kolor starej kości słoniowej tkwił na swoim miejscu. Wspinacz sięgnął ramieniem i wyszarpnął rulon. Nie oglądając wepchnął go za pas i podciągnął ciało aż stanął na skraju groty. Podskoczył i chwyciwszy krawędź grani osiągnął szczyt niemal jednym skokiem.

Stanął, dysząc ciężko. Spojrzał przed siebie.

Poczuł się tak, jakby zajrzał do wnętrza ogromnej czary o ścianach z granitu. Jej dno porastały drzewa i gęste zarośla, nigdzie jednak nie osięgające gęstości porównywalnej z dżunglą, rozpościerającą się na zewnątrz. Ściany skalne otaczały dolinę jednolitym pierścieniem. Był to wybryk natury, nie mający chyba równego sobie na całym świecie: z wnętrzem jak naturalny

amfiteatr, z owalnym skrawkiem leśnej równiny o średnicy

trzech czy czterech mil, odcięty od reszty świata, otoczony pierścieniem skał jak palisadą. Jednak mężczyzna na grani nie dał się porwać zachwytowi. Z napiętą uwagą wpatrywał się w wierzchołki drzew i wydał głębokie westchnienie ulgi, gdy wśród migoczącej zieleni uchwycił błyski marmurowych kopuł. A zatem to nie był tylko mit — pod nim leżał słynny i opuszczony pałac Alkmeenonu.

Conan Cymmerianin, niegdyś mieszkaniec Wysp Baracha, Czarnego Wybrzeża i wielu innych krain, gdzie życie toczy się burzliwie, przybył do Królestwa Keshanu zwabiony legendarnym skarbem, zaćmiewającym ponoć skarby królów Turanu.

Keshan był barbarzyńskim królestwem Wschodu, leżał w głębi kraju Kush, gdzie rozległe pastwiska zlewały się z napływającymi od południa lasami. Jego lud stanowiła prawdziwa mieszanina ras: smagli arystokraci rządzący społecznością składającą się

głównie z Murzynów, a będący u władzy książęta i arcykapłani utrzymywali, iż wywodzą się z rasy białej, rządzącej w mitycznych czasach królestwem, którego stolicą był

Alkmeenon. Sprzeczne legendy próbowały wyjaśnić przyczynę ostatecznego upadku

państwa i opuszczenia miasta przez ocalałych. Równie mgliste były opowieści o Zębach Gwalhura — skarbie Alkmeenonu. Jednakże te owiane mgłą legendy wystarczyły, by

przez rozległe równiny, góry i pociętą rzekami dżunglę przywieść Conana do Keshanu.

Odnalazł Keshan, który sam w sobie był uważany za mityczny przez wiele ludów

północy i zachodu, a w podróży usłyszał dość, by potwierdzić plotki o skarbie zwanym przez ludzi Zębami Gwalhura. Nie zdołał jednak dowiedzieć się, gdzie ukryto bogactwa, toteż stanął wobec konieczności wyjaśnienia swojej obecności w Keshanie. Przybysze

bez zajęcia nie byli tam mile widziani.

Nie przejął się tym. Z chłodną pewnością siebie zaoferował usługi majestatycznym, przybranym w pióra i podejrzliwym grandom wspaniałego, barbarzyńskiego dworu. Był zawodowym wojownikiem. Przybył do Keshanu (tak powiedział) w poszukiwaniu zajęcia. Za pieniądze mógłby wyćwiczyć armię królestwa i poprowadzić je przeciw

odwiecznym wrogiom — Puntjczykom, których ostatnie sukcesy w polu wywołały wściekłość skorego do gniewu króla Keshanu.

Propozycja ta nie była tak bezczelna, jak mogłoby się wydawać. Sława Conana poprzedziła go nawet w odległym Keshanie; jego czyny jako wodza czarnych korsarzy, tych wilków południowych wybrzeży, uczyniły to imię znanym, podziwianym i siejącym strach na ziemiach Czarnych Królestw. Nie wymawiał się od sprawdzianów, obmyślonych przez smagłych panów. Nieustanne potyczki na granicach dostarczyły Cymmerianinowi mnóstwo sposobności do zademonstrowania zręczności w walce wręcz. Jego dzikie zuchwalstwo wywarło wielkie wrażenie na panach Keshanu, którzy zdali sobie sprawę, że umiejętność dowodzenia nie jest obca Cymmerianinowi.

Wszystko zaczęło się układać po jego myśli, jako że pragnął tej jednej, jedynej rzeczy — pracy, dającej pretekst do pozostania w Keshanie wystarczająco długo, by odnaleźć miejsce ukrycia Zębów Gwalhura. Wkrótce jednak pojawiły się pierwsze przeszkody. Na czele misji dyplomatycznej z Zembabwei przybył do Keshanu Thutmekri.

Stygijczyk Thutmekri — awanturnik i łajdak, którego spryt stał się rekomendacją dla obu królów wielkiego, kupieckiego państwa, leżącego o wiele dni marszu na wschód. Znali się z Cymmerianinem od dawna, nie żywiąc do siebie przyjaznych uczuć.

Thutmekri uczynił podobną propozycję władcy Keshanu, również dotyczącą podboju Puntu, które to królestwo — nawiasem mówiąc, leżące na wschód od Keshanu wypędziło kupców Zembabwei i spaliło ich fortece. Jego oferta przeważała nawet prestiż Conana. Stygijczyk ofiarowywał się bowiem najechać na Punt ze wschodu z chmarą czarnych oszczepników, shemickich łuczników oraz zbrojnych w miecze najemników, a następnie pomóc władcy Keshanu w podboju wrogiego królestwa.

Dobroduszni królowie Zembabwei pragnęli jedynie monopolu na handel z Keshanem i

jego lennikami oraz — jako świadectwa dobrej woli — nieco Zębów Gwalhura.

Bynajmniej nie w celach użytkowych, pospieszył wyjaśnić podejrzliwym wodzom Thutmekri; byłyby one umieszczone w świątyni Zembabwei obok przysadzistych, złotych posągów Dagona i Derkety, jako czcigodni goście w najświętszym miejscu królestwa, dla przypieczętowania ugody między Keshanem a Zembabwei. To oświadczenie wykrzywiło wargi Conana w grymas szyderstwa. Cymmerianin nie próbował mierzyć się sprytem i talentem do intryg z Thutmekrim oraz jego shemickim partnerem — Zarghebą. Wiedział, że jeśli Thutmekri wygra w tym przetargu, będzie należał, by natychmiast wygnać rywala. Conan mógł zrobić tylko jedno: znaleźć klejnoty, zanim władca Keshanu podejmie decyzję i uciec. Był już przekonany, że kamieni nie ukryto w Keshii, królewskim mieście będącym kupą krytych strzechą chat, stłoczonych wokół glinianej ściany, otaczającej pałac z błota, kamieni i bambusa. Kiedy Conan płonął z niecierpliwości, najwyższy kapłan Gorulga oznajmił, że zanim zostanie powzięta jakakolwiek decyzja należy się upewnić, co o propozycji sojuszu z Zembabwei sądzą bogowie. W końcu przedmioty, które zamierzano ofiarować przyszłym sprzymierzeńcom, stanowią własność niebios, są święte i nienaruszalne. Należy wysłuchać wyroczni Alkmeenonu.

Ta straszliwa wieść wywołała niekończącą się gadaninę zarówno w pałacu jak i w chatach. Od stu z górą lat kapłani nie odwiedzali wymarłego miasta. Wyrocznia, mówili ludzie, to księżniczka Yelaya — ostatnia władczyni Alkmeenonu, zmarła w kwiecie lat, tak piękna, że jej ciało oparło się nawet brzydocie pośmiertnego rozkładu. W dawnych czasach kapłani odkryli drogę do nawiedzonego miasta i ona nauczyła ich mądrości.

Lecz ostatni kapłan, który udał się do wyroczni, był niegodziwcem, próbującym ukraść przedziwnie szlifowane klejnoty. Przeznaczenie jednak dopadło go w opuszczonym

pałacu, a jego pomocnicy, którzy uszli z życiem, opowiadali tak przerażające historie, że przez następne stulecie nikt nie odważył się zbliżyć ani do miasta, ani do samej

wyroczni.

Gorulga, obecny arcykapłan, przekonany o swej uczciwości oznajmił, że wyruszy z gromadą wyznawców, by wskrzesić starodawny obyczaj. W powszechnym podnieceniu mielono językami i Conan uchwycił ślad, którego szukał od wielu tygodni — zasłyszany szept jednego z niższych kapłanów sprawił, że Cymmerianin wymknął się z Keshii nim nadszedł świt, a kapłani wyruszyli w drogę. Jadąc najszybciej jak mógł dwie noce i jeden dzień przybył wczesnym rankiem do skał Alkmeenonu, leżącego w południowo — zachodnim krańcu królestwa, pośród niezamieszkałej dżungli, która dla zwykłych śmiertelników stanowiła tabu. Nikt prócz kapłanów nie ośmielał się zbliżyć do nawiedzanej doliny, a od stu lat nawet oni nie wchodzili do Alkmeenonu. Żaden człowiek nie zdołał przebyć tych skalnych ścian, mówiły legendy, i oprócz kapłanów nie znał sekretnego wejścia do doliny. Conan nie tracił więc czasu na szukanie drogi. Urwiska odstraszające czarnych ludzi — jeźdźców i mieszkańców równin leśnych nie były nie do pokonania dla człowieka urodzonego wśród wzgórz Cymmerii. Teraz spoglądał ze szczytu skał na owalną dolinę i zastanawiał się, jaka to zaraza, wojna czy przesąd wywiodły ludzi tej dawnej białej rasy z ich warowni tak, że zmieszali się i zostali wchłonięci przez czarne szczepy, które ich otaczały. Ta dolina była ich cytadelą. Tutaj stał pałac, gdzie mieszkała rodzina królewska i jej dwór. Samo miasto znajdowało się na zewnątrz skalnego pierścienia. Dżunglą skrywała jego ruiny gęstwiną roślinności. Lecz w samym sercu doliny błyszczały wśród listowia kopuły nietkniętych Zrębem czasu wież królewskiego pałacu Alkmeenonu. Conan przerzucił nogę przez grań i zaczął sprawnie schodzić w dół. Wewnętrzne ściany skalne były bardziej poszarpane, nie tak strome. Cymmerianin opuścił się na pokryte murawą dno doliny w czasie niemal o połowę krótszym od tego, jaki był mu potrzebny do wdrapania się na urwisko. Z dłonią opartą na rękojeści miecza rozejrzał się bacznie. Nie miał wprawdzie powodu, by podejrzewać o kłamstwo ludzi mówiących, że Alkmeenon jest pusty, opuszczony i nawiedzany tylko przez duchy martwej przeszłości, ale podejrzliwość i

czujność leżały już w jego naturze. Cisza zdawała się tu być odwieczną nawet liść nie drgnął na gałęzi. Kiedy pochylił się, by zajrzeć pod drzewa, nie ujrzał nic prócz

szeregów pni, ginących w niebieskawym mroku głębokiego lasu. Mimo to szedł czujnie, stąpając sprężysto, bezgłośnie.

Dokoła widział ślady dawnej cywilizacji; marmurowe fontanny, ciche i kruszejące stały w kręgach mniejszych drzew o kształtach zbyt symetrycznych, by uznać je za dzieło natury.

Gęstwina lasu i krzaków zalała dokładnie wytyczone aleje, ale ich zarysy dawały się jeszcze dostrzec. Pod drzewami biegły szerokie chodniki, teraz popękane, z trawą

wyrastającą ze szczelin. Dojrzał też ściany ze zdobnymi okapami; kratownice wykute w kamieniu, które onegdaj były murami pawilonów wypoczynkowych. Przed nim zaś, za

drzewami, lśniły marmurowe kopyły i w miarę, jak się zbliżał, ogrom podtrzymującej je konstrukcji stawał się coraz bardziej widoczny. Przepychając się przez zasłonę

oplatanych winoroślą gałęzi, dotarł do niemal otwartej przestrzeni, gdzie krzaki rosły mniej gęste, a drzewa rozstępowały się.

Ujrzał przed sobą szeroki, podparty filarami portyk pałacu. Wchodząc po wielkich

marmurowych stopniach zauważył, że budynek zachował się w daleko lepszym stanie

niż pomniejsze budowle, które widział wśród krzewów. Grube mury i masywne filary

były najwidoczniej zbyt potężne, by skruszeć pod ciosami czasu i żywiołów. Zawisła tu jednak ta sama co w gęstwinie, niemal magiczna cisza. Nawet powolne stąpanie

obutych w sandały stóp Cymmerianina zdało się niepokojąco głośnie w panującym

bezruchu. Gdzieś w tym pałacu znajdował się wizerunek lub posąg, który w dawnych

czasach służył kapłanom Keshanu za wyrocznię. Gdzieś w pałacu — chyba że

niedyskretny kapłan plótl głupstwa — był też ukryty skarb zapomnianych władców

Alkmeenonu.

Conan wszedł do szerokiej i wyniosłej sali pełnej kolumn, między którymi rozwierały

się łukowate otwory po dawno zbutwiałydrzwiach. Minął mroczny przedsionek i

przeszedł przez wielkie dwuskrzydłowe wrota z brązu. Były półotwarte, jakby niedomknięte jeszcze przed wiekami. Znalazł się w rozległej, kopulastej komnacie, która musiała służyć królom Alkmeenonu jako sala posłuchań.

Sala miała kształt ośmiokąta, a wielka kopuła, wieńcząca wyniosłe sklepienie, została najwidoczniej zřęcznie opatrzona niewidocznymi lunetami, gdyż w komnacie było

znacznie jaśniej niż w przedsionku, który do niej prowadził. W odległym końcu wielkiej sali wznosiło się podium, na które wiodły szerokie stopnie z lapis–lazuli, a na nim stał masywny fotel ze zdobnymi poręczami i wysokim oparciem. To nad nim zwieszał się kiedyś złotem przetykany baldachim.

Conan mruknął coś pod nosem, rozbłyśły mu oczy. Stał przed nim znany z niezliczonych legend złoty tron Alkmeenonu i Cymerianin ocenił jego wagę doświadczoneym okiem. Sam tron stanowiłby już fortunę, gdyby tylko zdołał go stąd wytaszczyć. Przepych rozpałał wyobraźnię Conana i sprawił, że Cymmerianin zapłonał z niecierpliwości. Swędziały go palce i już widział, jak zanurza je w klejnotach opisywanych przez bazarzy na placach targowych Keshii. Przekupnie powtarzali opowieści podawane z ust do ust już od stuleci — o kamieniach tak pięknych, że równych im nigdzie nie znajdziesz: o rubinach, szmaragdach, diamentach, opalach, szafirach — całym bogactwie starożytnego świata.

Conan spodziewał się, że znajdzie posąg bogini siedzącej na tronie, lecz skoro go tam nie ujrzał, uznał, że wyrocznie umieszczono w innej części pałacu — o ile oczywiście w ogóle istniał jakiś jej posąg czy wizerunek. Ponieważ jednak od chwili, gdy zwrócił twarz ku Keshanowi, tak wiele mitów okazało się rzeczywistością, nie wątpił, że znajdzie jakiś wizerunek lub rzeźbę.

Za tronem znajdowały się wąskie, łukowate drzwi, które w czasach, gdy Alkmeenon tętnił życiem, były niewątpliwie ukryte za grubymi zasłonami. Conanf zajrzał tam i stwierdził, że prowadzą do pustej alkowy, z której wychodzi pod kątemprostym wąski

korytarz. Odwrócił się i dostrzegł inne wejście, znajdujące się z lewej strony podium. W odróżnieniu od innych drzwi zachowały się tutaj w dobrym stanie. I nie były to zwykłe drzwi. Portal wykonano z tego samego metalu co tron, pokryto go także wieloma dziwnymi arabeskami. Pod dotknięciem ręki Conan wrota otwarły się tak gładko, jakby świeżo naoliwiono zawiasy.

Wszedł do środka, przystanął i spojrzął w głąb pomieszczenia. Znajdował się w kwadratowej komnacie o niewielkich wymiarach; jej marmurowe ściany wznosiły się ku sufitowi inkrustowanemu złotem. U podstawy i u szczytu ścian biegły złote fryzy. Nie było innych drzwi niż te, którymi wszedł. Ten szczegół zauważył mimowolnie, bowiem całą swoją uwagę skupił na postaci leżącej przed nim na postumencie z kości słoniowej.

Spodziewał się posągu, wyrzeźbionego ze zručnością starożytnych sztukmistrzów. Jednak żadna sztuka nie mogła tak wiernie oddać doskonałości leżącej przed nim postaci. Nie był to wizerunek z kamienia, metalu czy kości słoniowej. Było to rzeczywiste ciało kobiety i Conan nie próbował nawet zgadnąć, jaką tajemniczą sztuką zachowano je w nietkniętym stanie przez tyle wieków. Odzież, którą nosiła, również oparła się działaniu czasu. Widząc to, Conan zachmurzył się, czując podświadomy, dziwny niepokój. Sztuka, dzięki której zachowało się ciało, nie mogła działać na ubiór. Mimo to księżniczka miała na sobie parę złotych napierśników z koncentrycznymi kręgami małych klejnotów, poślaczane sandały i krótką jedwabną spódniczkę, podtrzymywaną paskiem wysadzonym kamieniami. Ani materiał, ani metal nie nosiły śladu zniszczenia.

Yelaya była w swym pięknie chłodna, nawet po śmierci. Ciało jej jak alabaster — wiotkie, lecz zmysłowe, a wielki szkarłatny kamień błyszczał na tle ciemnej fali włosów. Conan stał przez chwilę patrząc, potem opukał mieczem postument. Przyszło mu na myśl, że może istnieje tu jakiś skarbiec, lecz postument dawał solidny dźwięk. Odwrócił

się i niezdecydowany przemierzał komnatę. Gdzie powinien szukać najpierw? Miał zbyt mało czasu. Kapłan, którego paplaninę z kurtyzaną podsłuchał, twierdził, iż skarb jest ukryty w pałacu, co znaczyło, że obszar poszukiwań jest bardzo rozległy. Pomyślał, czy nie powinien ukryć się i zaczekać, aż kapłani przyjdą i odejdą, a potem wznowić poszukiwania. Istniało jednak ryzyko, że wracając do Keshii mogą zabrać kamienie ze sobą. Cymmerianin był przekonany, że Thutmekri przekupił Gorulgę.

Znając Thutmekriego, Conan mógł przewidzieć jego plany. Wiedział, że to on zaproponował królom Zembabwei podbicie Puntu, co było zaledwie pierwszym krokiem na drodze do prawdziwego celu — przechwycenia Zębów Gwahlura. Przezorni królowie, nim cokolwiek postanowią, muszą zażądać dowodu, że skarb naprawdę istnieje.

Kamienie, jakich Thutmekrii zażądał jako rękojmi, byłyby takim dowodem. Przekonani o istnieniu skarbu, królowie Zembabwei ruszyliby do ataku. Szturm przypuszczono by jednocześnie ze wschodu i zachodu, ale Zembabweiczycy postaraliby się, żeby armie Keshanu wykonały większość roboty. Później, gdy tak Punt, jak i Keshan ległyby wyczerpane walką, Zembabweiczycy bez przeszkód mogliby zgnieść oba narody, ograbić Keshan i ukraść skarb, nawet jeśli musieliby zburzyć każdy budynek i torturować każdą żywą istotę w królestwie. Zawsze jednak istniała druga możliwość; gdyby Thutmekri zdołał położyć ręce na skarbie, typowym dla tego człowieka byłoby oszukać swoich pracodawców, ukraść kamienie dla siebie i zwinąć manatki, zostawiając emisariuszom Zembabwei cały kłopot. Conan był przekonany, że zasięganie opinii wyroczeni było tylko fortelem, by król Keshanu przychylił się do próśb Thutmekriego, gdyż ani przez chwilę nie wątpił, że Gorulga jest równie chytrym łajdakiem, jak cała reszta zamieszanych w ten wielki szwindel. Conan nie próbował porozumieć się z arcykapłanem; nie mógł zaproponować wyższej łapówki, a gdyby spróbował, byłoby to równoznaczne z odkryciem wszystkich kart przed Stygijczykiem. Gorulga wydałby Cymmerianina i upewniając lud o swej uczciwości pozbyłby się zarazem rywala

Thutmekriego. Conan zastanawiał się, jak Thutmekri przekupił kapłana i co mógł zaproponować człowiekowi, który miał w rękach największy ze skarbów. W każdym razie był pewny, że wyrocznia orzeknie, iż wolą bogów jest, by Keshan spełnił życzenia Thutmekriego, oraz że doda kilka szczegółowych wskazówek dotyczących jego, Conana, osoby. Zbyt gorąco byłoby potem Conanowi w Keshii, zresztą odjeżdżając ostatniej nocy nie miał zamiaru tam wracać.

Komnata wyroczni nie dostarczyła mu żadnej wskazówki. Ruszył do wielkiej sali posłuchań i chwycił za tron. Był ciężki, ale zdołał go odchylić. Marmurowa płyta pod spodem była jednolita. Ponownie wszedł do alkowy. Uczepił się myśli o sekretnej krypcie w pobliżu wyroczni. Zaczął starannie opukiwać ściany i wreszcie, w miejscu leżącym naprzeciw wąskiego korytarza, odpowiedział mu pusty dźwięk. Patrząc z bliska zauważył, że w tym miejscu szpary między sąsiednimi blokami są grubsze niż gdzie indziej. Włożył czubek sztyletu i nacisnął.

Blok odchylił się cicho, odsłaniając niszę w ścianie i nic więcej. Zaklął z pasją. Otwór był pusty. Nie sprawiał wrażenia, by kiedykolwiek służył za schowek. Zagląając do środka ujrzał system małych otworów w ścianie, mniej więcej na poziomie ludzkiej twarzy. Zerknął przez nie i mruknął coś ze zrozumieniem. Ściana oddzielała alkowę od komnaty z wyrocznią. Od strony komnaty otwory były niewidoczne. Conan uśmiechnął się. To wyjaśniało tajemnicę wyroczni, chociaż w sposób mniej subtelny niż można się było spodziewać. Gorulga umieściłby w tej niszy jakiegoś zaufanego sługę lub sam osobiście przemówił przez otwory, by łatwowierni wyznawcy uznali to za prawdziwy głos Yelayi.

Nagle Cymmerianin przypomniał sobie o czymś. Wydobył zwój pergaminu zabrany mumii i rozwinął go ostrożnie — papier wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki. Barbarzyńca zachmurzył się nad wyblakłymi znakami. W swoich włóczęgach po świecie wielki awanturnik nabył wiele, powierzchownej co prawda, wiedzy, a szczególnie umiejętności czytania i mówienia w obcych językach. Wielu mędrców byłoby zdumionych zdolnościami językowymi Conana, bowiem w przygodach, które

dane mu było przeżyć, znajomość języka decydowała o życiu lub śmierci.

Symbole były zagadkowe; znajome i niezrozumiałe jednocześnie. Wreszcie znalazł przyczynę. Miał przed oczami znaki pradawnego języka Pelishtów, w wielu szczegółach różniącego się od obecnie używanego, bowiem trzysta lat temu Pelishci zostali podbici przez szczepy koczowniców. Stary, pozbawiony naleciałości, język rękopisu zbił go z tropu. Wyłowił powtarzający się zwrot, w którym rozpoznał słowo: Bit–Yakin. Uznał, że to imię piszącego.

Zmarszczył brwi i nieświadomie poruszył wargami, zmagając się z trudnym zadaniem. W końcu przebrnął przez manuskrypt, choć znacznej jego części w ogóle nie zdołał przetłumaczyć i niewiele zrozumiał z reszty. Założył jednak, że autor, tajemniczy Bit–Yakin, przybył z daleka ze swymi sługami i dostał się do doliny Alkmeenonu.

Następna, spora część tekstu pozbawiona była dlań jakiegokolwiek znaczenia, usiana nieznajomymi zwrotami i znakami. O ile mógł zrozumie chodziło o wpływ długiego okresu czasu. Imię Yelayi powtarzało się często, a pod koniec rękopisu stało się jasne, że Bit–Yakin wiedział o swej rychłej śmierci. Z lekkim wzdrygnięciem Conan uświadomił

sobie, że mumia w grocie musiała być szczątkami autora manuskryptu, tajemniczego Pelishty — Bit–Yakina. Umarł, jak przepowiadał, a słudzy umieścili ciało pana w tej otwartej krypcie na stromej ścianie skalnej, zgodnie z przedśmiertnymi wskazówkami.

Dziwne było tylko to, że o Bit–Yakinie nie wspominały żadne legendy. Niewątpliwie przybył do doliny, gdy pierwotni mieszkańcy już ją opuścili — tak głosił rękopis — ale najbardziej zdumiał Cymmerianina fakt, że kapłani przychodzący by wysłuchać

wyroczeni, nie widzieli tego człowieka ani jego sług. Conan był pewny, że mumia i pergamin liczyły więcej niż sto lat. Bit–Yakin zamieszkiwał w pałacu w czasach, gdy kapłani pielgrzymowali do martwej Yelayi. A jednak legendy milczały o tym, mówiąc tylko o opuszczonym mieście umarłych.

Dlaczego zamieszkiwał w tym ponurym miejscu i ku jakiemu nieznanemu przeznaczeniu wyruszyli jego słudzy, złożwszy ciało pana w skalnej niszy?

Conan wzruszył ramionami, wepchnął rękopis z powrotem za pas i nagiej zeszywniał, a ciarki przebiegły mu po grzbiecie. W sennej ciszy pałacu niespodziewanie rozległ się głęboki, niepokojący dźwięk wielkiego gongu! Przyczajony jak wielki kot, Cymmerianin odwrócił się, ściskając w dłoni obnażony miecz i spojrzał w wąski korytarz, z którego zdawał się dobiegać niepokojący dźwięk. Czyżby przybyli kapłani Keshii? Wiedział, że to nieprawdopodobne; nie mieli dość czasu, by dotrzeć tak daleko. Wszakże gong bezprzecznie świadczył o ludzkiej obecności.

W zasadzie Conan był zwolennikiem prostych rozwiązań. Odrobinę subtelności nabył stykając się z bardziej przebiegłymi umysłami i zaskoczony zniecka jakimś nieoczekiwanym wydarzeniem reagował zgodnie ze swą naturą. Teraz więc, zamiast ukryć się lub oddalić w przeciwną stronę, jak zrobiłby to przeciętny człowiek, pobiegł korytarzem w kierunku skąd dochodził dźwięk. Sandały Cymmerianina nie czyniły więcej hałasu niż stąpania panter, jego oczy zwęziły się w szparki, a usta wykrzywił dziki grymas. Niespodziewany dźwięk przepoił go chwilowym lękiem, a barbarzyńca zawsze łatwo wpadał w prymitywny szal wywołany zagrożeniem. Właśnie wybiegł zza zakrętu korytarza na mały dziedziniec, gdy coś błyszczącego w słońcu przykuło jego wzrok. Był to gong; wielki, złoty dysk zawieszony na złotym ramieniu wystającym z kruszejącego muru. Spiżowy młotek leżał w pobliżu, lecz nikogo nie było widać ani słyszeć. Otaczające dziedziniec łukowate wejścia ziały pustką. Conan przyczał się w drzwiach przez — jak mu się wydawało — długą chwilę.

Ani dźwięku, ani ruchu.

Jego cierpliwość wyczerpała się w końcu. Skradał się wokół dziedzińca, zasiadając w łukowate przejścia, gotów odskoczyć błyskawicznie, uderzyć w prawo lub lewo, jak kobra. Dotarł do gongu i zajrzał w najbliższe drzwi. Zobaczył tylko mroczną, pokrytą gruzem

komnatę. Wypolerowane, marmurowe płyty wokół gongu nie nosiły śladu stóp, lecz w powietrzu unosił się jakiś zapach — słaby odór, którego nie mógł rozpoznać. Nozdrza rozdymały mu się jak dzikiemu zwierzęciu, jednak nie był w stanie zidentyfikować zapachu.

Conan ruszył ku drzwiom... a wtedy sprawiające wrażenie solidnych murowe płyty pękły pod jego stopami i zapadły się z przerażającą gwałtownością. Lecąc w dół zdążył jeszcze rozrzucić szeroko ramiona i uchwycić brzegi ziejącego pod nim otworu.

Krawędzie rozkruszyły się jednak pod palcami.

Cymmerianin runął w dół, w kompletną ciemność, a lodowata, czarna woda wzięła go w swe objęcia i porwała z zapierającą dech szybkością.

2

PRZEBUDZENIE BOGINI

Początkowo Conan nie usiłował walczyć z unoszącym go przez ciemność prądem.

Utrzymywał się na powierzchni ściskając zębami miecz, którego nie postradał nawet w czasie upadku i nie próbował zgadywać, jaki czeka go los. Nagle w mroku błysnął promień światła. Ujrzał rozkołysaną, czarną kipiela, jakby wzburzoną przez jakieś monstrum oraz niskie sklepienie, utworzone przez zgięte w łuk ściany kanału. Po obu stronach tuż pod sufitem biegł wąski występ, ale był o wiele za wysoko, by mógł go dosięgnąć. W jednym miejscu strop był przedziurawiony, prawdopodobnie nie zawalił się, i przez ten właśnie otwór sączyło się światło. Poza tą niewielką, jasną plamą panowała zupełna ciemność i panika ogarnęła Conana na myśl, że zostanie uniesiony dalej, w niezgłębiony mrok. Wtedy zobaczył coś jeszcze; mosiężne drabinki opuszczające się w regularnych odstępach z półek ku powierzchni wody — właśnie zbliżał się do jednej z nich. Natychmiast popłynął w jej kierunku, walcząc z prądem

trzymającym go na środku nurtu. Miał uczucie, że przytrzymuje go mnóstwo żywych, małych rąk, lecz desperacko mocując się z rwącymi falami przybliżał się do brzegu, walcząc zaciekle o każdy cal. Wreszcie dotarł do drabinki, uczeplił się kurczowo ostatniego szczebla i zawisł na niej bez tchu.

W chwilę później wygramolił się z wodnej kipieli, niechętnie powierzając swój ciężar wątłym szczeblom. Wykrzywiały się i zginały, ostatecznie jednak wdrapał się na wąski występ, biegnący wzdłuż ściany i odległy ledwie na wysokość człowieka od wygiętego

sklepienia, tak że stojąc musiał schylić głowę. U szczytu drabinki dostrzegł ciężkie drzwi z brązu. Spluwając krwią włożył miecz do pochwy — ostrze przecięło mu wargi

podczas zacieklej walki z rzeką — i skierował uwagę ku dziurawemu sklepieniu.

Zdołał sięgnąć rękami otworu i złapać krawędzie, zaś ostrożne badanie upewniło go,

że kamień wytrzyma ciężar. W chwilę później podciągnął się przez otwór. Znalazł się w obszernej, zupełnie zrujnowanej komnacie. Większość sufitu zarwała się, podobnie jak spora część podłogi, stanowiącej sklepienie podziemnego kanału. Spękane przejście

otwierało drogę do innych sal i korytarzy. Conan był przekonany, że wciąż znajduje się w pałacu. Niespokojnie rozmyślał, jak wiele komnat w tym pałacu stoi nad podziemną

rzeką i kiedy stare płyty znów ustąpią mu pod nogami, strącając go w lodowatą kąpiel.

Zastanawiał się również, w jakim stopniu ten ostatni upadek można uznać za zbieg

okoliczności. Czy zmurszałe płyty przypadkiem załamały się pod jego ciężarem czy

raczej należy się doszukiwać bardziej złowieszczych powodów? Jedno przynajmniej nie

ulegało wątpliwości: nie był jedyną żywą istotą w pałacu. Gong nie zabrzmiał sam z

siebie, niezależnie od tego, czy jego dźwięk miał zwabić go w śmiertelną pułapkę, czy nie. Cisza w pałacu wydała mu się nagle złowroga, brzemienista czyhającą gdzieś

groźbą.

Może ktoś usiłuje zrobić mu konkurencję? Nagle przyszedł mu na myśl tajemniczy

Bit-Yakin. Czyżby ten człowiek znalazł Zęby Gwalhura, a jego słudzy odchodząc zabrali je ze sobą? Myśl, że uganiania się za błędnym ognikiem rozwścieczyła Cymmerianina.

Ruszył pospiesznie, wybierając korytarz, który jak sądził, wiódł z powrotem do tej

części pałacu, gdzie spoczywa Yelaya. Tym razem, pamiętając o rozfalowanej, kipiącej gdzieś pod stopami czarnej rzece, stawiał stopy ostrożnie.

Myślami wrócił ku komnacie wyroczeni i jej tajemniczej mieszkance. Gdzieś w pobliżu musiał być klucz do tajemnicy skarbu, o ile klejnoty nadal pozostawały w tym samym miejscu, gdzie ukryto je przed wiekami.

Wielki pałac leżał pogrążony w odwiecznej ciszy, zakłócaney jedynie szybkim stukotem sandałów Conana. Komnaty i korytarze, które mijał, były zrujnowane, ale w miarę jak kroczył, ślady zniszczenia stawały się mniej widoczne. Zafrapowało go, jakiemu celowi służyły drabinki, schodzące z występów nad podziemną rzeką, lecz zbyt tę myśl wzruszeniem ramion. Mało go interesowały akademickie rozważania nad dziwnymi problemami starożytnych. Właśnie zaczynał się zastanawiać, jak daleko może być jeszcze do komnaty wyroczeni, gdy korytarz zawiódł go do wielkiej sali tronowej.

Uznał, że błądzenie po pałacu w poszukiwaniu skarbu nie ma sensu. Powinien się gdzieś ukryć, zaczekać, aż przybędą kapłani Keshanu, a kiedy już odprawiają całą farsę z zasięgnięciem rady wyroczeni, podążać za nimi do miejsca ukrycia klejnotów, gdzie — jak sądził — w końcu i oni skierują swe kroki. Może wezmą ze sobą tylko kilka kamieni?

Jeśli tak, on zadowolony był resztą.

Wiedziony niezdrową fascynacją, ponownie wszedł do komnaty wyroczeni i jeszcze raz spojrzął na nieruchomą postać księżniczki. Jej mroźne piękno urzekło go. Jaką przedziwną tajemnicę kryła ta pięknie ukształtowana postać?

Drgnął gwałtownie. Przez zęby wciągnął powietrze. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

Ciało bogini nadal leżało w tej samej, co uprzednio pozycji; ciche, nieruchome, w napierśnikach ze złota, jedwabnej spódnicy i połączonych sandałach. Jednak teraz nastąpiła w nim delikatna zmiana. Smukłe kończyny nie były sztywne, policzki tryskały brzoskwiniową świeżością, wargi pokryły się czerwienią.

Conan wyszarpnął miecz.

— Na Croma! Ona żyje! — szepnął, ogarnięty lękiem.

Na jego słowa uniosły się długie, ciemne rzęsy. Niezglębione, ciemne, tajemniczo błyszczące oczy otwarły się i spojrzały na intruza. Patrzył w nie bez słowa, zmrożony trwogą. Usiadła prężąc mięśnie, ciągle przykuwając jego wzrok. Obliznął suche wargi i przypomniał sobie, do czego służy język.

— Jesteś... Jesteś Yelaya? — wyjąkał.

— Jestem Yelaya! — głęboki, melodyjny głos nappełnił go nowym zdziwieniem. — Nie lękaj się. Nie uczynię ci krzywdy, jeśli usłuchasz mego rozkazu.

— Jak martwa kobieta może wrócić do życia po tylu wiekach — dopytywał się, nie wierząc własnym zmysłom. W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

Majestatycznie uniosła ramiona.

— Jestem boginią. Tysiąc lat temu spadło na mnie przekleństwo potężniejszych bogów — bogów ciemności, żyjących poza granicami światła. Umarłam jako istota śmiertelna — jako bogini nie umrę nigdy. Spoczywam tu, od wielu wieków, by budzić się co dzień po zachodzie słońca i królować na mym dworze jak ongiś, wśród widm przywiedzionych z cieni przeszłości. Człowieku, jeśli nie chcesz ujrzeć tego, co na zawsze zniszczyłoby twoją duszę — oddal się stąd szybko! Nakazuję ci! Idź!

Głos stał się władczy, a drobne ramię uniosło się w rozkazującym geście.

Conan, z oczami jak płonące szparki, wolno schował miecz do pochwy, ale nie posłuchał rozkazu. Podszedł bliżej, jakby wiedziony potężnym nakazem — i bez najlżejszego ostrzeżenia pochwycił ją w niedźwiedzi uścisk. Wrzasnęła wcale nie jak bogini, gdy z odgłosem rozrywanego jedwabiu, jednym bezlitosnym szarpnięciem zdarł z niej spódniczkę.

— Bogini! Ha! — parsknął ze złością i wzgardą nie zwracając uwagi na gorączkowe

próby odzyskania wolności.

— To dziwne, by księżniczka Alkmeenonu przemawiała z korynckim akcentem! Gdy

tylko zebrałem myśli przypomniałem sobie, że gdzieś cię już widziałem! Jesteś Muriela, koryncka tancerka Zargheby. Dowodzi tego znamię w kształcie półksiężyca, które

nosisz na biodrze. Widziałem je, gdy Zargheba cię chłostał. Bogini! Ba! — ze wzdrgną i głośnym plaśnięciem klepnął zdradliwe biodro. Dziewczyna zaskomlała żałośnie.

Cała władczość opuściła ją. Nie była już tajemniczą postacią z przeszłości, lecz przerażoną i pokorną tancerką, jaką można kupić na prawie każdym shemickim targowisku. Zaniósła się żalonym płaczem. Conan spoglądał na nią z tryumfem i złością.

— Bogini! Ha! To ty byłaś jedną z tych zawołanych kobiet, które Zargheba przywiózł ze sobą do Keshii. Czy sądziłaś, że zdołasz mnie oszukać, mała idiotko? Widziałem cię rok temu w Akbitanie z tym wieprzem, Zargheba, a wiedz, że ja nie zapominam twarzy ani kobiecych sylwetek. Myślę, że...

Wijąc się w uścisku zarzuciła mu swe drobne ramiona na potężny kark; łzy spływały jej po policzkach, a w trzęsącym nią szlochu brzmiała nuta hysterii.

— Och, proszę, nie rób mi krzywdy! Nie! Musiałam to zrobić! Zargheba przyprowadził mnie tu, bym udawała wyrocznię!

— Cóż to, świętokradcze małe ladaco! — zagrzniał Conan — Czy nie obawiasz się bogów? Na Croma! Czy już nigdzie nie ma uczciwości?

— Och, proszę! — błagała, drżąc w skrajnym przerażeniu. — Nie mogłam nie usłuchać Zargheby. Och, co ja zrobię? Będę przeklęta przez tych pogańskich bogów!

— Jak myślisz, co zrobią z tobą kapłani, gdy poznają, że jesteś oszustką? — dociekał.

Na tę myśl nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na ziemię, chwytając

Conana za kolana, przeplatając błagania o litość żalonymi zapewnieniami o

niewinności i braku złych intencji. Zmiana, w porównaniu z pozą starożytną

księżniczki była nagle, ale nie zdumiewająca. Strach, który przedtem dodał jej siłę, teraz zupełnie ją rozłożył.

— Gdzie jest Zargheba? — dopytywał się Cymmerianin. — Przestań lamentować, do diabła, i odpowiadaj!

— Na zewnątrz — skamlała — patrzy, czy nadchodzą kapłani.

— Ilu ma ludzi?

— Nikogo. Przyszliśmy sami.

— Ha! — zabrzmiało to, jak zadowolony pomruk polującego lwa — Musieliście opuścić Keshię kilka godzin po mnie. Wspinaliście się na skały?

Potrząsnęła przecząco głową, zbyt zapłakana, by powiedzieć coś zrozumiałe. Z przekleństwem pochwycił jej szczupłe ramiona i potrząsnął, aż zapało jej dech.

— Przestań beczeć i odpowiadaj! Jak dostaliście się tutaj?

— Zargheba znał sekretne przejście — odparła bez tchu. — Kapłan Gawrunga zdradził drogę jemu i Thutmekriemu. Po południowej stronie doliny u podnóża skał, jest sadzawka. Pod powierzchnią wody znajduje się niewidoczne dla niewtajemniczonych wejście do jaskini. Zanurkowaliśmy i weszliśmy. Jaskinia szybko wznosi się nad poziom wody i prowadzi przez skały. Wyjście po tej stronie maskują krzaki.

— A ja wspinałem się na skały po wschodniej stronie — wymamrotał. — I co dalej?

— Dotarliśmy do pałacu. Zargheba poszedł szukać komnaty wyroczni, a ja pozostałam ukryta w zaroślach. Sądzę, że niezupełnie wierzył Gawrundze. Kiedy odszedł, wydawało mi się, że słyszę dźwięk gongu, ale nie byłam pewna. Później Zargheba wrócił, zabrał mnie i przyprowadził tutaj. Bogini Yelaya leżała na postumencie. Rozebrał ciało, po czym ubrał mnie w jej szaty i ozdoby. Potem odszedł

ukryć ciało i wypatrywać kapłanów. Bałam się. Kiedy wszedłeś, chciałam skoczyć i prosić cię, byś mnie stąd zabrał, ale obawiałam się Zargheby. Kiedy odkryłeś, że jestem żywa, myślałam, że zdołam cię odstraszyć.

— Co miałeś powiedzieć jako wyrocznia? — zapytał.

— Miałam kazać kapłanom, by wzięli Zęby Gwalhura i dali kilka z nich Thutmerkiemu jako rękojmię, tak jak chciał, a resztę umieścili w pałacu w Keshii. Miałam im powiedzieć, że straszliwy los grozi Keshanowi, jeżeli nie zgodzi się na propozycję Thutmekriego. Och, tak, miałam im też powiedzieć, że masz być obdarty żywcem ze skóry.

— Thutmekri chciał, by skarb był w miejscu, gdzie on lub Zembabweiczycy mogą łatwo położyć na nim ręce — mruknął Conan, nie zwracając uwagi na dotyczącą go wzmiankę. — Jeszcze wyrwę mu wątrobę... Gorulga oczywiście też uczestniczy w tym szachrajstwie?

— Nie. On wierzy w swoich bogów i jest nieprzekupny. Nic o tym nie wie. Posłucha wyroczni. To był plan Thutmekriego. Wiedziąc, że Keshanijczycy zasięgną rady wyroczni, kazał Zarghebie przywieźć mnie razem z misją z Zembabwei, szczelnie zawoalowaną i odosobnioną.

— O, niech to diabli! — wymruczał Conan — Kapłan, który naprawdę wierzy w swoją wyrocznię i jest nieprzekupny. Na Croma! Zastanawiam się, czy to Zargheba uderzył w gong. Czy on wiedział, że tu jestem? Czy mógł wiedzieć o tych zmurszałych płytach? Gdzie on teraz jest, dziewczyno?

— Ukrył się w gęstwinie lotosu, przy starodawnej drodze, wiodącej od ścian skalnych do pałacu — odpowiedziała.

— Och, Conanie, miej dla mnie litość! — wznowiła usilne błagania. — Boję się tego miejsca. Jestem pewna, że słyszałam wokół ciche, skradające się kroki. Och Conanie,

zabierz mnie ze sobą! Zargheba zabije mnie, kiedy już mu nie będę potrzebna — wiem

o tym! Kapłani również zabiją mnie, jeśli odkryją moje oszustwa. To diabeł! Kupił mnie od handlarza niewolników, który wykradł mnie z karawany zdążającej przez

południowy Koth. Zrobił mnie narzędziem swoich intryg. Zabierz mnie od niego! Nie

możesz być tak okrutny jak on. Nie pozwól, by mnie tu zabito! Proszę! Proszę! —

klęczała, obejmując nogi Conana, unosząc ku niemu piękną, oblaną łzami twarz z

ciemnymi, jedwabistymi włosami rozsypanymi w nieładzie na białych ramionach. Conan

podniósł ją i posadził sobie na kolanie.

— Posłuchaj. Obronię cię przez Zargheba. Kapłani nie dowiedzą się o waszej perfidii

— ale musisz zrobić to, co ci każę.

Wyjąkała obietnice absolutnego posłuszeństwa, ściskając jego żyłasty kark, przez ten dotyk mogła znaleźć rękojmię bezpieczeństwa.

— Dobrze. Gdy nadejdą kapłani odegrasz rolę Yelayi, jak zaplanował Zargheba —

będzie ciemno, a przy świetle świec nie zauważą oszustwa. Powiesz do nich tak: Wołą

bogów jest, aby Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu. To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwalhura będą oddane w opiekę

generałowi Conanowi. Niech on, ulubieniec bogów, poprowadzi armie Keshanu.

Drżąca, z twarzą powleczoną rozpaczą, zgodziła się na wszystko.

— A Zargheba? — zawołała — Zabije mnie!

— Nie przejmuj się nim — mruknął — Zajmę się tym psem. Zrób jak mówię. No, Ułóż

znow swoje włosy, rozsypały się po ramionach. I klejnot z nich wypadł — sam umieścił

wielki błyszczący kamień na właściwym miejscu, kiwając głową z aprobatą.

— Ten jeden jest wart armii niewolników. Załóż z powrotem spódniczkę. Jest rozdarta

na boku, ale kapłani tego nie zauważą. Wytrzym twarz. Bogini nie płacze jak zrugana

uczennica. Na Croma, ty naprawdę wyglądasz jak Yelaya. Twarz, włosy, figura,

wszystko! Jeżeli przed kapłanami odegrasz boginię tak dobrze, jak przede mną, sukces murowany!

— Spróbuję — zadygotała.

— Idę poszukać Zargheby.

Na te słowa znów wpadła w panikę. — Nie! Nie zostawiaj mnie samej! To miejsce jest nawiedzone!

— Nikt tu nie zrobi ci krzywdy — zapewnił ją niecierpliwie. Nikt oprócz Zargheby, a ja już się nim zajmę. Zaraz wracam! Będą czuwał w pobliżu podczas ceremonii, na

wypadek, gdyby coś poszło nie po naszej myśli, lecz gdy zagrasz odpowiednio swoją rolę, wszystko będzie w porządku.

Obrócił się i pospiesznie wyszedł z komnaty, pozostawiając bezgranicznie

nieszczęśliwą Murielę. Zapadł zmierzch. Wielkie sale i przedsionki były mroczne i pełne cieni. W półmroku słabo błyszcząły miedziane fryzy. Conan kroczył przez wielkie sale cicho, jak zjawa, mając uczucie, że obserwują go niewidzialne duchy przeszłości. Nic dziwnego, że dziewczyna była zdenerwowana. Z obnażonym mieczem w dłoni skradał

się po marmurowych stopniach. Cisza zawładnęła doliną, a w górze, nad granią

mrugały gwiazdy. Jeśli kapłani z Keshii przybyli do doliny, nie zdradzał tego żaden

dźwięk, żaden ruch w gęstwinie. Po chwili Cymmerianin dotarł do pradawnej alei o

popękany bruku, ciągnącej się na południe, zagubionej wśród skłębionej masy gałęzi

i gęsto ulistnionych krzewów. Podążył nią, zachowując czujność, trzymając się skraju, gdzie gąszcz dawał głęboki cień, aż zobaczył przed sobą, majaczącą w mroku, kępę

drzew lotosu niezwyklej wysokości, tak charakterystycznych dla ciemnych ziem Kushu.

W tej gęstwinie, według słów dziewczyny, powinien czaić się Zargheba. Conan począł

skradać się cicho jak kot. Wtopił się w gąszcz niczym aksamitnostopy cień.

Okrężną drogą dotarł do kępy lotosu, tylko czasem drgnienie liścia zdradzało jego

obecność. Na skraju drzew zatrzymał się nagle, przyczajony jak podejrzliwy zwierz w

gęstym buszu. Przed nim, pośród gęstych liści majaczył w niepewnym świetle blady,

owalny kształt. Mógł to być jeden z wielkich, białych kwiatów zwisających gęsto wśród gałęzi.

Conan jednak wiedział, że jest to ludzka twarz obrócona w jego kierunku.

Cofnął się szybko w cień. Czy Zargheba go widział? Mężczyzna spoglądał prosto na Cymmerianina.

Mijały chwile. Niewyraźna twarz nie poruszała się. Conan mógł dojrzeć ciemną plamę poniżej — krótką, czarną brodę. Nagle uświadomił sobie, że w tym widoku jest coś nienaturalnego. Zargheba, jak wiedział, nie był wysokim mężczyzną. Wyprostowany, sięgał barbarzyńcy zaledwie do ramienia — teraz zaś ta twarz znajdowała się na poziomie jego twarzy. Czyżby mężczyzna stał na czymś?

Conan pochylił się, usiłując dojrzeć coś jeszcze oprócz twarzy, ale krzaki i grube pnie zasłaniały widok. Zaraz jednak zeszywniał. Przez przerwę w poszyciu leśnym ujrzał

pień drzewa, pod którym, jak mu się wydawało, stał Zargheba. Twarz znajdowała się

dokładnie na jednej linii z drzewem. Poniżej powinien więc zobaczyć nie pień, lecz ciało Zargheby — ale ciała tam nie było. Nagle, spięty bardziej niż tygrys skradający się do ofiary, wślizgnął się głębiej w gąszcz, a chwilę później był już przy liściastej gałęzi.

Spojrzał na nieruchomą twarz, która miała się już nigdy nie poruszać z własnej woli.

Miał przed sobą odciętą głowę Zargheby, zawieszoną na gałęzi za długie czarne włosy.

3

POWRÓT WYROCZNI

Conan odwrócił się zwinnie, omiatając cienie badawczym wzrokiem. Nie dostrzegł jednak śladu ciała zamordowanego, tylko wysoka, bujna trawa opodal była zdeptana, a murawa zbryzgana czymś ciemnym i mokrym. Cymmerianin stał ledwie oddychając; wycęzał słuch. Drzewa i krzewy o wielkich, białych kwiatach otaczały go milczące, ciemne i złowieszcze. W duszę barbarzyńcy sączył się pierwotny lęk.

Czy to dzieło kapłanów Keshanu? Jeżeli tak, to gdzie oni są? Kto uderzył w gong?

Zargheba?...

Wrócił wspomnieniami do Bit-Yakina i jego tajemniczych sług. Bit-Yakin był martwy, skurczony w bryłę pomarszczonej skóry, złożony w swej skalnej krypcie, by przez

wieczność oddawać cześć wschodzącemu słońcu. Los jego sług ciągle jednak pozostawał niejasny. Conan nie miał żadnego powodu, że w ogóle opuścili dolinę. Teraz pomyślał o Murieli, która sama i bezbronna czekała na niego w pełnym cieniu pałacu. Okręcił się na pięcie. Pobiegł z powrotem zasnutą mrokiem aleją, jak biegnie podejrzliwa pantera, gotowa nawet w pełnym pędzie skrócić w lewo czy prawo, by zadać śmiertelny cios.

Pałac majaczył już groźnie wśród drzew, gdy ujrzał blask ognia, odbijający się w polerowanym marmurze. Conan zagłębił się w krzaki, prześlizgnął przez zbity gąszcz i osiągnął skraj otwartej przestrzeni przed portykiem. Posłyszał głosy. Wtem dostrzegł drgające światła pochodni, które odbijały się na błyszczących, hebanowych ramionach. Przybyli kapłani Keshanu.

Nie nadeszli szeroką, zarośniętą aleją, jak oczekiwał Zargheba. Najwidoczniej było więcej niż jedno sekretne wejście do doliny Alkmeenonu. Wkraczali po szerokich, marmurowych schodach, dzierżąc wysoko uniesione pochodnie. Na czele defilady Conan zobaczył Gorulgę jak wykuty w miedzi profil odcinał się wyraźnie na tle płonących pochodni. Orszak składał się z niższych kapłanów — ogromnych czarnych mężczyzn, których skóra w drgającym świetle była jak gdyby przepojona krwawą poświatą. Na końcu procesji posuwał się olbrzymi Murzyn z wyraźnym piętnem łotrostwa na twarzy. Na jego widok Cymmerianin zmarszczył się groźnie. Był to Gwarunga, który jak twierdziła Muriela, zdradził Zarghebie ukryte wejście przez sadzawkę. Conan zastanawiał się, jak poważnie ten człowiek był wplątany w intrygi Stygijczyka.

Gdy kapłani odeszli, pospieszył w kierunku portyku, okrążając otwartą przestrzeń i trzymając się otaczającego ją cienia. Kapłani nie zostawili nikogo na straży u wejścia. Korowód pochodni przesuwał się powoli w głąb długiej, ciemnej sali. Zanim osiągnął

dwuskrzydłowe drzwi na drugim końcu, Conan pokonał zewnętrzne schody i znalazł się w sali za nimi. Skradając się zręcznie między stojącymi wzdłuż ściany kolumnami dotarł do wielkich drzwi, kapłani tymczasem mijali olbrzymią salę tronową. Światło pochodni rozpraszało mroczne cienie. Nie oglądali się. Szli długim rzędem, kołysząc strusimi piórami, ich tuniki ze skór leopardów przedziwnie kontrastowały z marmurami i bogatymi zdobieniami starożytnego pałacu. Przeszli przez obszerną salę, po czym przystanęli przed złotymi drzwiami z lewej strony podium, na którym stał tron. Głos Gorulgi zabrzmiał głucho i niesamowicie w ogromnej, pustej przestrzeni. Pełna górnołotnych fraz przemowa pozostała niezrozumiała dla ukrytego Cymmerianina. Arcykapłan otworzył złote drzwi i wszedł do komnaty wyroczni, kłaniając się kilkakrotnie w pas, a ogniki pochodni podnosiły się i opadały, gdy wierni naśladowali swego mistrza. Złote drzwi zamknęły się za nimi, odcinając obraz i dźwięk. Conan przemknął się przez salę posłuchań do alkowy za tronem, ciszej niż wiatr, wiejąc przez komnatę. Gdy otworzył ukryte drzwi, dostrzegł, że z otworów w murze wydobywają się cienkie strumyki światła. Wślizgnął się do niszy i zerknął do środka. Muriela siedziała na postumencie, wyprostowana, z założonymi rękami, głową opartą o ścianę, kilka cali od jego oczu. Delikatny zapach jej włosów dotarł do jego nozdrzy. Oczywiście, nie mógł widzieć jej twarzy, lecz był pewny, że wyglądała jak pogrążone w transie medium, które widzi odległe otchłanie kosmosu, daleko, ponad ogolonymi głowami kłęczących przed nią czarnych olbrzymów. Conan uśmiechnął się z aprobatą. Z tej małej jest naprawdę wielka aktorka — pomyślał. Wiedział, że trzęsa się z przerażenia, ale nie dawała tego po sobie poznać. W niepewnym blasku pochodni wyglądała zupełnie jak bogini, którą widział leżącą na tym samym postumencie, o ile można by ją sobie wyobrazić pełną życia i werwy.

Gorulga grmiącym głosem zaintonował jakiś psalm w nieznanym języku — prawdopodobnie inwokację w prastarym języku Alkmeenonu, przekazywaną przez arcykapłanów z pokolenia na pokolenie. Niecierpliwący się Cymmerianin miał wrażenie, że śpiew

nigdy się nie skończy. Im dłużej to trwało, tym bardziej zdenerwowana

musiała być Muriela. Jeżeli się załamie... Przesunął do przodu swój miecz i sztylet. Nie mógłby patrzeć, jak czarni ludzie torturują i zabijają małą nierządnicę.

W końcu jednak głęboki, nieopisany złowieszczy przyspiew dobiegł końca, co podkreślił głośny krzyk aprobaty, jaki wydali ministranci. Unosząc głowę i wznosząc ramiona do cichej postaci na postumencie, Gorulga zawołał głębokim, dźwięcznym głosem, który stanowił naturalny atrybut kapłana Keshanu:

— O wielka bogini, mieszkająca z wielkimi ciemnościami, pozwól swemu sercu stopnieć, a wargom swym otworzyć się dla uszu niewolników twoich, leżących z głowami w pyle u twych stóp! Przemów, o wielka bogini świętej doliny! Ty znasz ścieżki naszego przeznaczenia; ciemność tajemna dla nas jest, jak światło słońca w południe dla ciebie. Oświeć światłem twej mądrości ścieżki sług twoich! Powiedz nam, o głosie bogów, jaka jest ich wola względem Stygijczyka Thutmekriego!

Wysoko upięta, połyskliwa masa włosów drgnęła lekko w przyćmionym miedzianym świetle pochodni. Czarni westchnęli gwałtownie, już to z podziwu, już to ze strachu.

Głos Murieli doleciał wyraźnie do uszu Conana; wydał mu się zimny, obojętny i bezosobowy, zzywał go wciąż wyraźny koryncki akcent.

— Wolą bogów jest, by Stygijczyka i jego shemickie psy wypędzono z Keshanu!

— powtarzała dokładnie jego słowa. — To złodzieje i zdrajcy spiskujący, by obrabować bogów. Niechaj Zęby Gwalhura będą oddane w opiekę generałowi Conanowi. Niech on poprowadzi armie Keshanu. On jest ulubieńcem bogów.

Głos jej lekko zadrżał pod koniec i Conan zaczął cię pocić, pewien, że była bliska załamania. Jednak czarni nie zwrócili na to uwagi, ani na koryncki akcent, którego nie znali. Z cichym kłaśnięciem złożyli dłonie, wydając okrzyk zdumienia i podziwu. Oczy Gorulgi błyszczały fanatycznie w świetle pochodni.

— Yelaya przemówiła! — zakrzyknął podniosłym głosem — Taka jest wola bogów!

Dawno temu, za dni naszych przodków, klejnoty ogłoszono tabu i ukryto na rozkaz

bogów, którzy wyrwali je ze strasznej paszczy Gwalhura — króla ciemności, w dniu narodzin świata. Na rozkaz bogów Zęby Gwalhura zostały ukryte; na ich rozkaz zostaną wydobyte ponownie. O niebiańska bogini, pozwól nam udać się do miejsca ukrycia

Zębów, by zabezpieczyć je dla tego, kogo miłują bogowie!

— Zezwalam wam odejść! — odpowiedziała fałszywa bogini z władczym, odprawiającym gestem, który wywołał uśmiech Conana. Kapłani wycofali się tyłem.

Strusie pióra i pochodnie wznosiły się i opadały w rytmie ich pokłonów. Złote drzwi zamknęły się, a bogini z jękiem opadła na postument.

— Conanie! — wyjęczała słabo — Conanie!

— Tss! — syknął przez otwory, obrócił się, wyslizgnął z niszy i zamknął płytę. Rzut oka przez rzeźbione drzwi ukazał mu kapłanów, wychodzących z wielkiej sali tronowej.

Jednocześnie uświadomił sobie, że blask, jakim sala była wypełniona, nie pochodził od pochodni. Zaniepokoił się, ale wyjaśnienie przyszło natychmiast. Właśnie wstał wczesny księżyc i to jego światło padało przez otwory w kopule, która jakąś przedziwną sztuką miała dar wzmacniania promieni świetlnych. Świecąca kopuła Alkmeenonu nie była więc

bajką. Zapewne pokryto jej wnętrze dziwnym, białawo płonącym kryształem

wydobywanym tylko w górach czarnych krain. Światło wypełniało salę tronową i sączyło się do przylegających komnat. Conan ruszył w kierunku drzwi, wiodących do sali

tronowej, zawrócił jednak na głos, który zdawał się dochodzić z przejścia do alkowy.

Przyczał się u wejścia mając jeszcze w pamięci dźwięk gongu, który zwabił go w

pułapkę. Światło kopuły sączyło się do nader skąpej części wąskiego korytarza,

ukazując mu tylko pustą przestrzeń. Mimo to byłby przysięgł, że słyszał gdzieś w głębi stąpanie.

Z rozmyślań wyrwał go dochodzący z tyłu, zduszony krzyk kobiety. Wpadając w drzwi

za tronem, ujrzał w krystalicznym świetle niespodziewaną scenę. Pochodnie kapłanów

zniknęły z wielkiej sali — ale jeden z nich pozostał w pałacu — Gwarunga. Z twarzą

wykrzywioną furią ścisnął przerażoną Murielę za gardło, dławiąc jej krzyk, a na domiar złego brutalnie nią potrząsał.

— Zdrajczyń! — z jego czerwonych warg wydobył się syk iście wężowy — Co to za gra? Czy Zargheba nie powiedział ci, co masz mówić? Zdradzasz swojego pana, czy też on za twoim pośrednictwem wystawia do wiatru współników? Dziwko! Ukręcę ci ten fałszywy łeb, ale najpierw...

Śliczne oczy schwytanej rozszerzyły się, gdy spojrzała mu przez ramię i to ostrzegło olbrzymiego Murzyna. Puścił ją i obrócił się akurat wtedy, gdy miecz Conana opadał na jego głowę. Silny cios rozciągnął go na marmurowej posadzce, gdzie legł drgając, z

krwią sączącą się z poszarpanej rany. Conan ruszył ku niemu, by dokończyć dzieła, widząc, że wskutek nagłego ruchu Murzyna ostrze uderzyło go na płask — ale Muriela konwulsyjnie objęła go ramionami.

— Zrobiłam, jak kazałeś! — dyszała histerycznie — Zabierz mnie stąd! Och, proszę, zabierz mnie stąd!

— Nie możemy jeszcze odejść — mruknął. — Chcę wysledzić, skąd kapłani wezmą klejnoty. Może jest tam więcej ukrytych łupów. Jeśli chcesz, idź ze mną. Gdzie jest ten kamień, który miałaś we włosach?

— Musiał mi wypaść na postumencie — wyjąkała, dotykając włosów. — Byłam taka przestraszona... Kiedy kapłani odeszli, wybiegłam, aby cię szukać, lecz ten wielki brutal został i złapał mnie...

— Dobrze, poszukaj kamienia, a ja pozbędę się tej padliny — nakazał.

— Ruszaj! Ten klejnot sam w sobie jest wart fortunę.

Zastanowiła się, niechętnie myśląc o powrocie do tajemniczej komnaty, wreszcie, gdy

Conan chwycił Gwarungę za pas i powlókł do alkowy, odwróciła się i weszła do środka.

Awanturnik rzucił z łomotem nieprzytomnego kapłana na posadzkę i wzniósł miecz.

Cymmerianin żył zbyt długo w dzikich stronach świata, by mieć jakieś złudzenia. Dobry wróg, to wróg bez głowy — taką dewizę wyznawał. Lecz zanim zadał cios, wstrząsający

krzyk zatrzymał podniesione ostrze. Krzyk dobiegał z komnaty wyroczeni.

— Conanie! Conanie! Ona wróciła! — wrzask zakończył bulgot i odgłosy szamotaniny.

Szybko wybiegł z alkowy z przekleństwem na ustach. Przebiegł przez podium i wpadł do komnaty wyroczni, nim echo przebrzmiało. Stał w progu, patrząc z niedowierzaniem. Sądząc z pozorów, na postumencie, z oczami zamkniętymi jak we śnie, leżała uśpiona Muriela.

— Co robisz do pioruna? — rzucił kwaśnym tonem. — Nie czas na głupie żarty...

Urwał nagle. Jego spojrzenie pobiegło ku dopasowanej, jedwabnej spódniczce okrywającej uda dziewczyny. Spódniczka powinna być rozdarta od pasa do skraju. Był tego pewien, bo sam to zrobił, bezlitośnie zdzierając tę część odzieży z wrywającej się tancerki. Jednak materiał nie nosił śladu uszkodzeń. Jednym skokiem znalazł się przy postumencie, położył dłoń na udzie dziewczyny i odskoczył, jakby dotknął rozpalonego żelaza, a nie chłodu śmierci.

— Na Croma! — wymamrotał, sypiąc skry ze zwężonych oczu. — To nie Muriela! To Yelaya!

Teraz rozumiał ten nagły krzyk, jaki wydarł się z gardła Murieli, gdy weszła do komnaty. Bogini wróciła. Zargheba zdjął odzienie z księżniczki, by dostarczyć kostium pretendence. Mimo to, ciało było teraz okryte jedwabiem i kosztownościami, jak

Conan widział je za pierwszym razem. Cymmerianin poczuł dziwne mrowienie, przebiegające po karku.

— Muriela! — wrzasnął nagle. — Muriela! Gdzie jesteś, do diabła!

Mury szyderczo powtórzyły jego wezwanie. Nie znał innej drogi do komnaty niż złote drzwi, przez które nikt nie mógł wyjść bez jego wiedzy. Yelaya musiała być więc umieszczona na postumencie w ciągu tych kilku minut, jakie upłynęły od chwili, gdy Muriela opuściła komnatę i została pochwycona przez Gwarungę. W uszach dźwięczało mu jeszcze echo krzyku dziewczyny, lecz ona sama zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Po odrzuceniu hipotezy o jakichś nadnaturalnych mocach, pozostawało tylko jedno wytłumaczenie: gdzieś w komnacie znajdowały się ukryte drzwi. W chwili, gdy przyszło mu to na myśl, zobaczył je.

W bloku marmuru, sprawiającym wrażenie monolitu, zauważył cienkie, prostokątne pęknięcie, w którym tkwił strzęp jedwabiu. Strzęp pochodził z rozdartej spódniczki Murieli. Wniosek był jednoznaczny. Zamykające się drzwi przytrzasnęły materiał, toteż nie mogły domknąć się do końca i dlatego powstała ta szpara.

Conan wcisnął sztylet w szczelinę i napałzył żyłastym przedramieniem. Klinga wygięła się, ale ponieważ wykonano ją z niełamliwej akbitańskiej stali, marmurowe odrzwia uległy i rozstały się. Zajrzał w otwór z wzniesionym do ciosu mieczem, lecz nie dostrzegł zagrożenia. Światło sączące się z komnaty wyroczeni ukazywało schodzące w dół stopnie wycięte w marmurze. Rozwarł drzwi na całą szerokość i wepchnął sztylet w szczelinę między marmurową płytą a posadzką. Zabezpieczywszy sobie odwrót, bez namysłu ruszył po schodach. Nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego. Kilkanaście stopni niżej schody kończyły się wąskim korytarzem, biegnącym dalej, prosto w mrok.

U stóp schodów stanął nagle, nieruchomo jak posąg, spoglądając na pokrywające ściany freski, ledwie widoczne w przyćmionym świetle z góry. To była bez wątpienia sztuka Pelishtów; freski w takim samym stylu widział na murach Asgalunu.

Jednak przedstawione tu sceny nie miały nic wspólnego z Pelishtami poza jedną, często pojawiającą się postacią chudego, białobrodnego starca, którego rysy zdradzały przynależność do tego ludu. Freski zdawały się ukazywać różne części pałacu. Kilka scen przedstawiało pomieszczenie, w którym rozpoznał komnatę wyroczeni, z postacią wyciągniętej na postumencie Yelayi otoczonej przez klęczących czarnych olbrzymów.

Za ścianą, w niszy, widniał ukryty pradawny Pelishta. Były też inne postacie, krążące po opuszczonym pałacu; wykonując rozkazy Pelishty wydobywały z podziemnej rzeki trudne do określenia przedmioty. Przez kilka chwil Conan stał jak wryty. Niezrozumiałe dotąd wersy pergaminowego rękopisu rozbrzmiały mu w mózgu z przerażającą jasnością.

Luźne fragmenty ułożyły się w całość. Tajemnica Bit–Yakina nie była już zagadką, podobnie jak tajemnica jego sług.

Obrócił się i spojrział w ciemność czując lodowaty dreszcz, pełznący mu po krzyżu.

Bez chwili zwłoki ruszył korytarzem, skradając się cicho, jak kot, w mrok tym głębszy, im dalej od schodów. Powietrze przesycone było tym samym odorem, jaki czuł przy gongu.

W zupełnej ciemności usłyszał przed sobą jakiś dźwięk — szuranie bosych stóp czy szelest odzieży, trącej o mur; nie mógł tego określić. Jednak chwilę później jego wyciągnięta ręka dotknęła przeszkody, w której rozpoznał masywne drzwi z rzeźbionego metalu. Pchnął je. Ani drgnęły. Równie bezskutecznie końcem miecza szukał szczeliny. Drzwi i framugi były dopasowane do progu tak, jakby je tam wtopiono. Wytężył wszystkie siły, zapierając się nogami w posadzkę, aż żyły wystąpiły mu na skroniach. Daremnie — może szarża słoni wstrząsnęłaby gigantycznym portalem.

Oparty o drzwi, posłyszał cichy dźwięk po drugiej stronie, a jego ucho momentalnie go rozpoznało — był to zgrzyt zardzewiałego żelastwa, coś jakby chrobot obracanej dźwigni. Zareagował tak szybko, że dźwięk, myśl i działanie były prawie jednoczesne. Kiedy olbrzymim susem odskakiwał w tył, z góry runęła ogromna masa i grzmiący huk wypełnił tunel ogłuszającym dudnieniem. Uderzyły go fruwające odłamki. Ogromny, kamienny blok — jak osądził po dźwięku — upadł na miejsce, które właśnie opuścił. Gdyby pomyślał lub zareagował odrobinę wolniej, zostałby zmiażdżony jak mrówka.

Conan cofnął się. Gdzieś po drugiej stronie była uwięziona Muriela, o ile jeszcze żyła. Jednak drzwi okazały się przeszkodą nie do zdobycia, a im dłużej pozostawał w tunelu, tym bardziej ryzykował. Z kolejnej próby wcale nie musiał wyjść obronną ręką. Nie pomoże dziewczynie dając z siebie zrobić krwawą miazgę. Nie mógł jej dłużej szukać.

Musiał wyjść na górę, poszukać jakiejś innej drogi.

Odwrócił się i pospieszył ku schodom, z westchnieniem ulgi wkraczając w lepiej oświetloną przestrzeń. Ale kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu, światło nad nim zgasło — marmurowe drzwi zatrzasnęły się z tysięcznym echem.

Uwięziony w ciemnym tunelu Cymmerianin był bliski paniki. Sądził, że teraz zewsząd rzucą się nań jakieś niesamowite stwory. Odwrócił się, błyskawicznie unosząc miecz i przesywając mrok morderczym spojrzeniem. Ale w tunelu panowała cisza i bezruch.

Czyżby ludzie za drzwiami — jeżeli byli to ludzie — sądzili, że pozbyli się go, zrzucając kamienny blok. Skoro tak, po co więc zatrzasnęli drzwi do komnaty?

Porzucając rozważania, Conan wymacywał drogę pod górę, w każdej chwili spodziewając się ciosu w plecy, czując gwałtowną chęć utopienia lęku świeżo przelanej krwi. Pchnął drzwi i zaklął wściekle, kiedy okazało się, że nie ustępują. Podniósł prawe ramię, by mieczem rąbnąć w marmur, gdy nagle lewicą dotknął metalowej zasuw.

Odsunął rygiel, a wtedy drzwi ustąpiły. Wpadł do komnaty niczym uosobienie wściekłości; ze zwężonymi źrenicami i twarzą skurczoną morderczym grymasem.

Płonął dzikim pragnieniem, by zetrzeć się z prześladowającym go wrogiem, kimkolwiek lub czymkolwiek był.

Nie znalazł na posadzce sztyletu. Komnata była pusta. Postument też. Yelaya znów zniknęła.

— Na Croma! — wymamrotał — Czy ona jednak żyje?

Zadziwiony powędrował do sali tronowej i tam, uderzony nagłą myślą, wszedł za tron i zajrzał do alkowy. Gładki marmur był zakrwawiony w miejscu, gdzie cisnął bezwładne ciało Gwarungi — i to wszystko. Murzyn zniknął, tak samo jak Yelaya.

4

ZĘBY GWALHURA

Conan był wściekły i zbity z tropu. Nie miał pojęcia, gdzie szukać Murieli i Zębów Gwahlura. Przyszło mu do głowy tylko jedno — śledzić kapłanów. Może w miejscu ukrycia skarbu znajdzie jakąś wskazówkę. Szansa była niewielka, lecz już lepsze to niż błąkać się bez celu. Gdy spieszył do portyku przez ogromną, mroczną salę spodziewał się, że przyczajone cienie nagle ożyją za jego plecami, szarpiąc kłami i pazurami.

Jednak tylko szybkie bicie własnego serca towarzyszyło mu, gdy kroczył w odbijających się na marmurze drobnymi cętkami srebrnym blasku księżyca.

U stóp szerokich schodów rozejrzał się za jakimś znakiem, mogącym wskazać kierunek marszu. Znalazł go — rozrzucone na murawie płatki powiedziały mu, gdzie ramię lub odzież otarły się o ukwieconą gałąź. Trawa była zgnieciona ciężkimi stopami. Conan, który w swych rodzinnych górach tropił wilki, nie miał najmniejszego kłopotu z odnalezieniem śladów kapłanów Keshanu. Trop prowadził na zewnątrz, przez gąszcz egzotycznie pachnących krzewów o wielkich, białych kwiatach przez zielone, splecione zarośla, których kwiecie czuł pod dotknięciem ręki. W końcu dotarł do ogromnej grupy skał, sterczących jak zamek tytanów przy gigantycznej ścianie skalnej, otaczającej dolinę. Do pałacu było blisko, lecz był on niemal niewidoczny za oplatanymi winoroślą chaszczami. Najwyraźniej niedyskretny kapłan mylił się, gdy mówił w Keshii, że Zęby Gwalthura są ukryte w pałacu. Szlak wyprowadził Cymmerianina z pałacu, ale rosło w nim przekonanie, że każda część doliny jest połączona z pałacem podziemnymi przejściami.

Czając się w głębokim, aksamitnym cieniu krzewów, obrzucił badawczym spojrzeniem spiętrzoną, olbrzymią skałę oblaną światłem księżyca. Była pokryta dziwnymi, groteskowymi rzeźbami, przedstawiającymi ludzi i zwierzęta oraz na pół zwierzęce istoty, które mogły być bogami lub demonami. Styl sztuki różnił się tak uderzająco od innych fresków, że Conan zaczął dociekać, czy to aby nie relikw z czasów zagubionych i zapomnianych nawet już w owym dniu, w którym lud Alkmeenonu odkrył i zasiedlił nawiedzoną dolinę. Wielkie wrota w stromej ścianie skalnej, na której wyrzeźbiono gigantyczny smoczy łeb stały otworem tak, że wyglądały jak rozwarta paszcza potwora. Same drzwi odlano i wyrzeźbiono w brązie — zdawało się, że ważą dobrych kilka ton. Nie zauważył żadnego zamka, lecz seria zasuw widocznych na brzegu stojącego otworem, masywnego portalu świadczyła, że istnieje jakiś system zamykania i otwierania — sposób znany jedynie kapłanom Keschanu. Ślady wskazywały, że Gorulga i jego pomocnicy przeszli przez drzwi. Conan zawahał się.

Czekać aż wyjdą oznaczało prawdopodobnie, że ujrzałby, jak zamykają mu drzwi przed nosem, a szczerze wątpił, czy umiałby je otworzyć. Z drugiej strony, gdyby poszedł za nimi, mogli wyjść i zamknąć go w jaskini. Porzucając ostrożność prześlizgnął się przez wielkie wrota. Gdzieś w jaskini byli kapłani, Zęba Gwalhura i może jakaś wskazówka co do losów Murieli. Ryzyko jeszcze nigdy nie odwiodło go od celu.

Księżyc oświetlał kilka pierwszych jardów szerokiego tunelu. Gdzieś przed sobą zobaczył słabą łunę i usłyszał echo posępnych przyśpiewów. Kapłani nie wyprzedzili go tak bardzo, jak sądził. Nim światło księżyca przestało rozjaśniać panujące ciemności, tunel rozszerzył się w rozległą komorę — pustą jaskinię o niewielkich wymiarach, lecz o wyniosłym, kopulastym, fascynującym sklepieniu. Jak Conan wiedział, było to

zjawisko powszechnie spotykane w tej części świata. W upiornym półmroku dojrzał przykucnięty na ołtarzu posąg zwierzęcia i czarne paszcze sześciu czy siedmiu tuneli, wychodzących z komnaty. W najszerszym z nich — tym za przykucniętym wizerunkiem, spoglądającym w stronę wyjścia — pochwycił migocące płomienie pochodni. Przyśpiew dolatywał właśnie stamtąd.

Ruszył, na nic nie zważając. Po chwili dotarł do jaskini większej niż ta, którą dopiero opuścił. Tutaj nie było świecącego sklepienia, ale blask pochodni oświetlał jeszcze

większy ołtarz oraz jeszcze bardziej sprośnego i odrażającego bożka, który przycupnął na nim jak ropucha. Przed tym obleśnym fetyszem klęczał Gorulga ze swą swiłą bijąc pokłony oraz zawodząc monotonne pieśni. Conan zrozumiał, dlaczego kapłani

posuwali się tak wolno. Najwidoczniej wejście do tajemnej krypty zawierającej klejnoty, wiązało się ze skomplikowanym rytuałem. Barbarzyńca wiercił się nerwowo, czekając

niecierpliwie na koniec obrzędów. Wreszcie kapłani podnieśli się z klęczek, po czym weszli w tunel za bożkiem. Pochodnie migotały w głębi krypty. Podążył za nimi.

Niebezpieczeństwo czaiło się jak nocny stwór, zaś czarni kapłani byli zupełnie pochłonięci swą ceremonią. Najwyraźniej nawet nie zauważyli nieobecności Gwarungi.

Wchodząc do ogromnych rozmiarów jaskini, której łagodnie wznoszące się ściany zapełniały rzędy galeryjek, kapłani na nowo rozpoczęli modły przed ołtarzem większym i bożkiem jeszcze paskudniejszym niż dotychczas spotykane.

Cymmerianin przyczał się w ciemnej gardzieli tunelu, a spoglądając na ściany, odbijające niesamowity blask pochodni, zobaczył wycięte w kamieniu schody, prowadzące od jednego rzędu galerii do drugiego. Pułap zgiął w ciemnościach. Nagle drgnął. Przyśpiew urwał się gwałtownie. Klęczący zadarli głowy. Wysoko pod stropem rozległ się nieludzki głos. Kapłani zastygli na kolanach, unosząc ku górze upiornie zbłękitniałe twarze, gdy pod wyniosłym sklepieniem zaczęło pulsować oślepiające światło. Błysk oświetlił galerie, a powtórzony echem krzyk arcykapłana przeszył wszystkich dreszczem. W górze ukazała się im smukła postać, w bieli jedwabiu, lśniąca złotem i drogimi kamieniami. Potem blask przygasł do drgającej, pulsującej jasności, w której wszystko było niewyraźne, a smukła postać zdawała się być zaledwie jaśniejszą plamą koloru kości słoniowej.

— Yelaya! — wrzasnął Gorulga, z twarzą barwy popiołu. — Czemu nas śledzisz? Czego żądasz?

Pod sufitem zabrzmiał podstępny nieludzki głos. Opadając z wysokości łukowatego sklepienia zwielokrotnionym echem został wzmocniony i zmieniony nie do poznania.

— Biada niedowiarkom! Biada fałszywym dzieciom Keshii! Zguba bluźniercom!

Kapłani wydali okrzyk przerażenia, a oświetlony blaskiem pochodni Gorulga wyglądał jak zszokowany sęp.

— Nie rozumiem! — wyjąkał. — Jesteśmy wierni. W komnacie wyroczni nakazałeś nam...

— Nie wiercie w to, co usłyszeliście w komnacie wyroczni! — zagrzmiało straszliwie jak gdyby niezliczone mnóstwo głosów szeptało to samo ostrzeżenie. — Strzeżcie się fałszywych bogów i fałszywych proroków! Demon przybrał moją postać, głosząc w pałacu fałszywe proroctwo. Słuchajcie i bądźcie posłuszni, bo tylko ja jestem prawdziwą boginią i daję wam szansę ocalenia od zagłady!

Zabierzcie Zęby Gwalhura z krypty, w której je umieszczono dawno temu. Alkmeenon

nie jest już świętym miejscem, bo został zbezczeszczone przez świętokradców. Złóżcie Zęby Gwalhura w ręce Thutmekriego, Stygijczyka, by umieścić je w świątyni Dagona i

Derkety. Tylko to może ocalić Keshan przed zgubą, uknutą przez demony nocy! Weźcie

Zęby Gwalhura i idźcie, wracajcie niezwłocznie do Keshii. Tam dajcie klejnoty

Thutmekriemu, schwytajcie cudzoziemskiego diabła Conana i obedrzyjcie go żywcem ze skóry na wielkim placu!

Posłuchano bez zastanowienia. Trzęsąc się ze strachu, kapłani ruszyli biegiem do

wejścia, znajdującego się za zwierzęcym bożkiem. Gorulga biegł na czele. Kłębili się chwilę w przejściu, a w powietrzu rozlegały się wrzaski oparzonych pochodniami. Po

chwili szybki tupot nóg ucichł.

Conan nie poszedł za nimi. Przepęłniało go gwałtowne pragnienie, by dowiedzieć się

prawdy o tej fantastycznej aferze. Czyżby to była naprawdę Yelaya, jak mówił mu zimny pot na czole, czy też to małe ladaco Muriela okazała się podwójną zdrajczynią? Jeżeli to ona...

Nim ostatnia pochodnia zniknęła w tunelu, pędził, żądny zemsty, w górę schodów.

Niebieski blask dogasał, ale nadal pozwalał dojrzeć nieruchomą postać na galerii. Serce niemal stanęło mu w gardle, ale zbliżył się bez wahania. Podszedł ze wzniesionym

mieczem i stanął jak uosobienie śmiertelnej groźby.

— Yelaya! — sarknął. — Martwa jak i przed tysiącem lat!

Z ciemnego otworu korytarza wypadł ciemny kształt. Jednak czuły słuch

Cymmerianina pochwycił nagły szmer bosych stóp. Uskoczył zwinnie jak kot, unikając

wymierzonego w plecy, morderczego ciosu. Gdy połyskująca w ciemnej ręce stal

przeszła ze świstem obok, uderzał z furią rozdrażnionego pytona. Długa, prosta klinga przebiła napastnika i wyszła między łopatkami.

— Więc to tak! — Conan wyszarpnął miecz, gdy jego ofiara padła na ziemię. Ciało

zadrgało i zeszywniało. W zamierającym świetle Conan zobaczył czarną skórę i

hebanowe rysy, odrażające w niebieskawej poświacie. Zabił Gwarungę. Cymmerianin

odwrócił się. Postronki na wysokości kolan i piersi przytwierdzały boginę do kamiennej kolumny, przywiązane do słupa włosy nie pozwalały opaść głowie. W migotliwym

świetle więzy były prawie niewidoczne już z odległości kilku jardów.

— Musiał wrócić do komnaty wyroczni, kiedy zszedłem w podziemia — mruczą;

Conan. — Pewnie podejrzewał, że tam jestem. To on wyciągnął sztylet — Conan

pochylił się, wyrwał broń ze sztywniejących palców i umieścił ją na swoim miejscu przy pasie — a następnie zamknął drzwi. Potem zabrał Yelayę, by oszukać tych idiotów,

swoich braci. To jego głos słyszeli przed chwilą. Nie mogli go rozpoznać, bo echo

mocno go zniekształciło. I ten niebieski płomień wydawał mi się znajomy. Sztuka

stygijskich kapłanów. Thutmekri musiał zdradzić tajemnice Gwarundze. Gwarunga z

łatwością przedostał się do jaskini wcześniej niż inni. Najwidoczniej znał plan labiryntu ze słyszenia lub z map posiadanych przez kapłanów. Wszedł za innymi niosąc boginię,

przeszedł okrężną drogą tunele i groty, a potem ukrył się wraz ze swym brzemieniem

na balkonie, W czasie gdy Gorulga i reszta oddawali się tym modłom bez końca.

Niebieski płomień zgasł, lecz Conan zauważył inny blask, dobywający się z jednego z

kilku korytarzy, odchodzących z galerii. Gdzieś dalej znajdowało się następne pole

fosforescencji — rozpoznawał tę słabą, jednostajną poświatę. Korytarz wiódł w tym

samym kierunku, w którym uciekli kapłani. Cymmerianin wolał skorzystać raczej z tej

samej drogi niż opuszczać się w ciemność wielkiej jaskini w dole. Niewątpliwie korytarz łączył się z inną galerią, w innej komnacie, być może z miejscem, do którego pobiegli kapłani. Pospieszył w tym kierunku. W miarę jak szedł, blask stawał się silniejszy,

pozwalając dojrzeć ściany i podłogę. Gdzieś w dole przed sobą usłyszał znów śpiew

kapłanów. Nagle ścianę po jego lewej ręce oblało fosforyzujące światło, a do jego uszu doleciał cichy, historyczny szloch. Obrócił się i zajrzał w drzwi.

Znów ujrzał komnatę, tym razem wykutą w twardej skale, a nie naturalną, jak

poprzednie. Kopulasty sufit świecił fosforyzującym blaskiem, ściany niemal całkowicie pokrywały inkrustowane złotem arabeski.

Pod najdalszą ścianą, na granitowym tronie, patrząc od wieków w stronę wejścia,

siedział monstrualny i odrażający Pteor, bóg Pelishtów, odlany w brązie, o przesadnie powiększonych atrybutach, odzwierciedlających wulgarność jego kultu.

Na jego tronie leżała bezwładnie rozciągnięta biała postać.

— Niech mnie lichy! — jęknął Conan. Rozejrzał się podejrzliwie po komnacie, nie znajdując śladu innego wejścia, ani czyjejs obecności. Podeszedł bezgłośnie i spojrzał na dziewczynę o twarzy ukrytej w dłoniach, wstrząsanej szlochem krańcowego przygnębienia.

Od grubych, złotych obręczy na ramionach bożka biegły cienkie, złote łańcuchy, skuwające jej ręce. Położył dłoń na nagim ramieniu. Drgnęła przerażona, krzyknęła i obróciła ku niemu zalaną Izami twarz.

— Conan! — jak zwykle usiłowała chwycić go za rękę, lecz tym razem łańcuchy krępowały swobodę jej ruchów. Przeciął miękki metal tak blisko nadgarstków, jak tylko mógł. — Będziesz musiała nosić te bransoletki, dopóki nie znajdę dłuta lub pilnika — sapnął. — Puść mnie, do licha! Wy, aktorki, jesteście zbyt uczuciowe. Przy okazji — co ci się przydarzyło?

— Kiedy weszłam do komnaty wyroczeni — wyjęczała — — zobaczyłam boginię leżącą na postumencie, tak jak ujrzałam ją za pierwszym razem. Zawołałam cię i zaczęłam biec do drzwi — wtedy coś złapało mnie z tyłu. Zatkąło mi dłonią usta, przeniosło przez otwór w ścianie, później, po schodach do ciemnego korytarza. Nie mogłam zobaczyć, co to było, dopóki nie minęliśmy dużych, metalowych drzwi i nie znaleźliśmy się w komnacie o jasnym suficie, jak ta. Och! — gdy ich zobaczyłam, omal nie zemdlałam! To nie ludzie! To szare, owłosione diabły, poruszające się jak ludzie, lecz mówiące niezrozumiałym bełkotem! Stali tam i zdawali się na coś czekać. W pewnej chwili zdało mi się, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi. Wtedy jedno z nich pociągnęło za dźwignię w murze i po drugiej stronie coś zwałyło się z łoskotem. Potem nieśli mnie długimi tunelami, wtaszczyli do tej komnaty, przykuli na kolanach tego paskudnego bożka i odeszli. Och, Conanie, kim oni są?

— Sługami Bit–Yakina — mruknął — Znalazłem rękopis, z którego dowiedziałem się

paru rzeczy, a freski dopowiedziały mi resztę. Bit–Yakin był Pelishtą, który

przywędrował do tej doliny ze swymi sługami po tym, jak opuścili ją mieszkańcy

Alkmeenonu. Znalazł ciało księżniczki Yelayi i odkrył, że kapłani przybywali tu od czasu do czasu, bo już wtedy oddawano jej boską cześć. Uczynił z niej wyrocznię — on był jej głosem, przemawiając z niszy, którą wykuł w ścianie za podium z kości słoniowej.

Kapłani nic nie podejrzewali; nigdy nie widzieli ani jego, ani jego sług, bo ci zawsze kryli się na czas ich pobytu. Bit–Yakin żył tu i umarł, nigdy nie odkryty przez kapłanów.

Crom wie, jak długo tu przebywał — chyba stulecia. Mędracy Pelishtów umieli

przedłużać swoje życie do setek lat. Kilku sam widziałem. Dlaczego żył tu samotnie i czemu odgrywał rolę wyroczni, zwykły człowiek tego nie pojmie. Sądzę, że celem

wyroczni było utrzymać to miejsce nienaruszonym i świętym, tak, by nikt mu nie

przeszkadzał. Jadł żywność, którą kapłani przynosili jako ofiarę dla Yelay, a jego słudzy jedli... hm... inne rzeczy... Zawsze wiedzałem, że z jeziora, do którego mieszkańcy

puntyjskich wyżyn wrzucają swoich zmarłych, wpływa podziemna rzeka. Ta rzeka

przepływa pod pałacem. Do wody schodzą drabinki, z których mogli wyławiać

przeptywające trupy.

Bit–Yakin zapisał to wszystko na pergaminie i na murze podziemnego tunelu. Jednak

w końcu umarł, a jego słudzy z mumifikowali go zgodnie ze wskazówkami, jakie dał im

przed śmiercią, i umieścili w skalnej grocie. Resztę łatwo zgadnąć. Jego słudzy, bliżsi nieśmiertelności niż on, nadal tu przebywali. Kiedy następnym razem arcykapłan

przybył zasięgnąć rady oni, nie mając pana, który by ich powstrzymał, rozszarpali go na strzępy. Tak więc od tej pory do dziś nikt nie przychodził, przemówić do wyroczni.

To oczywiście oni zmieniali szaty i ozdoby bogini na nowe, jak widzieli, że robił to Bit–

Yakin. Niewątpliwie, jest tu gdzieś zamknięta komnata, w której ukryto jedwabie przed zniszczeniem. To oni ubrali boginię i przenieśli z powrotem do pokoju wyroczni po

tym, gdy Zargheba ją okradł. A — przy okazji — odcięli też głowę Zargheby i zawiesili w gęstwinie.

Muriela zadrżała, ale odetchnęła z ulgą. — Już nie będzie mnie chłostał.

— Nie po tej stronie piekła — zgodził się Conan — ale chodźmy. Gwarunga zniszczył cały mój plan. Zamierzam śledzić kapłanów i odebrać im łup, kiedy go dostaną.

Trzymaj się blisko. Nie mogę cię szukać przez cały czas.

— A słudzy Bit–Yakina? — szepnęła z przestraszeniem.

— Musimy zaryzykować — mruknął — nie wiem, co planują, jednak na razie nie byli skorzy do bijatyki. Chodź.

Chwycił ją za rękę i wyprowadził z komnaty. Posuwając się korytarzem słyszeli śpiew kapłanów zmieszany z niskim, posępnym odgłosem pędzącej wody. Światło nad nimi stało się silniejsze — weszli na galerię olbrzymiej, wyniosłe sklepionej groty. Spojrzeli w dół. Widok był fantastyczny i niesamowity.

Nad nimi lśnił fosforyzującym blaskiem pułap; sto stóp poniżej rozciągało się płaskie dno jaskini. W odległej części groty przecinał je głęboki, wąski kanał w skale. Wartki strumień wypadając z niezgłębionych mroków, przepływał wirując przez jaskinię i znów ginął w ciemnościach. Widoczna część odbijała padający blask; czarna kipiela błyszczała, jakby była usiana żywymi klejnotami — mroźnym błękitem, krwawą czerwienią,

migoczącą zielenią i całą, ciągle pulsującą tęczą barw.

Conan i jego towarzyszka stali na jednym z podobnych do galerii występów,

opasujących wyniosłe ściany. Łuk naturalnego mostu z kamienia wzbijał się stąd nad

głęboką otchłanią pieczary, łącząc się ze znacznie mniejszym występem po drugiej

stronie rzeki. Dziesięć stóp wyżej następny, szerszy łuk rozciągał się nad jaskinią. Na każdym końcu wyciosane stopnie łączyły spinające przeciwległe ściany mostu.

Wiodąc spojrzeniem po wygięciu łuku Conan zauważył blask światła, różniący się od

niesamowitej fosforescencji jaskini. Na małym występie po przeciwnej stronie, w skale znajdował się otwór, przez który błyszczały gwiazdy.

Natychmiast jednak całą jego uwagę przyciągnęła scena, odgrywająca się w dole.

Kapłani dotarli wreszcie do celu. W odległym kącie jaskini stał kamienny ołtarz, lecz nie było na nim bożka. Conan nie mógł dojrzeć, czy był jakiś za ołtarzem, ponieważ dzięki sprytniej sztuczce światło, a może wypukłość ściany zostawiała przestrzeń absydy w

zupełnej ciemności.

Kapłani wetknęli pochodnie w otwory kamiennej podłogi, tworząc w odległości kilku

jardów przed ołtarzem ogniste półkole. Sami ustawili się wewnątrz półokręgu

pochodni. Gorulga, uniósłszy najpierw ręce w geście wezwania, pochylił się nad

ołtarzem i położył na nim ręce. Ołtarz podniósł się i pochylił do tyłu jak pokrywa kufra, odsłaniając małą kryptę.

Wyciągnawszy długie ramię, Gorulga wyjął niewielką, mosiężną szkatułkę. Opuścił

ołtarz z powrotem, postawił na nim skrzynkę i podniósł pokrywę. Podnieconym widzom

na wysokiej galerii wydawało się, że ten ruch wyzwolił żywe płomienie, drżące i

pulsujące wokół otwartej szkatuły. Serce Conana skoczyło, a dłoń chwyciła za rękojeść miecza.

Nareszcie ujrzął Zęby Gwalhura! Skarb, czyniący posiadacza najbogatszym

człowiekiem na świecie. Przez zaciśnięte zęby Cymmerianina wydybywał się

przyspieszony oddech.

Nagle uświadomił sobie, że na światło pochodni i fosforyzującego pułapu podziałała

jakaś siła, pozbawiając je mocy. Wokół ołtarza zalegały ciemności, rozświetlane jedynie upiornym blaskiem światła rzucanego przez Zęby Gwalhura — światło to ciągle

przybierało na mocy. Czarni zamarli jak figury z bazaltu, ich cienie stały nieruchomo, gigantyczne i groteskowe.

Ale ołtarz był skąpany w blasku i zdumione rysy Gorulgi odcinały się z całą

wyrazistością. Nieprzenikniona ciemność za ołtarzem rozbłysła rozprzestrzeniającym

się światłem. Powoli, w miarę jak krąg światła rozszerzał się, ukarały się postacie, niczym kształty powstające z nocy i ciszy.

Na początku wyglądały jak szare, kamienne posągi — nieruchome, włochate, ohydne

karykatury człowieka. Jedynie ich sypiące skrami zimnej wściekłości oczy były żywe.

Upiorna poświata wyłoniła ich zwierzęce kształty. Gorulga wrzasnął i upadł do tyłu,

wyrzucając przed siebie ręce w geście dzikiego przerażenia. Niekształtne, długie ramię sięgnęło błyskawicznie ponad ołtarzem; pięść opadła z siłą młota i krzyki kapłana

ucichły. Jego bezwładne ciało legło na ołtarzu. Ze zmiażdżonej czaszki wypływał mózg.

Wtedy słudzy Bit–Yakina natarli jak horda demonów na skamieniałych z przerażenia kapłanów.

Była to rzeź — ponura i przerażająca.

Conan widział czarne ciała ciskane jak plewy łapami zabójców. Przeciwno ich straszliwej sile sztylety i miecze kapłanów były zupełnie bezużyteczne. Widział ludzi unoszonych w górę i miażdżonych o ołtarz. Widział, jak potworna ręka wepchnęła

płonącą pochodnię w gardło nieszczęśnika, szarpiącego się daremnie w przytrzymujących go ramionach; Ujrzał mężczyznę rozdartego na dwoje jak kurczaka,

a jego krwawe szczątki ciśnięte w różne strony jaskini. Gwałtowna i niszcząca jak huragan masakra zakończyła się w jednym krwawym wybuchu bezdennej dzikości.

Tylko jeden nieszczęśnik, wrzeszcząc przeraźliwie, uciekał drogą, którą przyszli kapłani. Horda zbryzganych krwią stworów ścigała go, wyciągając umazane posoką łapy. Uciekinier i ścigający zniknęli w ciemnym tunelu. Krzyki człowieka cichły w oddali.

Muriela klęczała, ściskając kolana Conana, z twarzą przytuloną do niego i

zamkniętymi oczami. Była uosobieniem skrajnego przerażenia. Conan jednak sprężył

się do akcji. Rzut oka na świecące przez otwór gwiazdy, na szkatułę nadal stojącą na zalanym krwią ołtarzu — i dojrzał nikły cień szansy.

— Idę po tę szkatułę! — warknął — Zostań tutaj!

— Och Mitro, nie! — zupełnie przerażona upadła mu do stóp chwytając go za sandały. — Nie! Nie! Nie zostawiaj mnie!

— Leż cicho i nie odzywaj się! — przerwał, uwalniając się od jej kurczowego uścisku.

Nie zwrócił uwagi na kręte chody. Opuszczał się z występu na występ z zuchwałym pośpiechem. Gdy stanął na dnie jaskini, potwory jeszcze nie wróciły. Kilka pochodni tkwiących w otworach jeszcze się paliło, fosforyzujący odblask drżał, a rzeka

przeplýwała, pomrukując niemal ludzkim głosem i iskrząc się nieprawdopodobną —

jasnością. Luna, oznajmiająca przybycie sług Bit–Yakina, zniknęła razem z nimi. Tylko klejnoty w mosiężnej szkatule lśniły i błyszcząły.

Cymmerianin porwał szkatułę, oceniwszy jej zawartość jednym pożądlwym spojrzeniem — garść płonących lodowatym, nieziemskim blaskiem kamieni o przedziwnych kształtach. Zatrzasnął wieko, wcisnął skrzynkę pod pachę i pobiegł schodami w górę. Nie miał ochoty spotykać się z diabelskimi sługami Bit–Yakina.

Przelotna znajomość rozwiała wszystkie złudzenia — co do ich waleczności: Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak długo czekali, zanim uderzyli na intruzów. Czyż człowiek mógł odgadnąć myśli lub motywy działania potworów?

Wykazali się zręcznością i inteligencją równą ludzkiej, a na dnie jaskini leżały krwawe dowody ich zwierzęcej dzikości.

Koryncjanka nadal kulila się na galerii, gdzie ją zostawił. Chwycił ją za rękę i postawił na nogi.

— Myślę, że czas iść! — mruknął.

Zbyt otumaniona przerażeniem, by zrozumieć, co się dzieje, dziewczyna pozwoliła poprowadzić się przez most. Dopiero kiedy znajdowali się nad pędzącą wodą, spojrzała w dół, w zapierającą dech przepaść, jęknęła i byłaby spadła, gdyby Conan nie objął jej potężnym ramieniem. Burcząc pokrzepiająco do ucha, wziął ją pod drugą, wolną pachę

i przeniósł przez most, do otworu. Nie kłopotząc się stawianiem jej na nogi, ruszył pospiesznie tunelem. W chwilę później wyszli na wąski występ po zewnętrznej stronie ścian otaczających dolinę. Mniej niż sto stóp poniżej, w świetle gwiazd falowała dzungla. Patrząc w dół, Conan wydał gwałtowne westchnienie ulgi. Wierzył, że potrafi uporać się z zejściem, nawet obciążony klejnotami i dziewczyną, chociaż wątpił, by

potrafił wspiąć się tędy w górę, nawet bez obciążenia. Postawił usmarowaną krwią i mózgiem Gorulgi szkatułę na półce i zaczął zdejmować pas, by przywiązać ją sobie na plecach. Złowieszczo jednoznaczne odgłosy z tyłu zmusiły go do działania.

— Zostań tu! — rzucił oszołomionej dziewczynie — i nie ruszaj się! Wyciągając miecz

pobiegł do jaskini, wściekle tocząc wzrokiem. W połowie wyższego mostu ujrzał szarą, niekształtną postać. Jeden ze sług Bit–Yakina był na jego tropie.

Conan nie miał wątpliwości, że bestia widziała ich i ścigała. Nie zastawiał się ani chwili. Obrona wejścia do tunelu mogła być łatwiejsza, ale ta walka musiała być zakończona szybko, nim inni powrócą.

Wybiegł na spotkanie potwora. Nie była to mała, ale i nie człowiek. Raczej jakiś człekokształtny potwór, zrodzony w tajemniczych, niezbadanych dżunglach południa, gdzie dziwne, nie ujarzmione przez człowieka stwory roiły się w wyziewach zgnilizny, a bębny grzmiały w świątyniach nie dotkniętych nigdy ludzką stopą. W jaki sposób prastary Pelishta zdobył władzę nad nimi i wraz z nią wieczystą ucieczkę przed ludzkością — to zagadka nie do rozwiązania. Conan nie dochodziłby tego, nawet gdyby miał na to czas.

Człowiek i potwór spotkali się w najwyższym punkcie mostu, sto stóp nad powierzchnią czarnej, oszalałej wody. Kiedy monstrualna postać o rysach kamiennego bożka wyłoniła się przed nim, Conan uderzył niczym ranny tygrys, wkładając w atak całą siłę i wściekłość. Takt cios przeciąłby człowieka na dwoje, lecz kości sług Bit–Yakina były twarde jak hartowana stal. Jednak nawet hartowana stal nie zniósłaby bez uszczerbku szaleńczego ciecicia. Cios przeciął bark oraz żebra. Z ogromnej rany trysnęła krew.

Nie było czasu na powtórzenie. Zanim Cymmerianin zdołał znów unieść ostrze lub odskoczyć, zamach gigantycznego łapska strącił go z mostu jak muchę. Huk rzeki brzmiał mu jak podzwonne, jeśli jednak nie zginął w czarnych odmętach to dlatego, że połową ciała wpadł na niższy most. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę kołysał się niebezpiecznie na skraju przepaści, aż wreszcie przebierające gorączkowo palce uchwyciły krawędź. Wgramolił się na most, mocno dzierżąc miecz w dłoni.

Teraz zobaczył potwora, który brocząc obficie krwią, pędził ku łączącym mosty

schodom. Najwidoczniej zamierzał zejść i podjąć walkę, lecz na wstępie zatrzymał się w biegu. U wejścia do tunelu stała oniemiała ze strachu Muriela, ze szkatułą klejnotów pod pachą.

Z tryumfalnym rykiem potwór porwał ją jedną łapą, w drugą chwycił szkatułę i zawrócił ociężale na most. Conan zaklął z pasją, po czym pobiegł w tym samym kierunku po niższym moście. Wątpił, czy zdoła wbiec po schodach na wyższy most, nim bestia dopadnie labiryntu tuneli po drugiej stronie.

Potwór jednak zwalniał, jakby zepsuł się napędzający go mechanizm. Krew tryskała ze straszliwej rany w piersi, zataczał się z boku na bok, jak pijany. Nagle potknął się, zachwiał i przewrócił... Głową w dół runął w przepaść. Dziewczyna i szkatuła klejnotów wypadła mu z pozbawionych czucia łap. Przerażliwy krzyk Murieli zagłuszył ryk

pędzącej w dole rzeki. Conan znajdował się prawie dokładnie poniżej miejsca, z którego spadali. Potwór otarł się o niższy most i poleciał w dół, ale wymachująca rękami i nogami dziewczyna zawisła na skalnym łuku. Szkatuła spadła na skraj mostu tuż przy niej. Muriela i klejnoty upadły naprzeciw siebie w pewnym oddaleniu. Conan stał pośrodku. Obie zguby leżały w zasięgu ręki. Przez ułamek sekundy szkatuła chybotwała się na krawędzi mostu, a Muriela, wisząc na jednej ręce, patrzyła na Conana oczami pełnymi śmiertelnego lęku, z krzykiem rozpaczony na ustach.

Nie zastanawiał się, nawet nie spojrział na szkatułę kryjącą bogactwo epoki. Z szybkością, która zdziwiłaby głodnego jaguara, pochylił się chwycił ramię dziewczyny w chwili, gdy jej ręce ześlizgiwały się z gładkiego kamienia i jednym ruchem postawił ją na moście. Szkatuła spadła i uderzyła sto stóp niżej o powierzchnię wody, gdzie znikły już zwłoki sługi Bit-Yakina. Plusk i fontanna oznaczyły miejsce, w którym Zęby

Gwalthura zniknęły na zawsze dla ludzkich oczu. Conan ledwie na to spojrział. Pomknął jak kot przez most i wbiegł po schodach, niosąc bezwładną dziewczynę, jak gdyby była niemowlęciem. Wchodząc na górny most usłyszał ohydne wycie. Spojrzął przez ramię i ujrzał stwory, wpadające z powrotem do jaskini. Z ich obnażonych kłów kapłała krew.

Rycząc mściwie, pędziły po schodach wiodących z półki na półkę.

Conan bezceremonialnie zarzucił sobie dziewczynę na ramię, przebiegł tunel i zaczął

opuszczać się w dół; sam był podobny do małpy, gdy z karkołomnym zuchwalstwem przerzucał ciężar ciała z miejsca na miejsce, posługując się jedynie rękami. Gdy zwierzęce pyski wyjrzały przez otwór, Cymmerianin z dziewczyną właśnie znikali w otaczającej skalny pierścień dżungli.

— No — powiedział Conan, stawiając dziewczynę na nogi w bezpiecznym zaciszu gałęzi — mamy teraz sporo czasu. Nie sądzę, żeby te bestie ścigały nas aż tutaj. W każdym razie mam tu konia uwiązanego u wodopoju, o ile lwy go nie zjadły. Crom i diabli! Dlaczego TERAZ płaczesz?

Ukryła zalaną łzami twarz w dłoniach i szloch wstrząsnął jej szczupłymi ramionami.

— Straciłam twoje klejnoty — jęczała żałośnie — To moja wina. Gdybym cię posłuchała i została na półce, ta bestia nigdy by mnie nie zobaczyła. Powinieneś był złapać kamienie i pozwolić mi utonąć!

— Tak, chyba powinienem — zgodził się — ale zapomnijmy o tym. Nigdy nie martw się tym, co minęło. I przestań płakać, dobrze? Teraz lepiej. Chodź!

— To znaczy, że chcesz mnie zatrzymać? Zabrać ze sobą? — pytała z nadzieją w głosie.

— Co innego mógłbym z tobą zrobić? — obrzucił aprobującym spojrzeniem jej postać i uśmiechnął się na widok rozdartej spódniczki, odsłaniającej wspaniałe obszary

kuszących, toczonych w kości słoniowej krągłości. — Znajdę zajęcie dla takiej aktorki jak ty. Nie mamy po co wracać do Keshii. W Keshanie nie ma już mc, co mogłoby mnie

zatrzymać. Pojedziemy do Puntu. Puntyczycy oddają cześć bogini z kości słoniowej i wypłukują z rzek złoto plecionymi koszykami. Powiem im, że Keshan spiskuje z

Thutmekrim, by ich podbić — co jest prawdą — i że bogowie przysłali mnie, bym ich

broniał — za jakieś parę worków złota. Jeżeli zdołam przemycić się do ich świątyni, abys zamieniła się miejscami z ich boginią... Zedrzymy z nich wszystko, do ostatniego

złotego zęba!

ZA CZARNĄ RZEKĄ

Udawszy się z Murielą do Puntu, Conan przeprowadza swój plan i uwalnia czcicieli tamtejszej bogini od nadmiaru złota. Potem rusza dalej, do Zambabwei. W mieście bliźniaczych królów przyłącza się do karawany kupieckiej, którą przeprowadza na północ pustynnymi szlakami patrolowanymi przez kamratów Zuagirów do bezpiecznego Shemu. Wędruje dalej przez hyboriańskie królestwa, zmierzając wciąż na północ, ku swym rodzinnym stronom. Ma już prawie czterdzieści lat, ale prawie wcale się nie zmienił; jest tylko ostrożniejszy w kontaktach z kobietami i stara się unikać kłopotów. W Cymmerii jego rówieśnicy już dawno pozakładali rodziny i z upodobaniem oddają się przyjemnościom życia, za przykładem mieszkańców bardziej cywilizowanych hyboriańskich krain. Mimo to, w ciągu dwudziestu lat jakie upłynęły od upadku Venarium, kolonizatorzy nie przekroczyli granic Cymmerii. Teraz jednak Aquilończycy napierają na zachodnie obrzeża puszczy zamieszkałej przez dzikich Piktów. Tam też, w poszukiwaniu zajęcia, udaje się Conan. Zaciąga się jako zwiadowca do oddziałów stacjonujących w forcie Tuscelan, ostatnim przyczółku Aquilonii na wschód od Czarnej Rzeki — w głębi terytorium Piktów. W leśnej głuszy toczy się nieustająca, okrutna wojna.

1

CONAN TRACI TOPÓR

W lesie panowała tak głęboka cisza, że nawet stąpienia miękko obutych stóp zdawały się rozchodzić aż po jego krańce. A przynajmniej tak wydawało się wędrowcowi podążającemu z ostrożnością cechującą każdego człowieka, który odważył się przekroczyć Rzekę Gromu. Był to młody mężczyzna średniego wzrostu, o otwartej twarzy i zmierzwionej, płowej czuprynie. Nie nosił hełmu ani czapki, a jego strój nie wyróżniał się niczym szczególnym; zgrzebna przewiązana w pasie tunika, skórzane

bryczesy i miękkie, sięgające kolan buty. Zza cholewy jednego z nich sterczała rękojeść noża, a przy szerokim pasie wisiał krótki, ciężki miecz i sakwa z kozłej skóry. Podróżny wpatrywał się bacznie w ciągnące się po obu stronach szlaku zielone ściany lasu, lecz nie zdradzał niepokoju. Mimo niewysokiego wzrostu miał potężne bary, a szerokie

rękawy jego tuniki odsłaniały nagie ramiona poznaczone grubymi węzłami mięśni.

Dotychczas nic nie powstrzymało go w marszu, chociaż ostatnia osada pozostała o wiele mil za nim, a każdy krok przybliżał go do niebezpieczeństwa, które jak ponury cień zawisło nad prastarym lasem.

Nie robił aż tak wiele hałasu jak mu się wydawało, ale dobrze wiedział, że nawet cichy trzask łamanej gałązki może zaalarmować nieprzyjaciół kryjących się gdzieś w

zdradliwej, zielonej gęstwinie. Jego swobodne zachowanie było tylko pozą; nawet na chwilę nie zaprzestawał wypatrywać i nasłuchiwać ewentualnego zagrożenia. Czujnie wsłuchiwał się w najlżejsze szmery dochodzące z głębi lasu, zdając sobie sprawę, że nie zdoła przebić wzrokiem gęstej plątaniny liści.

Nagle, bardziej kierując się instynktem niż ostrzeżeniem swoich zmysłów, chwycił za rękojeść wiszącego u boku miecza. Stał jak wryty na środku ścieżki, wstrzymując oddech i zastanawiając się czy rzeczywiście coś usłyszał, czy też tylko coś mu się przywidziało. Wokół panowała absolutna cisza. Nawet ptak nie zaćwierkał w gęstwinie.

Spojrzenie wędrowca zatrzymało się na kępie krzaków rosnących kilka jardów dalej. Nie było wiatru, a jednak dostrzegł lekko poruszające się liście. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przez moment stał bez ruchu, pewien, że śmierć dopadnie go zanim zdąży

zrobić następny krok.

Wtem, za zasłoną listowia rozległ się suchy chrzest i łomot. Krzaki zatrzęsły się gwałtownie. Wyleciała z nich wypuszczona na oślep strzała i ze świstem wpadła gdzieś między drzewa. Wędrowiec dostrzegł ją kątem oka, uskakując pod osłonę grubego

pnia. Chowając się za nim i ściskając w drżącej dłoni obnażony miecz ujrzał wyłaniającą się z zarośli ogromną postać. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Nieznajomy miał na

sobie takie same jak on buty i bryczesy, chociaż te ostatnie były z jedwabiu, nie ze skóry. Zamiast

tuniki był odziany w pozbawioną rękawów kolczugę, a grzywę czarnych włosów osłonił ciężkim hełmem. Właśnie ten hełm przykuł uwagę wędrowca; zamiast pióropusza zdobiła go para bawolich rogów. Niewątpliwie nie wykuły go ręce cywilizowanego człowieka. Bo też i twarz pod okapem hełmu nie była twarzą cywilizowanego mieszkańca nizin: smągła, poznaczona bliznami, z parą płonących, niebieskich oczu, stanowiła oblicze nieprzeniknione i groźne jak rozciągający się wokół dziewiczy las. Obcy wyszedł na ścieżkę, trzymając w prawej ręce szeroki, okrwawiony miecz.

— Wyjdź! — zawołał, z obcym akcentem. — Jesteś bezpieczny. To tylko jeden z tych psów! Wychodź.

Wędrowiec niepewnie wynurzył się z lasu i wbił wzrok w nieznanego. Czuł się dziwnie bezradny i śmieszny, patrząc na tę gigantyczną postać — potężną, opiętą kolczugą pierś i muskularne, zbrązowiałe od słońca ramiona. Olbrzym poruszał się zwinnie i bezszelestnie jak pantera; nie ulegało wątpliwości, że nie był wytworem cywilizowanego świata czy choćby takiej jego namiastki, jaką stanowiły rejony pogranicza. Odwrócił się zwinnie i rozchylił krzaki.

Wciąż jeszcze zdezorientowany podróżny podszedł do zarośli i spojrzał. W gęstwinie leżał niski, ciemnoskóry człowiek, odziany jedynie w przepaskę biodrową, mosiężną bransoletę i naszyjnik z ludzkich zębów. Jego głowę pokrywały czarne, długie włosy; spryskane teraz szybko krzepnącą krwią. W jednej ręce trup wciąż ścisnął ciężki, krótki łuk. — O bogowie, to Pikt! — wykrzyknął wędrowiec. Para niebieskich oczu zmierzyła go spojrzeniem.

— Dziwi cię to?

— No, mówiono mi w Velitrium, a później w chatach osadników, że te diabły czasem

przekradają się przez granicę, ale nie spodziewałem się, że spotkam jednego z nich aż tutaj.

— Jesteśmy tylko cztery mile na wschód od Czarnej Rzeki poinformował go nieznajomy — a oni zapuszczają się nawet na przedpola Velitrium. Żaden z osadników, mieszkających pomiędzy Rzeką Gromu a Fortem Tuscelan nie jest naprawdę bezpieczny. Dziś rano zauważyłem ślady tego psa trzy mile na południe od Fortu i podążyłem za nim aż tu. Podszedłem go gdy wymierzył w ciebie strzałę. Jeszcze chwila, a zakończyłbyś swoją wędrówkę. Na szczęście byłem szybszy.

Wędrowiec patrzył szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma na swojego rozmówcę, pojmując z trudem, że ten olbrzym nie tylko zdołał wytropić, ale także zaskoczyć i zabić jednego z leśnych diabłów. Dowodziło to głębokiej znajomości lasu i mistrzostwa w tropieniu, niespotykanego nawet wśród mieszkańców Conajohary.

— Należysz do załogi fortu? — spytał po chwili.

— Nie jestem żołnierzem. Otrzymuję żołd i racje żywnościowe oficera liniowego, ale działam w lesie. Vallanus wie, że większy ze mnie pożytek tutaj niż za murami fortu.

To mówiąc, obojętnie wepchnął ciało zabitego w zarośla, przykrył je gałęziami i wrócił na ścieżkę.

— Mnie zwą Balthus — rzekł wędrowiec. — Ostatnią noc spędziłem w Velitrium. Chcę się tu rozejrzeć i zdecydować, czy wziąć kawałek ziemi, czy też zaciągnąć się na służbę w forcie.

Ruszyli razem dalej.

— Najlepsze ziemie w pobliżu Rzeki Gromu są już zajęte — mruknął olbrzym. —

Między Strumieniem Skalpów, które minąłeś kilka mil wcześniej, a fortem jest mnóstwo wspaniałej ziemi, ale to zbyt blisko tej przeklętej rzeki. Piktowie często przeprawiają się przez nią aby palić i mordować — tak jak ten wojownik, którego zabiłem. Jednak nie zawsze wyprawiają się w pojedynkę. Pewnego dnia spróbują przepędzić osadników z

Conajohary — i może im się to udać. Nawet na pewno im się uda. Kolonizowanie tych ziem to szaleństwo. Na wschodzie Bossonii leży dużo dobrej ziemi. Gdyby

Aquilończycy okroili choć trochę majątki swych baronów i zasiali zboże tam, gdzie

teraz tylko poluje się na jelenie, to nie musieliby przekraczać granicy i zabierać ziemię Piktom.

— Dziwnie mówisz, jak na człowieka w służbie namiestnika Conajohary — zauważył Balthus.

— Mało mnie to obchodzi — odparował nieznajomy. — Jestem żołnierzem. Oddaję swój miecz na usługi temu, kto najlepiej płaci. Nigdy nie uprawiałem roli i nie mam zamiaru, dopóki nie zabraknie żniwa dla mojego ostrza. Jednak wy, Hyborianie, podbiliście już dosyć ziem — więcej nie zdołacie. Przekroczyliście stepy, spaliliście parę wiosek, wyrznięliście kilka szczepów i przesunęliście granicę aż do Czarnej Rzeki, ale wątpię czy zdołacie choćby utrzymać to co zdobyliście — nie mówiąc już o dalszych podbojach. Wasz zidiociały król nie zna sytuacji. Nie przyśle wam żadnych posiłków, a osadników jest za mało by odeprzeć zmasowany atak zza rzeki.

— Przecież Piktowie są podzieleni na małe plemiona — spierał się Balthus. — I nigdy nie łączą swoich sił. A my możemy pokonać wszystkich po kolei.

— Owszem — zgodził się olbrzym. — nawet połączone siły trzech czy czterech plemion. Jednak pewnego dnia zjednoczy się ich trzydzieści lub czterdzieści, tak jak się to stało przed laty w Cymmerii, gdy Gundermanowie przekroczyli pomocną granicę.

Próbowali skolonizować tamtejsze ziemie: zniszczyli kilka małych klanów i wzniesli ufortyfikowane miasto Venarium. Chyba o tym słyszałeś?

— Słyszałem — odrzekł Balthus, krzywiąc się. Ta pamiętna klęska stanowiła czarną plamę w dziejach wojowniczego ludu Gunderlandu. — Mój stryj był w Venarium, kiedy Cymmerianie wdarli się na mury. Uszedł z życiem jako jeden z nielicznych. Opowiadał mi o tym wiele razy. Barbarzyńcy spadli z wyżyn jak hordy szaleńców i bez ostrzeżenia zaatakowali miasto z taką furją, że nic nie zdołało ich powstrzymać. Wymordowali wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzieci — a Venarium obrócili w stertę gruzów.

Aquilończycy zostali odepchnięci na południe i już nigdy nie ponowili prób podboju Cymmerii. Ale skąd tak dobrze znasz tę historię? Może byłeś w Venarium?

— Byłem — mruknął zapytany. — Szturmowałem mury jako jeden z owych

barbarzyńców. Nie miałem wtedy jeszcze nawet piętnastu wiosen, lecz moje imię było już sławne.

Balthus odsunął się mimowolnie i wybałuszył oczy. Wydało mu się nieprawdopodobne aby ten spokojnie idący obok niego mężczyzna mógł należeć do zgrai wrzeszczących, żądnych krwi diabłów, którzy tamtego pamiętnego dnia wdarli się na mury Venarium siejąc śmierć i zniszczenie.

— A więc ty też jesteś barbarzyńcą! — wykrzyknął. Nieznajomy obojętnie skinął głową.

— Jestem Conan z Cymmerii.

— Słyszałem o tobie — w głosie Balthusa dało się słyszeć prawdziwe zaciekawienie.

Nic dziwnego, że Pikt tak łatwo stał się ofiarą Conana. Cymmerianie byli barbarzyńcami równie okrutnymi jak Piktowie, ale o wiele bardziej inteligentnymi. Conan

najwidoczniej spędził wiele czasu wśród cywilizowanych ludzi, jednak ta styczność nie przytępiła jego pierwotnych instynktów. Uznanie Balthusa przerodziło się w podziw.

Zauważył bezszelestny, koci chód towarzysza. Naoliwiona kolczuga Cymmerianina nie wydawała najcichszego brzęku i Balthus pojął, że Conan może prześlizgnąć się przez gęste chaszczce równie bezszelestnie jak każdy nagi Pikt.

— A ty, nie jesteś Gundermanem?

Balthus potrząsnął głową.

— Pochodzę z Tauranu.

— Spotkałem kilku dobrych wojowników z twego kraju, ale to nieliczne wyjątki.

Bossonianie zbyt długo chronili was, Aquilończyków, przed barbarzyńcami. Przydałoby się wam trochę zaprawy.

Conan mówił prawdę. Pograniczne, ufortyfikowane wioski Bossonii, zamieszkałe przez wprawnych łuczników, od dawien dawna były dla Aquilonii strefą buforową.

Teraz, wśród osadników znad Rzeki Gromu, wyrastało nowe pokolenie wojowników obeznanych z leśną głuszą, lecz było ich wciąż zbyt mało aby mogli podjąć walkę z Piktami. Większość mieszkańców pogranicza wolała uprawiać rolę niż ćwiczyć się w wojennym rzemiośle.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale zniknęło już za gęstą ścianą lasu. Dwaj towarzysze wędrowali dalej wśród gęstniejącego mroku i wydłużających się cieni.

— Zanim dotrzemy do fortu będzie już całkiem ciemno — stwierdził Conan i dodał po chwili. — Słuchaj!

Zatrzymał się w pół kroku i — lekko pochylony — zastygł w pozie człowieka

spodziewającego się niebezpieczeństwa, gotowy do walki lub ucieczki. Balthus też to

usłyszał — przeraźliwy wrzask, który urwał się na najwyższej nucie. Tak mógł krzyżeć jedynie śmiertelnie przerażony lub konający człowiek.

Conan nie namyślając się wiele pomknął ścieżką, z każdym susem powiększając odległość dzielącą go od usiłującego dotrzymać mu kroku kompana. Balthus zaklął.

Wśród taurańskich osadników uważano go za dobrego biegacza, ale barbarzyńca z rozwścieczającą łatwością zostawił go w tyle. W następnej chwili Taurańczyk zapomniał o rozdrażnieniu, bo uszy rozdarł mu najstraszliwszy ryk jaki słyszał w życiu.

Nieludzki, demoniczny wrzask ohydneho tryumfu zdawał się drwić z całej ludzkości i gromkim echem odbijać w niezgłębionych, mrocznych zakamarkach puszczy..

Balthus zwolnił kroku i na czole pojawiły mu się lepkie krople potu. Jednak Conan nie zawahał się. Mknąc jak strzała wypuszczona z łuku zniknął za zakrętem ścieżki.

Obawiając się zostać sam na sam z dzikim wrzaskiem rozbrzmiewającym echemi wśród

drzew, Balthus wyteżył wszystkie siły i szybko pobiegł za nim. Po kilku krokach prawie wpadł na Cymmerianina stojącego nad człowiekiem leżącym w kałuży krwi. Ślizgając się i wymachując rękami Balthus zdołał się zatrzymać przy Conanie, który nie zwracał

uwagi ani na niego, ani na leżącego u jego stóp trupa. Płonącymi oczyma wpatrywał się bacznie w leśną gęstwinę po obu stronach szlaku.

Balthus zmęł w zębach przekleństwo. Na ścieżce leżało ciało niskiego, grubego mężczyzny ubranego w pozłacane buty i (pomimo upału) podbitą gronostajami tunikę bogatego kupca. Tłusta, blada twarz zastygła w grymasie przerażenia, a długa ciągnąca się od ucha do ucha rana była tak równa jakby zadano ją brzytwą. Krótki miecz tkwiący w pochwie zdawał się wskazywać, że ofiara została napadnięta niespodziewanie.

— Pikt? — szepnął Balthus wodząc spojrzeniem po ciemnej ścianie lasu.

Conan potrząsnął przecząco głową i zmarszczył brwi, spojrzał na ciało zabitego.

— Leśny diabeł. Na Croma, to już piąty!

— Co takiego?

— Czy słyszałeś kiedyś o piktyjskim czarowniku zwanym Zogar Sag?

Balthus pokręcił głową.

— Mieszka w Gwawela, najbliższej wiosce po drugiej stronie rzeki. Trzy miesiące

temu ukrył się przy tej drodze i ukradł kilka jucznych mułów z karawany zdążającej do fortu — uśpiwszy w jakiś sposób przewodników. Muły należały do tego człowieka —

Conan obojętnie wskazał nogą trupa. — To Tiberias, kupiec z Velitrium. Muły

przenosiły beczułki z piwem i stary Zogar zatrzymał się przed brodem by łyknąć sobie przed przeprawą. Wyśledził go drwal imieniem Soractus i sprowadził Vallanusa z

trzema żołnierzami na kark staremu, który leżał w chaszczach pijany jak świnia.

Vallanus, ulegając prośbom Tiberiasa, zamknął czarownika w celi, co jest najgorszą

zniewagą dla Pikta. Staremu udało się zabić strażnika i uciec. Wróciwszy do swojej

wioski poprzysiągł, że pozbawi życia Tiberiasa i czterech pozostałych, którzy go

pojмали w taki sposób, że Aquilończykom na zawsze odechce się przekraczać granicę.

Soractus i żołnierze już nie żyją. Soractus zginął nad rzeką, a żołnierze niedaleko fortu.

Teraz przyszła kolej na Tiberiasa. Nie pozabijali ich Piktowie. Każdej ofierze — z

wyjątkiem Tiberiasa, jak widzisz — odrąbano głowę, która teraz niewątpliwie zdoła

ołtarz bóstwa czczonego przez Zogar Saga.

— Skąd wiesz, że to nie Piktowie ich zabili? — dopytywał się Balthus.

Conan wskazał na rozcięte gardło kupca.

— Sądziś, że przecięto je nożem lub sztyletem? Przyjrzyj się dobrze, a przekonasz się, że ciało jest rozerwane, a nie przecięte. Tylko pazury zostawiają taki ślad.

— Może to pantera... — zaczął bez przekonania Balthus. Conan niecierpliwie potrząsnął głową.

— Taurariczyk powinien rozpoznawać ślady pantery. Nie. To leśny diabeł przyzwany przez Zogar Saga by pomógł mu w zemście. Tiberias był głupcem wyruszając z

Velitrium samotnie i to przed zmierzchem. Jednak każdą z tych czterech ofiar ogarnęło na krótko przed śmiercią jakieś dziwne szaleństwo. Spójrz tutaj; ślady są zupełnie

wyraźne. Tiberias podążał szlakiem na swoim mule, być może z nowym transportem

skór do Velitrium, gdy coś skoczyło na niego z krzaków. Widzisz te połamane gałęzie?

Tiberias zdążył tylko krzyknąć i z rozerwanym gardłem poszedł sprzedawać swoje

skóry w Piekło. Muł uciekł w las. Posłuchaj! Jeszcze słysząc jak przedziera się przez gąszcz. Demon nie miał czasu by zabrać głowę Tiberiasa; wystraszyliśmy go.

— To ty go wystraszyłeś — poprawił go Balthus. — Nie jest to chyba zbyt groźne

stworzenie, skoro umyka przed jednym uzbrojonym człowiekiem. Skąd jednak wiesz,

że nie był to Pikt z jakimś hakiem rozrywającym, a nie rozcinającym ciało? Przecież nie widziałeś jak się to stało?

— Tiberias też był uzbrojony — mruknął Conan. — Jeżeli Zogar Sag mógł wezwać na

pomoc demony, to mógł im też powiedzieć kogo mają zabić, a kogo zostawić w

spokoju. Nie, nie widziałem jak to się stało. Widziałem tylko kołyszące się gałęzie. Jeśli jednak żądasz dowodu, to spójrz tutaj!

Zabójca wdepnął w kałużę krwi otaczającej martwe ciało kupca i zostawił krwawy ślad na twardej glinie ścieżki.

— Wciąż uważasz, że uczynił to człowiek? — zapytał Conan. Balthus poczuł jak włos

mu się jeży na głowie, ani człowiek, ani żadne ze znanych zwierząt nie mogło

pozostawić tak dziwnego — ni to ptasiego, ni to gadziego — śladu. Taurariczyk

pochylił się nisko i dotknął ręką tropu, starając się go nie zatrzeć. Zaklął cicho, widząc, że ślad jest większy niż jego dwie dłonie.

— Co to jest? — szepnął. — Nigdy nie widziałem zwierzęcia, które zostawiałoby takie ślady.

— Niewielu go widziało — odparł ponuro Conan. — To diabeł błotny. Za Czarną Rzeką jest ich więcej niż nietoperzy. W parne noce, gdy powieje wiatr z południa, słychać ich upiorne wycie — niczym jęki potępionych.

— Co teraz zrobimy? — spytał Aquiloóczyk, zerkając niepewnie na otaczające ich czarne cienie. Zastygły na twarzy zabitego kupca strach udzielił się i jemu. Usiłował wyobrazić sobie jaką to potworną maskarę ujrzał ów nieszczęśnik przed śmiercią.

— Nie ma sensu ścigać diabła — mruknął Conan wyjmując z sakwy toporek. —

Próbowałem go tropić kiedy zamordował Soractusa, lecz już po kilku krokach straciłem go z oczu. Może rozpostarł skrzydła i poleciał za rzekę, a może zapadł się pod ziemię, wprost do Piekieł. Nie wiem. Muła też nie będziemy łapać. Na pewno sam trafi do fortu lub do chaty któregoś osadnika. ,

To mówiąc, Conan zabrał się do pracy. Kilkoma uderzeniami toporka ściał dwa

młode drzewka, ociosał je z gałęzi i zerwał pędy winorośli oplatające pobliski krzak. Po chwili miał już toporne lecz mocne nosze.

— Ten demon nie dostanie głowy Tiberiasa — warknął. — Zaniesiemy ciało do fortu.

To nie więcej niż trzy mile stąd. Nigdy nie lubiłem tego grubego durnia, ale nie

możemy pozwolić żeby ci przekłęci Piktowie poczynali sobie tak swobodnie z głowami białych ludzi.

Smągłokórzy Piktowie należeli wprawdzie do białej rasy, ale pogranicznicy uparcie temu zaprzeczali.

Balthus chwycił nosze, na które Conan bezceremonialnie rzucił zwłoki nieszczęsnego

kupca, i najspieszniej jak mogli ruszyli szlakiem. Mimo obciążenia Cymmerianin poruszał się z taką samą kocią zwinnością jak przedtem. Zdjął kupcowi pas, zrobił pętlę i połączywszy nią końce żerdzi niósł nosze w jednej ręce. W drugiej natomiast ścisnął swój długi, ciężki miecz. Idąc, przez cały czas lustrował badawczym spojrzeniem tonące w mroku pobocza ścieżki, wypatrując niebezpieczeństwa.

Ciemności zapadały szybko. Gęstniejące cienie pogłębiały mrok, kryjąc wszystko w niebieskawej mgiele.

Przeszli ponad milę. Balthus, mimo swej wytrzymałości i siły, zaczął już odczuwać ból w ramionach, gdy przeraźliwy krzyk wstrząsnął pogrążającym się w różowej łunie zachodu lasem.

Conan drgnął, a Balthus niemal upuścił nosze.

— Kobieta! — wykrzyknął Taurańczyk. — Na Mitrę! To głos kobiety! .

— Z pewnością żona któregoś z osadników zabłąkała się w lesie — warknął Conan stawiając nosze na ziemi. — Może szukała krowy i... Zostań tutaj!

Jak wygłodniały wilk, Cymmerianin skoczył w gęstwinę. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie.

— Mam zostać tu z trupem i krążącym wokół demonem? — jęknął. — Idę z tobą!

I zamieniając słowa w czyn, skoczył za barbarzyńcą. Conan obejrzał się , ale nic nie powiedział i nie zwolnił kroku. Balthus klął cicho resztkami tchu, widząc z jaką

łatwością Conan zostawia go w tyle i znika wśród drzew. Wypadł na małą polanę i ujrzał stojącego tam Cymmerianina.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — spytał Balthus, ocierając pot z czoła i nie wypuszczając miecza z ręki.

— Krzyk dochodził z tej polany, albo z jej pobliza — odparł zapytany. — Nie myślę kierunków, nawet w lesie. Tylko gdzie...

Przerwał mu ten sam krzyk; ale tym razem rozlegający się za nimi, gdzieś w tyle.

Wrzask śmiertelnie przerażonej kobiety, piskliwy i przeszywający, wzniósł się wysoką nutą — by zmienić się w jęklivy, drwiący chichot, który mógł się wydobyć tylko z gardła jakiejś piekielnej bestii.

— O Mitro! — w zapadającym mroku twarz Balthusa była biała jak kreda.

Klnąc wściekle, Conan zawrócił i pomknął z powrotem, a słaniający się już lekko

Balthus poszedł w jego ślady. Cymmerianin zatrzymał się tak nagle, że Aquilończyk wpadł na niego, odbijając się jak od ściany. Lekko zamroczony, usłyszał jak Conan z sykiem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Cymmerianin stał nieruchomo jak posąg.

Zerknąwszy zza jego pleców, Balthus poczuł jak zimne palce strachu ściskają mu gardło. Coś przedzierało się przez krzaki porastające pobocza szlaku — coś, co wydawało się pełzać jak wąż, ale nie było gadem. W ciemnościach nie mógł wprawdzie rozróżnić dobrze kształtów stwora ale dostrzegł, że był wyższy od dorosłego

mężczyzny i niezbyt gruby. Jego ciało jarzyło się upiornym blaskiem, przypominającym lśnienie księżycowej poświaty. W rzeczy samej, upiorne światło było jedyną uchwytą

cechą stwora. Pozostałe szczegóły były zupełnie nierozróżnialne, tak, jakby to jakiś niebieskawy płomień o ludzkim kształcie podążał przez ciemne ostępy.

Conan zaklął i z potworną siłą cisnął toporem, lecz stwór posuwał się dalej nie zmieniając nawet kierunku. Widzieli go jeszcze przez krótką chwilę — świecącą, niewyraźną plamę unoszącą się wśród gałęzi — po czym zniknął im z oczu w gęstych zaroślach. Las zastygł w oniemiałej ciszy.

Conan przedarł się przez gąszcz i wyskoczył na ścieżkę. Balthus poszedł za jego przykładem. Stanęli przy noszach, na których leżało ciało Tiberiasa. Głowa kupca zniknęła...

— Wyprowadził nas w pole tym przeklętym miauczeniem — wrzasnął rozwścieczony

Conan wymachując swym potężnym mieczem jak piórkiem. — Powiniennem się

domyślić! Powiniennem wiedzieć, że to podstęp! Teraz już pięć głów przyzdobi ołtarz

Zogar Saga.

— Cóż to za stwór, który potrafi krzyczeć jak kobieta i śmiać się jak demon? I jarzyć się nieziemskim światłem? — zastanawiał się Balthus, ocierając pot z pobladłej twarzy.

— Diabeł błotny — odparł kwaśno Cymmerianin. — Łap za nosze, zaniemiemy ciało do fortu. Teraz jest już trochę lżejsze.

Po tym filozoficznym stwierdzeniu chwycił pętlę, dźwignął nosze i ruszył w drogę.

2

CZAROWNIK Z GWAWELA

Fort Tuscelan wznosił się na wschodnim brzegu Czarnej Rzeki, której fale omywały

jego palisadę. Ta ostatnia była zbudowana z grubo ciosanych pni drzew, tak jak

wszystkie budowle fortu łącznie z górującym nad nim donżonem, w którym mieściły się

kwętery gubernatora. Za rzeką rozciągał się gęsty jak dżungla las dochodzący do

samego brzegu. Dzień i noc zbrojne straże pilnowały fortu, bacznie obserwując zieloną ścianę puszczy. Czasem widzieli pojedyncze sylwetki, ale dobrze wiedzieli, że są

nieustannie śledzeni przez ukrytych w gąszczu, bezlitosnych nieprzyjaciół. Las za rzeką wydawał się pusty i wymarły, lecz były to tylko pozory. Oprócz ptaków, gadów i

zwierząt kryły się tam też najniebezpieczniejsze z drapieżników — ludzie.

Za rzeką kończył się cywilizowany świat. Fort Tuscelan był ostatnim przyczółkiem

cywilizacji, najdalej na zachód wysuniętym punktem hyboriańskich dominiów. Za rzeką

barbarzyństwo królowało pod cienistym sklepieniem drzew, w chatkach z oblepionych

błotem gałęzi, gdzie wisały szczerzące zęby czaszki, huczały bębny i płonęły ognie, a ciemnoskórzy ludzie o zmierzwionych włosach i bezlitosnych oczach ostrzyli swoje

włócznie. Ich spojrzenia często kierowały się na fort po drugiej stronie rzeki. Niegdyś wznosili swoje chaty tam, gdzie teraz stał fort, tak, i wznosili je też tam gdzie teraz rozpościerały się pola uprawne jasnowłosych osadników, aż za Velitrium — tym

nędznym, pogranicznym miastem nad Rzeką Gromu — i dalej, po granice Bossonii.

Później przybyli kupcy, a za nimi bosonodzy kapłani Mitry, którzy przyszli z pustymi rękami i prawie wszyscy zginęli straszną śmiercią — ale za nimi ciągnęli żołnierze oraz ludzie z toporami w dłoniach i ich rodziny w ciągniętych przez muły wozach.

Masakrowani Piktowie wycofali się za Rzekę Gromu a potem aż za Czarną Rzekę, opuszczając swoje ziemie. Jednak nigdy nie zapomnieli, że Conajohara niegdyś należała do nich. Strażnik przy wschodniej bramie głośno okrzyknął nadchodzących.

Przez drewnianą kratę okienka sączyło się migotliwe światło pochodni, odbijając się w stalowym hełmie i podejrzliwych oczach pod jego okapem.

— Otwieraj bramę — warknął Conan. — Chyba widzisz, że to ja?

Dyscyplina wojskowa doprowadzała go do szału.

Brama uchyliła się nieco i obaj kompani przeszli przez nią, dźwigając nosze. Balthus zauważył, że po obu stronach bramy wznosiły się wieże, których wieżyczki górowały

nad ostrokołem. Dostrzegł też wyciosane w nich strzelnice dla łuczników.

Strażnicy jęknęli ze zgrozy widząc ponure brzemie. Pośpiesznie zamknęli wrota.

— Nigdy nie widzieliście człowieka z odrąbaną głową? — spytał dociekliwie Conan.

W świetle pochodni ich twarze były białe jak kreda.

— To Tiberias — wykrztusił jeden z żołnierzy. — Poznaję po lamowanej futrem tunice. Valerius jest mi winien pięć luna. Wrony krakały, gdy wyjeżdżał dziś rano z fortu. Miał takie szkliste spojrzenie. Założyłem się, że wróci bez głowy.

Conan mruknął coś pod nosem, po czym gestem pokazał Balthusowi by postawił nosze na ziemi i razem z nim poszedł w kierunku kwatery gubernatora. Rozczochrany

Aquilończyk towarzyszył mu jak cień; rozglądając się z ciekawością wokół, podziwiając rzędy baraków, stajnie, małe stragany kupców, wysoki blokhauz i inne budynki

otaczające mały plac, gdzie w dzień ćwiczyli żołnierze, a teraz płonęły ogniska i

leniuchowali mieszkańcy. Tłumek zgromadzony wokół zwłok kupca przy wschodniej

bramie rósł z każdą chwilą. Smukli Aquilończycy mieszały się w nim z niższymi,

bardziej krępyimi łucznikami z Bossonii.

Balthusa nie zdziwił specjalnie fakt, że gubernator przyjął ich osobiście.

Autokratyczne społeczeństwo z jego sztywnymi podziałami kastowymi pozostało daleko na wschodzie. Vallanus był młodym jeszcze mężczyzną o szlachetnych rysach, lecz na jego twarzy widać było już ślady pozostawione przez trudy i odpowiedzialność.

— Powiedziano mi, że opuściłeś fort przed świtem — powiedział do Conana. —

Zacząłem się obawiać, że Piktowie dostali cię w końcu.

— Kiedy będą wędzić moją głowę — odparł Cymmerianin — dowie się o tym całe dorzecze. Płacz piktyjskich kobiet oplakujących mężów słyhać będzie aż w Velitrium...

Poszedłem na zwiady. Nią mogłem dziś zasnąć. Przez całą noc słyszałem dudnienie bębnów za rzeką.

— Słyhać je każdej nocy — zauważył gubernator. W jego oczach pojawił się niepokój. Nieraz już przekonał się, że nie należy lekceważyć instynktu barbarzyńcy.

— Tej nocy brzmiało to zupełnie inaczej — warknął Conan.

— Wciąż to samo, od kiedy Zogar Sag umknął za rzekę.

— Powinniśmy go wtedy obdarować i odesłać do domu, albo powiesić — westchnął gubernator. — Tak mi radziłeś, ale...

— Ale wy, Hyborianie, nie możecie się nauczyć jak postępować z Piktami. Teraz i tak już nic na to nie poradzimy. Dopóki Zogar Sag żyje i pamięta celę, w której go

więziono, nie będzie spokoju na granicy. Wytropiłem dziś wojownika, który wyruszył na wojenną ścieżkę by zrobić kilka nacięć na swoim łuku. Rozplatałem mu czaszkę i

spotkałem tego oto młodzieńca imieniem Balthus, przybywającego tu z Tauranu by

pomóc w walce. Vallanus z aprobatą spojrział na Aquilończyka.

— Miło mi cię powitać w forcie, młody panie. Życzyłbym sobie, żeby przychodziło do nas więcej ludzi z Tauranu. Potrzebujemy tu takich, którzy są przyzwyczajeni do

trudów i życia w lesie. Wielu moich żołnierzy i osadników pochodzi z wschodnich prowincji i nie ma zielonego pojęcia o lesie, a nawet o uprawie roli.

— Niewielu jest takich po tej stronie Velitrium — przytaknął Conan — chociaż w mieście wciąż przybywa mieszkańców. Słuchaj, Vallanusie, na szlaku znaleźliśmy martwego Tiberiasa.

W paru słowach opowiedział gubernatorowi co zaszło.

— Nie wiedziałem, że Tiberias opuścił fort! — Vallanus pobladł. — Chyba zwariował!

— Chyba tak — rzekł Conan. — Tak samo jak tamci czterej. Kiedy przychodził ich czas zrywali się i biegli jak szaleni w las, na spotkanie śmierci — jak króliki zahipnotyzowane przez węża. Coś wezwało ich z głębi puszczy, coś co inni nazywają przeznaczeniem z braku innej nazwy, i co słyszą jedynie nieliczni. Jedno jest pewne — Aquilończycy nie potrafią przewyciężyć czarów Zogar Saga.

Vallanus nic nie odpowiedział, tylko wytarł spocone czoło trzęsącą się ręką.

— Czy żołnierze wiedzą o tym? — zapytał po chwili.

— Zostawiliśmy ciało przy wschodniej bramie.

— Nie powinniście tego robić. Mogliście ukryć je gdzieś w lesie. Żołnierze są już i tak wystraszeni.

— I tak by się o tym dowiedzieli. Gdybym ukrył gdzieś trupa, Piktowie podrzuciliby go nam do fortu tak samo jak zwłoki Soractusa — przywiązane w nocy do palisady.

Vallanus zadrżał. Podeszedł do okna i spojrzął na rzekę, w której czarnych wodach odbijały się błyszczące gwiazdy. Na drugim brzegu wznosiła się hebanowo czarna ściana lasu. Zalegającą ciszę przerywał ryk polującej pantery. Nadciągająca noc rozpędziła zgromadzonych wokół blokhauzu żołnierzy; zgasły ogniska i ucichły rozmowy. Wiatr szeptał wśród czarnych konarów, marszczył gładkie lustro wody. Przyniósł ze sobą głucho, rytmiczne dudnienie, złowieszcze jak ślad lamparta na ścieżce.

— Mimo wszystko — rzekł Vallanus, jakby wypowiadając na głos swoje myśli — cóż wiemy — co ktokolwiek wie — o rzeczach jakie skrywa ta beztroska puszcza?

Słyszeliśmy pogłoski o wielkich bagnach i rzekach, o nieprzebytych leśnych równinach ciągnących się aż po wybrzeże zachodniego oceanu. Jednak nawet nie próbujemy

zgadnąć co naprawdę znajduje się między tą rzeką a brzegiem oceanu. Żaden biały człowiek nie dotarł tak daleko. Nikt nie wie jakie tajemnice kryją w sobie ziemie Piktów.

Jesteśmy dumni z naszej wiedzy, a ona nie sięga dalej jak do zachodniego brzegu tej prastarej rzeki! Któż wie jakie stwory zamieszkują poza wąskim kręgiem światła rzucanego przez naszą wiedzę? Kto wie jakim bogom oddaje się cześć w mrokach leśnych ostępów i jakie demony wpełzają z czarnego szlamu bagien? Kto wie czy wszyscy mieszkańcy tej ponurej krainy są zwykłymi ludźmi? Zogar Sag — mędrce z miast na wschodzie śmialiby się z jego prymitywnych obrzędów tak samo, jak ze sztuczek fakira; a jednak zdołał doprowadzić do szaleństwa i śmierci pięciu ludzi — i to w sposób, jakiego nikt nie potrafi wytłumaczyć. Zastanawiam się czy on jest człowiekiem, czy demonem.

— Jeżeli tylko znajdę się dostatecznie blisko niego, wyjaśnię ten problem — warknął Conan, częstując się winem i podsuwając puchar Balthusowi, który spojrzał niepewnie na Vallanusa i z wahaniem podniósł go do ust.

Gubernator odwrócił się i spojrzał na niego w zadumie.

— Nawet ci żołnierze, którzy nie wierzą w duchy i demony — powiedział — wpadli w panikę. A ty, wierząc w diabły, upiory, gobliny i wszelkie rodzaje nieziemskich stworzeń, zdajesz się nie obawiać żadnej z istot, w których istnienie wierzysz.

— Nie ma na świecie istoty, której nie imałoby się zimne, stalowe ostrze — odparł Conan. — Rzuciłem toporem w demona i nie zdołałem go zranić, ale mogłem chybić w półmroku lub też zwisająca nisko gałąź mogła zmienić tor lotu broni. Nie zamierzam

tracić czasu na szukanie demonów; ale też nie zamierzam im schodzić z drogi.

Vallanus podniósł głowę i spojrzał Conanowi prosto w oczy.

— Conanie, od ciebie zależy więcej niż się spodziewasz. Znasz sytuację prowincji — tego wąskiego przyczółka wbijającego się klinem w morze barbarzyństwa. Wiesz, że życie wszystkich ludzi na zachód od granic Bossonii zależy od istnienia tego fortu.

Jeżeli upadnie, okrwawione topory Piktów uderzą w bramy Velitrium zanim konny posłaniec zdoła dotrzeć do granic Marchii. Jego Wysokość, a raczej doradcy Jego

Wysokości, zignorowali moje prośby o przysłanie posiłków. Nic nie wiedzą o sytuacji na granicy i czują niechęć do wydawania pieniędzy na coś, czego nie rozumieją. Los

pogranicza spoczywa w rękach tych, którzy je zamieszkują. W naszych! Wiesz, że

większość oddziałów, które zdobyły Conajoharę wróciła do domu? Wiesz, że siły, jakimi dysponujemy są niewystarczające — zwłaszcza od kiedy temu diablowski Zogar Sagowi

udało się zatruć wodę i otruć czterdziestu żołnierzy. Wielu innych jest chorych,

pogryzionych przez węże lub dzikie zwierzęta, które w niezwykłej ilości pojawiają się ostatnio w pobliżu fortu. Moi ludzie mówią, że Zogar Sag przechwala się swoją

umiejętnością przyzywania na pomoc leśnych bestii. Mam trzystu oszczepników,

czterystu łuczników z Bossonii i może pięćdziesięciu ludzi takich jak ty — znających las. Każdy z nich jest wart dziesięciu żołnierzy, ale to i tak za mało. Szczerze mówiąc, Conanie, moja sytuacja staje się coraz bardziej niepewna. Żołnierze szepczą o dezercji; podupadli na duchu wierząc, że Zogar Sag nasłał na nas swoje diabły. Obawiają się też moru, którym nam groził — straszliwej, śmiertelnej zarazy z bagnisk. Za każdym razem kiedy widzę chorego żołnierza pocę się ze strachu na myśl, że może nagle zrobić się

czarny, pomarszczony i umrzeć na moich oczach. Conanie, jeżeli wybuchnie zaraza to

wszyscy żołnierze uciekną. Granica zostanie niestrzeżona i nic nie powstrzyma naporu ciemnoskórych. Hordy Piktów staną u bram Velitrium — może nawet ruszą dalej? Jeżeli

nie utrzymamy fortu, to jakie są szanse na obronę miasta? Zogar Sag musi umrzeć —

inaczej stracimy Conajoharę! Ty znasz piktyjskie terytorium lepiej niż ktokolwiek inny w forcie; ty wiesz gdzie jest Gwawela i jak przebiegają leśne ścieżki. Czy zechcesz

wyruszyć dziś na czele małego oddziału, żeby pojmać lub zabić czarownika? Och, wiem

że to szaleństwo. Jest jedna szansa na tysiąc, że ktoś z was wróci żywy. Jednak jeśli się wam nie uda, śmierć czeka nas wszystkich. Mógłbyś zabrać tylu ludzi ilu zechcesz,

Conanie.

— Do takiego zadania nie potrzeba regimentu, wystarczy tuzin ludzi — odparł

Cymmerianin. — Pięciuset wojowników nie zdołałoby się przedrzeć do Gwawela, ale małej grupce może się to udać. Pozwól mi wybrać odpowiednich ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

— Weź mnie ze sobą! — wykrzyknął gwałtownie Balthus. — Przez całe życie polowałem na zwierzynę w lasach Tauranu.

— Dobrze — zgodził się Conan. — Teraz udamy się na wieczerzę do baraku drwali, gdzie spróbuję zebrać ochotników. Wyruszymy za godzinę. Przepłyniemy rzekę łodzią, przybijemy do brzegu opodal wioski i podkradniemy się do niej. Jeżeli się nam powiedzie, przed świtem będziemy z powrotem.

3

W MROKU

Ledwie widoczna w ciemnościach wstęga rzeki wiła się leniwie między czarnymi ścianami lasu. Wzdłuż jej wschodniego brzegu, kryjąc się w gęstym cieniu, pomykała smukła łódź popychana silnymi uderzeniami wiosł zanurzających się w wodzie z pluskiem cichszym niż dziób polującej czapli. Balthus ledwie mógł dostrzec ramiona siedzącego przed nim wioślarza. Wiedział, że nawet sokoli wzrok siedzącego człowieka na dziobie nie przebije panujących ciemności dalej jak na kilka stóp. Conan kierował łodzią tylko dzięki instynktowi i znakomitej znajomości rzeki.

Nie padło ani jedno słowo. Balthus zdążył się przyjrzeć swoim towarzyszom jeszcze w forcie, zanim wyszli poza ostrokół i zeszedli na brzeg, do łodzi. Byli to ludzie urodzeni i wychowani w surowych warunkach pogranicza; ludzie, których ponura rzeczywistość zmusiła do poznania praw puszczy. Wszyscy byli Aquilończykami z zachodnich

provincji; małomówni i żyłaści, o pooranych bliznami, posepnych obliczach, nosili podobne stroje: wysokie buty z kozłej skóry, skórzane spodnie i bluzy przepasane szerokimi szarfami, za którymi tkwiły miecze lub topory. W pewnym sensie byli barbarzyńcami, jednak nie w takim stopniu jak olbrzymi Cymmerianin. Oni byli wytworem cywilizacji i tylko okoliczności zmusiły ich do powrotu do barbarzyństwa, natomiast Conan odziedziczył spuściznę tysiąca pokoleń barbarzyńców. Spryt i przebiegłość Aquilończyków to owoc długotrwałych ćwiczeń, natomiast on urodził się z takimi cechami. Wyróżniał się wśród nich jak tygrys wśród stada wilków.

Balthus patrzył z podziwem na swych towarzyszy i ich przywódcę. Czuł dumę rozpierającą go z powodu tego, że przyjęli go do swej kompanii. Radował się widząc, że jego wiosło nie czyni więcej hałasu niż wiosła pozostałych wiosłarzy. Pod tym względem co najmniej dorównywał im, chociaż znajomość lasu zdobyta w Tauranie nie mogła się równać z doświadczeniem mieszkańców dzikiego pogranicza.

Poniżej fortu rzeka zataczała szeroki łuk. Światła blokhauzu szybko zniknęły w tyle, lecz łódź płynęła jeszcze prawie milę, z niesamowitą zręcznością unikając wystających głazów i płynących rzeką pni.

Na cichy rozkaz przywódcy wiosłarze skierowali dziób canoe do brzegu i mocniej nacisnęli na wiosła. Wynurzając się z cienia porastających brzeg zarośli i wypływając na środek rzeki poczuli się dziwnie odsłonięci i bezbronni, chociaż nieliczne gwiazdy nie rozjaśniały panujących ciemności. Balthus wiedział, że nawet najbystrzejsze oczy nie dostrzegą czarnego kształtu płynącej po rzece łodzi — chyba że ktoś by jej specjalnie wypatrywał.

Wśliznęli się pod nisko zwieszające się nad wodą gałęzie krzaków na zachodnim brzegu. Balthus wyciągnął rękę, namacał wystający korzeń i przytrzymał go mocno. Nie padło ani jedno słowo. Wszystkie rozkazy zostały wydane jeszcze przed opuszczeniem

fortu. Cicho jak wielki kot, Conan ześliznął się na brzeg i zniknął w zaroślach.

Pozostałych dziewięciu ludzi równie bezszelestnie poszło w jego ślady. Tylko Balthus i jeden z Aquilończyków zostali przy łodzi. Ściskając w dłoni wiosło spoglądał za

odchodzącymi. Wydawało mu się niemożliwością, by dziewięciu ludzi mogło poruszać się tak cicho w tym gęstym podszyciu. Nastawił się na długie czekanie.

Gdzieś w lesie, o milę lub o dwie na pomoc, leżała wioska Zogar Saga. Balthus znał rozkaz: wraz z drugim Aquilończykiem czekać na powrót towarzyszy. Jeżeli Conan ze swymi ludźmi nie powróci przed świtem, mieli jak najszybciej powiosłować do fortu i zameldować, że piktyjska puszcza pochłonęła kolejne ofiary. Wokół panowała przygnębiająca cisza. Żaden dźwięk nie dochodził zza nadbrzeżnych krzewów, zasłaniających czarną ścianę lasu. Bębny umilkły. Balthusowi wydawało się, że czekają już wiele godzin. Mimowolnie wyteżył wzrok, usiłując przebić otaczające ich ciemności.

W powietrzu wisiał ciężki, nieprzyjemny zapach rzeki i wilgotnego lasu. Gdzieś w pobliżu rozległ się głośny plusk, jakby kłaśnięcie rybiego ogona o powierzchnię wody.

Balthus pomyślał, że ta ryba musiała przepływać dość blisko, bo canoe zakołysało się lekko, jakby poruszane kręgami rozchodzących się fal. Rufa łodzi zaczęła się lekko odsuwać od brzegu. Widocznie drugi wartownik puścił korzeń, którego się trzymał.

Balthus odwrócił głowę i wbił wzrok w ciemność, lecz zdołał dostrzec tylko niewyraźną sylwetkę towarzysza. Syknął ostrzegawczo, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Podjeżdżając, że wartownik zasnął, Tauranczyk wyciągnął ramię i trącił go lekko. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu poczuł, że mężczyzna osuwa się bezwładnie na dno łodzi.

Balthus wykręcił się w tył i pomacał ręką. W tej samej chwili serce podeszło mu do gardła i tylko konwulsyjny skurcz szczęk powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk zgrozy. Jego palce natrafiły na świeżą, ziejącą ranę. Aquilończyk miał gardło podcięte od ucha do ucha.

Zdjęty przerażeniem Balthus zerwał się na równe nogi — i w tej samej chwili muskularne ramię otoczyło jego szyję, tłumiąc krzyk. Canoe zakołysało się gwałtownie.

Balthus poczuł, że trzyma w dłoni swój myśliwski nóż, chociaż nie pamiętał jak i kiedy zdołał go wyciągnąć zza cholewy buta. Dźgnął na oślep. Wąskie ostrze wbiło się po rękojęść i straszliwy ryk wstrząsnął powietrzem. Wydawało się, że ciemności ożyły nagle. Ze wszystkich stron rozległy się wściekłe wrzaski i wyciągnęły się uzbrojone ręce. Łódź zakołysała się na boki, lecz zanim zdążyła się wywrócić, coś twardego

trzasnęło Balthusa w głowę. Mrok nocy rozbłysnął nagle snopem iskier — po czym wszystko zgasło.

4

BESTIE ZOGAR SAGA

Odzyskującego przytomność Balthusa oślepił blask płomieni. Mrugnął kilkakrotnie oczami i potrząsnął głową. Nieznośna jasność raziła wzrok aż do bólu. W miarę jak wracała mu świadomość zaczynał wyławiać pojedyncze dźwięki z panującej wokół wrzawy. Podniósł głowę i spojrzał tępo przed siebie. Otaczał go krąg czarnych postaci, stojących na tle purpurowej ściany ognia.

W jednej chwili przypomniał sobie i zrozumiał wszystko. Zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do pala stojącego na otwartej przestrzeni, otoczonego przez zwarty tłum dzikich. Za ich plecami paliły się ogniska, którymi opiekowały się nagie, ciemnoskóre kobiety. Dalej widział rząd niskich chat z gałęzi oblepionych nawozem i błotem oraz

palisadę z wielką bramą wjazdową. Jednak Balthus zauważył to wszystko tylko mimochodem. Nie zwrócił uwagi nawet na kobiety i ich dziwne fryzury. Całą swoją uwagę zwrócił na otaczających go wojowników.

Niscy, krępi, o szerokich barach i wąskich biodrach, byli nadzy jeśli nie liczyć wąskich przepasek na biodrach. Migotliwy blask ognia uwidaczniał potężne mięśnie ramion i

torsów. Ponure twarze nie wyrażały żadnych uczuć, lecz w wąskich oczach tlił się żar, jaki można ujrzeć w ślepiach wygłodniałego tygrysa. Zmierzwione włosy przytrzymywali mosiężnymi obręczami, a w dłoniach trzymali miecze i topory. Niektórzy mieli

obandażowane ręce lub nogi i ślady zakrzepłej krwi na ciele — widome znaki niedawnej walki.

Balthus odwrócił wzrok od ich płonących oczu i z trudem powstrzymał okrzyk zgrozy.

Kilka stóp od pala, do którego był przywiązany wznosiła się okropna piramida, ułożona z odciętych ludzkich głów. Szkliste oczy patrzyły nieruchomo w czarne niebo.

Oniemiały Aquilończyk rozpoznał rysy tych twarzy, które były ku niemu zwrócone.

Głowy należały do mężczyzn, którzy poszli z Conanem, chociaż jego głowy nie mógł

wśród nich dostrzec. Jednak na stosie musiało ich być dziesięć czy jedenaście i nie wszystkie dobrze widział. Ogarnęła go fala mdłości. Z trudem opanował je i spojrzał uważniej. Za odciętymi głowami ujrzał pół tuzina ułożonych rzędem ciał piktyjskich wojowników. Widok ten sprawił mu radość — ludzie Conana nie oddali tanio swojej skóry.

Odwracając głowę w bok, Balthus odkrył obok drugi, pomalowany na czarno pał, taki sam jak ten, do którego on był przywiązany. Zobaczył przy nim bezwładnie wiszącego w pętach człowieka, jednego z tych, którzy towarzyszyli Conanowi. Mężczyzna miał na sobie tylko skórzane spodnie. Krew sączyła mu się z ust i głęboko rozciętego boku. Drwal podniósł głowę, oblizał wargi i wymamrotał, z trudem dające się słyszeć przez wrzawę słowa:

— A więc was też dostali!

— Podpłynęli do nas i poderznięli gardło mojemu towarzyszowi — jęknął Balthus. —

Niczego nie słyszeliśmy, dopóki nie skoczyli na nas. Mitro, jak mogliśmy się dać tak zaskoczyć!

— To diabły — mruknął drwal. — Musieli nas dostrzec kiedy jeszcze byliśmy przy

drugim brzegu. Wpadliśmy w zasadzkę. Zanim zorientowaliśmy się, zasypali nas

gradem strzał. Większość naszych padła od razu. Trzech czy czterech przedarło się

przez krzaki i uderzyło na nich. Jednak nieprzyjaciół było zbyt wielu. Conanowi chyba udało się ujść. Nie widziałem jego głowy. Jeżeli chodzi o nas to szkoda, że nie zabili nas od razu. Nie można winić Conana za to, co się stało. Powinniśmy dostać się do

wioski bez problemów. Piktowie nie wystawiają posterunków aż tak daleko w dole

rzeki. Musieliśmy wpaść na jakiś duży oddział nadciągający z południa. Szykują jakieś nowe diabelstwo. Jest ich tu zbyt wielu. Nie wszyscy mieszkają w Gwawela; widzę tu

Piktów z zachodnich plemion i wszystkich nadrzecznych wsi.

Balthus przyjrzał się uważnie wojownikom i chociaż niewiele wiedział o obyczajach

Piktów zdał sobie sprawę, że zgromadzony wokół tłum był zbyt liczny jak na jedną

wioskę. Nawet nie zdołaliby się pomieścić w chatach Gwawela. Zauważył też różnice w znakach plemiennych wymalowanych na twarzach i nagich torsach.

— Szykują jakieś diabelstwo — powtórzył towarzysz niedoli. — Może zgromadzili się by zobaczyć czary Zogar Saga. Wyobrażam sobie co będzie wyczyniał z naszymi zwłokami. Wprawdzie żyjąc na pograniczu nie można liczyć na to, że się umrze we własnym łóżku, ale wolałbym zginąć z tamtymi.

Wściekłe wrzaski i poruszenie wśród otaczającego ich tłumu zapowiadały nadejście kogoś ważnego. Balthus obrócił głowę i stwierdził, że pale do których byli przywiązani stoją przed długim budynkiem, większym od pozostałych chat i udekorowanym girlandami zwisających z kalenic, ludzkich czaszek. W progu chaty pojawiła się niezwykła postać.

— Zogar! — mruknął z odrazą drwał, nieświadomie szarpiąc pęta.

Balthus ujrzał niewysokiego, szczupłego człowieka prawie zupełnie ukrytego w strusich piórach zdobiących jego oryginalny strój. Brzydką twarz szamana wykrzywił odrażający, złowrogi grymas. Strusie pióra zaintrygowały Balthusa. Wiedział, że pochodzą z kraju leżącego daleko na południu. Zafascynowany patrzył jak powiewają i szeleszczą w takt podskoków i pląsów czarownika.

Skacząc i podśpiewując wkroczył w krąg otaczających jeńców ludzi. Mógłby się wydawać zabawny — głupi dzikus szeleszczący piórami i mamroczący bezsensowne zaklęcia — gdyby nie jarzące się nienawiścią oczy i ohydne oblicze. Żaden człowiek z taką twarzą nie mógł być śmieszny. Zogar Sag wyglądał jak demon w ludzkiej postaci.

Nagle przerwał swe pląsy i stanął nieruchomo jak posąg; nastroszone pióra zawirowały i opadły. Rozwrzeszczany tłum umilkł. Zogar Sag stał bez ruchu, dumnie wyprostowany — i zdawał się rosnąć w oczach. Balthus miał wrażenie, że czarownik spogląda nań z wysoka chociaż wiedział, że starzec jest od niego niższy o głowę. Z

trudem oparł się złudzeniu.

Szaman przemówił ochryplym, gardłowym głosem — mimo to dziwnie przypominającym syk węża. Wyciągnawszy długą szyję, przysunął twarz do ranego jeńca przy sąsiednim palu; w blasku ognia oczy czarownika miały barwę krwi.

Pogranicznik plunął mu w twarz.

Ze zwierzęcym rykiem Zogar Sag odskoczył w tył, a jego wojownicy zawyli wściekle.

Wygrazając bronią, rzucili się na przywiązanego do pala mężczyznę, ale szaman powstrzymał ich gestem ręki. Wydał krótki rozkaz i kilku Piktów pobiegło do bramy.

Otworzyli ją na oścież i szybko wrócili do koła. Tymczasem pierścień wokół jeńców

pękł; wojownicy pośpiesznie odsuwali się na lewo i prawo. Balthus zobaczył, że kobiety i dzieci umykają w popłochu, kryjąc się w chatach i za nimi. Na placu powstał szeroki szpaler pustej przestrzeni, ciągnący się od pali do otwartej bramy, za którą majaczyła czarna ściana lasu.

W napiętej ciszy Zogar Sag zwrócił twarz w tym kierunku, wspiął się na palce i przeciągle, nieludzko zawył. Po chwili z głębi mrocznego lasu odpowiedziało mu podobne, niesamowite wycie. Balthus zadrżał. Głos dobiegający z leśnych ostępów nie wydobył się z ludzkiego gardła. Taurańczyk przypomniał sobie co mówił Vallanus; że szaman przechwala się swoją władzą nad zwierzętami. Twarz drwala stała się siną, pokrytą zeschniętą krwią maską.

Tłum wstrzymał oddech. Zogar Sag wciąż stał nieruchomo jak posąg — tylko strusie pióra jego stroju poruszały się lekko na wietrze. Nagle z ust zgromadzonych Piktów wyrwał się jęk zgrozy. Wojownicy skoczyli między chaty, potracając się wzajemnie w pośpiechu. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. Stojący w bramie stwór zdawał się ucieleśnieniem koszmarnego snu. Dziwnie blada sierść nadawała mu upiorny, nierealny wygląd, lecz nisko zwieszony, spłaszczony, łeb i zakrzywione, błyszczące kły były jak najprawdziwsze. Krocząc bezgłośnie na miękkich łapach wydawał się zjawą z odległej przeszłości. Relikt minionych, ponurych wieków; stwór z prastarych legend — tygrys

szablastożębny.

Już od kilkuset lat hyboriańscy myśliwi nie napotykali tych potwornych bestii.

Niezliczone legendy przypisywały im nadprzyrodzoną moc związaną z upiorną barwą sierści i nieokiełznaną dzikością.

Zbliżająca się do jeńców bestia była większa od zwykłego pasiastego tygrysa —

budową bardziej przypominała niedźwiedzia. Chociaż tylne łapy miała potężniejsze niż lew, masywne mięśnie karku i przednich łap nadawały jej dziwnie niezgrabny wygląd.

Jej szczęki były niezwykle silnie rozwinięte, w przeciwieństwie do płaskiej czaszki

kryjącej maleńki mózdzek, w którym zabrakło miejsca na coś więcej niż mordercze

instynkty. Tygrys szablastożębny był wybrykiem natury, szaleństwem ewolucji

ukierunkowanym na zabijanie.

Takiego potwora przywołał Zogar Sag z głębi puszczy. Balthus już dłużej nie wątpił w historie opowiadane o starym szamanie. Tylko przy pomocy czarnej magii Zogar Sag

mógł uzyskać władzę nad tą bezmyślną, uzbrojoną w kły i pazury bestią. Głęboko w

zakamarkach pamięci tkwiły niemal zapomniane opowieści o prastarym bóstwie

ciemności czczonym niegdyś przez ludzi i zwierzęta, którego potomkowie — jak

szeptano — wciąż jeszcze żyli gdzieś na krańcach świata. Balthus z rosnącym

przerażeniem spoglądał na Zogar Saga.

Tygrys przeszedł obok okrwawionych ciał Piktów i stosu czaszek nie zwracając na nie

uwagi. Gardził padliną. Był stworzony do zabijania i polował tylko na żywe stworzenia.

Zielone, nieruchome ślepia pały żądzą mordy; nie głodem płynącym z pustego

brzucha. Potężne szczęki rozchyliły się szeroko. Szaman cofnął się o krok i wskazał

ręką drwala.

Wielki kot przyczał się do skoku. Balthusowi przypomniały się opowieści o potwornej sile tego zwierzęcia; o tym, że potrafi rzucić się na słońca i wbić swoje zakrzywione kły tak głęboko w jego czaszkę, że nie mogąc ich wyjąć ginie z głodu. Czarownik krzyknął

piskliwie i tygrys ze wstrząsającym rykiem skoczył na ofiarę.

Balthus nie wyobrażał sobie, że w jednym cielsku — nawet tak ogromnym — może kryć się tak druzgocąca siła. Zwierzę spadło jak błyskawica na ofiarę, z trzaskiem łamiąc pal, do którego ją przywiązano, i pół niosąc, pół ciągnąc okropne brzemie ruszyło ku bramie. Sparaliżowany przerażeniem Balthus patrzył na to bezsilnie.

Bestia nie tylko złamała pal, ale też oderwała od niego ciało swojej ofiary. Jej potężne pazury w mgnieniu oka rozpruły brzuch jeńca i częściowo oderwały mu ręce, a

gigantyczne kły zgmiotły mu czaszkę z taką łatwością, jakby była z papieru. Grube rzemienne więzy prysnęły jak nitki. Balthus zwymiotował. Polował na pantery i niedźwiedzie, ale nie wyobrażał sobie, że jakiegokolwiek zwierzę może w ułamku sekundy tak zmasakrować człowieka.

Tygrys zniknął za bramą i w chwilę później głuchy ryk wstrząsnął puszcza, cichnąc wolno w dali. Jednak Piktowie nie opuszczali jeszcze swoich kryjówek, a szaman stał bez ruchu zwrócony twarzą ku ciemnej ścianie lasu.

Balthus oblał się zimnym potem. Jakiż nowy potwór pojawi się w otwartych wrotach by zamienić jego ciało w krwawe strzępy? Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia.

Bezsilnie szamotał się w więzach. Mrok nocy zdawał się napierać na wioskę Piktów, przygaszając blask ognisk jarzących się niczym ognie Piekieł. Taurańczyk czuł na sobie spojrzenia całej wioski — setek wygłodniałych, okrutnych oczu odzwierciedlających

stan ich dusz pozbawionych ludzkich cech. Już nie myślał o nich jak o ludziach; byli demonami tej puszczy, równie okrutnymi jak bestie wzywane z jej głębi przez okrytego piórami szamana.

Zogar znów wysłał w noc mrozące krew w żyłach wezwanie. Słyszając ten syczący, zupełnie odmienny od pierwszego dźwięk, Balthus zadrżał — tak mogłaby syczeć olbrzymia żmija.

Tym razem czarownikowi odpowiedziało tylko milczenie. W dźwięczącej ciszy

Taurańczyk prawie słyszał łomot swego serca. Nagle jego uszu dobiegł cichy szmer

dolatujący od strony bramy. Dreszcz przerażenia przeleciał mu po grzbiecie — w otwartych wrotach pojawił się nowy potwór.

Balthus rozpoznał w nim monstrum z pradawnych legend. Szaman przywołał gigantyczną zmiję. Jej ogromny, klinowaty łeb wznosił się wyżej niż głowa dorosłego człowieka, a wijące się, błyszczące cielsko było grubsze od beczki. Z rozdziawionej paszczyki wysuwał się rozdwojony język, a blask ognia odbijał się od wyszczerzonych kłów.

Taurańczyk zamarł z przerażenia. Starożytni nazywali tego gada Wężem Upiorem.

Blade, ohydne cielsko wślizgiwało się nocą do ludzkich siedzib by pożerać całe rodziny.

Swoje ofiary dusił jak pyton, w uścisku potężnych splotów, lecz w przeciwieństwie do węży — dusicieli ten uzbrojony był w kły ociekające jadem, który niósł szaleństwo i

śmierć. Jego również od dawna uważano za wymarłe zwierzę. Jednakże Vallanus mówił

prawdę. Żaden biały człowiek nie miał pojęcia co kryją puszcze za Czarną Rzeką.

Wąż podpełznął bliżej i uniósłszy łeb zakołysał nim w przód i w tył, szykując się do ataku. Balthus patrzył jak zahipnotyzowany w głąb odrażającej gardzieli, która miała go pochłoniąć. Nie odczuwał nic prócz lekkich mdłości.

Nagle z cienia zalegającego wokół chat śmignęło coś błyszczącego i wielki gad zaczął

się wić w konwulsjach. Zdumiony Balthus dostrzegł sterczącą z grubego karku, tuż pod rozdziawioną paszczką, krótką włócznię. Z jednej strony wystawało drzewce, z drugiej stalowy grot. Wijący się, oszalały z bólu stwór wpadł na stojących w pobliżu

wojowników, którzy rozpierzchnęli się w panice.

Grot włóczni nie przeciął wprawdzie kręgow gada, ale na wylot przeszył mięśnie

potężnego karku. Wściekle smagając ogonem wąż obalił tuzin Piktów i wściekle kłapiąc paszczką opryskał wielu innych palącą żywym ogniem trucizną. Wyjąc, klnąc i

wrzeszcząc rozbiegli się na wszystkie strony, zderzając się i tratując leżących. Gad potoczył się w jedno z ognisk, rozrzucając głównie i sypiąc iskry. Nowy ból zmusił go do jeszcze gwałtowniejszych ruchów. Ściana chaty rozpadła się pod ciosem walącego

jak taran ogona, grzebiąc pod sobą jęczących Piktów. Biegający tam i z powrotem

wojownicy porozrzucali płonące gałęzie i zdeptali ogniska. Zapadła ciemność

rozjaśniona jedynie nikłą poświatą żaru i przerywana łomotem wijącego się cielska oraz wrzaskami umykających ludzi.

Balthus poczuł jak coś szarpie jego pęta i nagle, jakimś cudem był wolny! Silne ręce pociągnęły go do tyłu. Z osłupieniem zobaczył olbrzymią postać i poczuł żelazny uścisk dłoni na ramieniu. W nikłym blasku poznał gigantycznego Cymmerianina. Krew

zasychała na kolczudze i obnażonym mieczu barbarzyńcy, a posępne oblicze rozjaśnił słaby uśmiech. — Chodź! Zanim się opamiętają!

To mówiąc, Conan wcisnął mu w dłoń rękojeść topora. Zogar Sag zniknął gdzieś w mroku. Conan prawie włókł Balthusa za sobą dopóki Taurariczyk nie otrząsnął się z odrętwienia i zaczął samodzielnie poruszać nogami. Wtedy Conan puścił jego ramię i wbiegł do długiego budynku obwieszzonego ludzkimi czaszkami. Balthus poszedł w jego ślady.

Dostrzegł ponury, kamienny ołtarz, słabo oświetlony blaskiem gwiazd; a na nim pięć wyszczerbionych w uśmiechu ludzkich głów. Jedna z nich wydawała mu się dziwnie znajoma: należała do kupca Tiberiasa. Za ołtarzem stał posąg jakiegoś bożka. Jego niekształtna postać o niewyraźnych, zwierzęcych rysach miała jednak w sobie coś ludzkiego. Nagle gardło Balthusa ścisnęło się z przerażenia, bowiem bożek wyprostował się i ze szczękiem łańcuchów podniósł w górę długie, niekształtne ramiona.

Miecz Conana opadł jak błyskawica, przecinając ciało i kości. Cymmerianin pociągnął

Balthusa za ołtarz, obok skulonego na podłodze, włochatego cielska i do tylnych drzwi długiej chaty. Wskoczyli na zewnątrz, na dziedziniec za budynkiem. Po kilku krokach wpadli na palisadę.

Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Oszalali ze strachu Piktowie uciekali we

wszystkie strony. Conan stanął przy palisadzie, złapał Balthusa za pas i z dziecinną łatwością podniósł go w górę. Taurańczyk chwycił się krawędzi ostrokołu i wdrapał się nań nie zwracając uwagi na zadrapania. Właśnie wyciągał rękę po Conana, gdy zza rogu chaty wyskoczył umykający wojownik. Dzikus stanął jak wryty, dostrzegłszy skulonego

na palisadzie Balthusa. Ze straszliwą precyzją Conan cisnął toporem, lecz Pikt zdążył już otworzyć usta. Przez zgiełk przedarł się jego ostrzegawczy krzyk — urwany nagle, gdy topór Cymmerianina strzaskał mu czaszkę.

Paniczny strach nie zagłuszył pierwotnych instynktów piktyjskich wojowników.

Wrzawa przycichła na moment, po czym z setek gardeł wydobył się wściekły ryk i

Piktowie rzucili się do palisady, by odeprzeć wroga.

Conan skoczył, chwycił ręką Balthusa i podciągnął się w górę. Aquilończyk zacisnął zęby z wysiłku, ale Cymmerianin w mgnieniu oka znalazł się na szczycie palisady.

Prawie jednocześnie zeskoczyli na drugą stronę.

5

DZIECI JHEBBAL SAGA

— Którędy do rzeki? — spytał bezradnie Balthus.

— Nie zdołamy teraz dotrzeć do rzeki — mruknął Conan.

— W lasach między jej brzegiem a wioską roi się od Piktów! Chodź! Pójdziemy w kierunku jakiego najmniej oczekują — na zachód!

Kiedy zagłębiali się w gęste krzaki, Balthus odwrócił się i zobaczył rząd czarnych głów wystających znad palisady. Piktowie byli zbici z tropu. Dobiegli do ostrokołu zbyt późno by zauważyć kryjących się w gąszczu zbiegów. Spodziewali się gwałtownego ataku — tymczasem nigdzie nie było widać śladu wroga, chociaż na ziemi leżało ciało zabitego wojownika.

Balthus zrozumiał, że jeszcze nie zauważyli jego ucieczki. Świst strzał i dzikie wrzaski świadczyły o tym, że część Piktów, wypełniając rozkazy Zogar Saga, zabijała rozszalałego gada. Potwór zupełnie wyrwał się spod kontroli szamana. Po chwili podniosła się nowa wrzawa. Wściekłe wycie wstrząsnęło puszcza.

Conan uśmiechnął się ponuro. Wiódł Balthusa wąską ścieżką biegnącą wśród gęstego

podszycia na zachód, a kroczył tak szybko i pewnie jakby podążał dobrze oświetloną aleją. Balthus szedł za nim potykając się i macając na boki wyciągniętymi ramionami.

— Zaraz ruszą w pościg. Zogar odkrył, że cię nie ma i wie, że między głowami

leżącymi na placu nie było mojej. Nędzny pies! Gdybym miał dwie włócznie, to najpierw przeszyłbym jego, a dopiero potem węża. Trzymaj się szlaku. Nie mogą nas tropić przy świetle pochodni, a od wioski biegnie wiele ścieżek. Najpierw pobiegną tymi, które

wiodą do rzeki — i ustawią się gęstym kordonem wzdłuż brzegu sądząc, że zechcemy się przepawić na drugą stronę. Nie wejdziemy do lasu dopóki nie będziemy musieli.

Ścieżką idzie się znacznie szybciej. Teraz weź się w garść i pędź tak szybko jak potrafisz!

— Piekielnie szybko otrząsnęli się z przerażenia! — wysapał Balthus, zastosowując się do poleceń Cymmerianina i przyspieszając kroku.

— Nic nie jest w stanie przestraszyć ich na dobre — mruknął Conan.

Przez dłuższą chwilę nie padło ani jedno słowo więcej. Uciekający wkładali wszystkie siły w zwiększenie odległości dzielącej ich od prześladowców. Z każdym krokiem

oddalali się od cywilizacji i coraz bardziej pograżali w nieprzebytych ostępach, lecz Balthus nie kwestionował decyzji Cymmerianina. Ten wreszcie wydusił z siebie

mrukliwe wyjaśnienie:

— Kiedy już znajdziemy się wystarczająco daleko od wioski, zatoczmy wielki łuk i wrócimy nad rzekę. Na wiele mil od Gwawela nie ma innej wioski. Tam zebrali się wszyscy Piktowie. Ominiemy ich z daleka. W nocy nie mogą nas tropić. Ruszą po naszych śladach rano, ale my jeszcze przed świtem porzucimy szlak i wejdziemy w las. Nie zwalniali kroku. Wrzaski ucichły w oddali. Balthus ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Kłuło go w lewym boku i każdy krok stał się torturą. Gałęzie krzaków rosnących po obu stronach ścieżki nieustannie smagały go po twarzy. Nagle

Conan stanął, odwrócił się i spojrzał na ścieżkę. Gdzieś za lasem wschodził księżyc; przez gęste listowie sączyło się jego blade światło.

— Wchodzimy do lasu? — wysapał Taurańczyk.

— Daj mi swój topór — szepnął Cymmerianin. — Coś się zbliża.

— Więc lepiej zejźmy ze szlaku! — jęknął Balthus. Conan potrząsnął głową i pociągnął kompana w gęstwinę.

Czekali chwilę. Księżyc wzeszedł wyżej i na ścieżkę padła niebieska poświata.

— Nie możemy walczyć z całym Szczepem! — wyszeptał Balthus.

— Żadna ludzka istota nie zdołałaby tak szybko wpaść na, nasz trop i dogonić nas w tak krótkim czasie — zamruczał Conan. — Bądź cicho.

Zapadła cisza pełna napięcia. Balthusowi wydawało się, że bicie jego serca słyhać na milę. Nagle, bez najcichszego dźwięku oznajmającego jej nadejście, na ścieżce

pojawiła się płowa bestia. W pierwszej chwili Aquilończykowi wydawało się, że to straszliwy szablatozębny i serce podskoczyło mu do gardła. Jednak przyplaszczony

łeb był znacznie mniejszy i węższy; na ścieżce stał lampart — warcząc cicho i tocząc wokół płonącymi ślepiami. Słaby wietrzyk wiał w kierunku ukrytych w gąszczu zbiegów, nie pozwalając zwierzęciu zwęszyć ich zapach. Lampart opuścił łeb i obwąchał szlak,

po czym niepewnie ruszył dalej. Balthusowi dreszcz przebiegł po plecach. Zwierzę najwidoczniej szło ich śladem.

I było podejrzliwe. Płonące jak węgle ślepia wodziły nieustannie spojrzeniem po poboczu ścieżki, a z gardła wydobywał się głuchy pomruk. Powoli podeszło bliżej i

Conan zamachnął się błyskawicznie, wkładając w ten ruch całą siłę ramienia i barku.

Cięnięty topór śmignął w powietrzu jak srebrna smuga. Zanim Balthus zrozumiał co się dzieje, zobaczył, że lampart wije się w śmiertelnych skurczach. Stalowe ostrze

rozplatało grubą czaszkę i wbiło się w mózg.

Conan wyskoczył z krzaków, wyrwał topór i wciągnął ścierwo między drzewy skrywając przed wzrokiem ludzi, którzy mieli później tędy podążać.

— Teraz w drogę; i to szybko! — powiedział, wchodząc w las i kierując się na

południe. — Za lampartem przyjdą wojownicy. Zogar wysłał go w pościg jak tylko trochę ochłonął. Piktowie z pewnością idą za kotem, tylko nie mogli za nim nadążyć. Lampart krążył wokół wioski aż trafił na nasz trop — wtedy pomknął jak strzała. Nie mogli dotrzymać mu kroku, ale wskazał im kierunek, w jakim się udaliśmy. Biegną za nim, orientując się po jego pomrukach. No, teraz już ich nie usłyszą, ale zobaczą krew na ścieżce, rozejrzą się trochę i znajdą ścierwo w krzakach. Jeżeli tylko wpadną na nasz trop, ruszą za nami. Nie możemy zostawić żadnych śladów.

Mówiąc to, Conan zwinnie unikał nisko zwieszających się gałęzi i kolczastych krzewów; przemykał się między drzewami nie dotykając ich pni i zawsze stawiając stopy tak, by nie pozostawić żadnych śladów zdradzających ich przejście — ale Balthusowi szło to znacznie wolniej i z większym trudem.

Nie słyszeli żadnych odgłosów pościgu. Przeszli więcej niż milę, gdy Balthus rzekł: — Czy Zogar Sag używa lampartów jako swoich psów gończych? Conan potrząsnął głową.

— Raczej przywołał go z puszczy, tak jak tamte zwierzęta.

— Jednak — dopytywał się Taurańczyk — jeżeli może rozkazywać zwierzętom, to dlaczego nie obróci przeciwko nam wszystkich leśnych stworzeń? W puszczy jest pełno lampartów, dlaczego wysłał za nami tylko jednego?

Conan pomilczał chwilę, po czym rzekł niechętnie:

— On nie może rozkazywać wszystkim zwierzętom. Tylko tym, które pamiętają Jhebbal Saga.

— Jhebbal Saga? — z namysłem powtórzył Aquilończyk. Wydawało mu się, że słyszał to imię.

— Niegdyś wszystkie żywe stworzenia oddawały mu cześć. Było to dawno temu, kiedy zwierzęta i ludzie mówili jednym językiem. Ludzie już o tym zapomnieli: nawet

zwierzęta zapomniały. Jednak nieliczne jeszcze pamiętają. One spełnią życzenia

człowieka, który przemówi do nich w prastarym języku.

Balthus nic nie powiedział. Wrócił myślą do wioski Piktów i znów ujrzał krwiożercze

bestie wyłaniające się z mrocznej puszczy na wezwanie szamana.

— Cywilizowani ludzie śmieją się z tego — ciągnął Cymmerianin — ale nikt nie

potrafił mi wyjaśnić w jaki sposób Zogar Sag może przywoływać tygrysy, lamparty czy

węże i skłaniać je by wykonywały jego rozkazy. Gdyby się odważyli, zarzuciliby mi

kłamstwo. Tak jest z cywilizowanymi ludźmi. Jeżeli nie potrafią czegoś wyjaśnić przy pomocy swej niedowarzonej nauki, to twierdzą, że nie istnieje.

Taurańczycy byli bardziej zbliżeni do natury niż większość Aquilończyków i wciąż

zachowali niektóre wierzenia, których źródła ginęły w pomroce dziejów. Poza tym,

Balthus widział na własne oczy to, o czym prawił mu teraz Conan. Nie mógł nie wierzyć jego słowom.

— Słyszałem, że gdzieś w tej puszczy znajduje się prastary grobowiec Jhebbal Saga —

ciągnął Conan. — Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Jednak w tych lasach pamięta o

nim więcej zwierząt niż gdzie indziej.

— I one też ruszą za nami?

— Już ruszyły — padła niepokojąca odpowiedź. — Zogar nie wysłałby za nami tylko

jednego zwierzęcia.

— Więc co robimy? — spytał niespokojnie Balthus, ściskając rękojeść miecza i

wpatrując się w mroczny gąszcz. Na myśl o czających się w nim, uzbrojonych w kły i

pazury, stworach, dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

— Zobaczysz!

Conan odwrócił się, przykucnął i zaczął kreślić nożem dziwne wzory na ziemi.

Zaglądający mu przez ramię Balthus — nie wiedzieć czemu — poczuł znów zimny

dreszcz strachu. Na twarzy nie czuł nawet najbliższego podmuchu wiatru, a jednak liście nad ich głowami zaszeleściły dziwnie i wśród gałęzi rozległ się niesamowity, przeciągający jęk. Conan spojrział obojętnie, po czym podniósł się i popatrzył ponuro na narysowany symbol.

— Co to takiego? — szepnął Aquilończyk. Znak wydawał mu się dziwny i zupełnie pozbawiony znaczenia. Osądził, że to jakiś wzór zdobniczy jednej z pradawnych kultur, którego nie pozwalała mu rozpoznać nieznajomość historii sztuki. Nie zdawał sobie sprawy jak daleki był od rozwiązania zagadki.

— Ten znak widziałem wyryty na ścianie jaskini, w której od miliona lat nie powstała ludzka stopa — mruknął Conan. — Było to wśród bezludnych wzgórz za Morzem Vilayet, szmat drogi stąd. Później widziałem jak czarny zaklinacz z Kush kreślił go w przybrzeżnym piasku nie nazwanej rzeki. Wyjaśnił mi jego znaczenie — to święty znak

Jhebbal Saga i stworzeń oddających mu cześć. Patrz!

Skryli się w gęstym listowiu kilka jardów dalej i czekali w napięciu. Ze wschodu dolatywało bicie bębnów, którym odpowiadały inne — z zachodu i pomocy. Balthus zadrzał, chociaż wiedział, że całe mile dzielą ich od tych piktyjskich wiosek gdzie monotony, pulsujący rytm bębnów jak upiorna uwertura zapowiadał krwawy finał.

Stwierdził, że nieświadomie wstrzymuje oddech. Nagle liście zatrzęsyły się lekko i rozchyliwszy gałęzie, wychynęła z krzaków wspaniała czarna pantera. Sączące się przez listowie światło księżycy padało na lśniące futro, falujące wraz z ruchem potężnych mięśni. Z nisko pochylonym łbem, zwierzę sunęło w kierunku ukrytych mężczyzn.

Zwęszyła ich trop i ruszyła szybciej — lecz zaraz zastygła w bezruchu, nosem niemal dotykając ziemi i narysowanego symbolu. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, brzuchem prawie dotykając ścieżki. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. W zachowaniu zwierzęcia wyczuł podziw i szacunek.

Później pantera podniosła się i wycofała ostrożnie. Kiedy jej tylne łapy dotknęły

krzaków okryła się gwałtownie i zniknęła z oczu zbiegów jak błyska zgaszonej świecy.

Balthus otarł czoło trzęsącą się ręką i spojrzał na Conana. W oczach barbarzyńcy płonął ogień jakiego Aquilończyk nigdy nie widział w spojrzeniu cywilizowanego człowieka. Na chwilę stał się Balthusowi zupełnie obcy. W jego pałającym spojrzeniu Aquilończyk widział dziwne obrazy i na pół sformowane wspomnienia, pradawne wierzenia zapomniane w miarę rozwoju cywilizacji, prymitywne i przerażające. Po chwili Conan otrząsnął się z zadumy i cicho poprowadził towarzysza dalej, w puszcze. — Nie musimy się już obawiać zwierząt — rzekł po dłuższym milczeniu — ale zostawiliśmy ślady, które można dostrzec bystrym okiem. Trudno im będzie znów wpaść na nasz trop i dopóki nie znajdą tego symbolu, nie będą pewni czy rzeczywiście skierowaliśmy się na południe. Nawet wtedy trudno im będzie iść za nami bez pomocy zwierząt.

Jednak lasy na południe od szlaku roją się od szukających nas wojowników. Jeżeli nie ukryjemy się gdzieś w ciągu dnia, to z pewnością wpadniemy na jakiś oddział. Jak tylko znajdziemy odpowiednie miejsce, zatrzymamy się i zaczekamy do zmroku — potem

zawrócimy i przeprawimy się przez rzekę. Musimy ostrzec Vallanusa, a wcale mu nie pomożemy jeżeli damy się zabić.

— Ostrzec Vallanusa?

— Na Croma, lasy wzdłuż rzeki roją się od Piktów! Dlatego wpadliśmy w zasadzkę. Zogar szykuje świętą wojnę; nie jakiś tam wypad rabunkowy. Dokonał czegoś, co za mojej pamięci nie udało się żadnemu Piktowi; zjednoczył dziesięć czy piętnaście plemion. Udało mu się to dzięki czarom; wojownicy słuchają bardziej szamana niż wodza. Widziałeś ten tłum w wiosce; a wzdłuż brzegu rzeki ukrywają się setki wojowników, których nie zauważyłeś. I wciąż przybywają nowi — z bardziej oddalonych wsi. Zogar będzie miał co najmniej trzytysięczną armię. Leżałem w krzakach i podsłuchałem rozmowę kilku przechodzących Piktów. Chcą zaatakować fort. Nie wiem kiedy, ale Zogar nie ośmieli się czekać zbyt długo. Zebrał ludzi i doprowadził do

wrzenia. Jeżeli szybko nie doprowadza ich do bitwy, zaczną walczyć ze sobą. Są jak oszalałe z żądzы krwi tygrysy. Nie wiem, czy zdołają zdobyć fort, czy nie? W każdym razie musimy przejść przez rzekę i ostrzec Vallanusa. Osadnicy wzdłuż drogi do Velitrium muszą się schronić w forcie albo uciekać do miasta. Podczas gdy główne siły Piktów będą oblegać fort, mniejsze oddziały spustoszą wschodnie tereny — może nawet przekroczą Rzekę Gromu i napadną na gęsto zaludnione obszary za Velitrium.

To mówiąc, wiódł Balthusa coraz dalej i dalej w puszcze. Wreszcie mruknął coś z zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie podszycie było mniej gęste i ujrzeli skalny grzbiet pasma ciągnącego się na południe. Ruszyli w górę. Balthus poczuł się bardziej bezpiecznie. Nawet Pikt nie zdoła znaleźć ich śladów na nagiej skale.

— Jak ci się udało uciec? — spytał Cymmerianina. Conan klepnął się po kolczudze.

— Gdyby wszyscy pogranicznicy to nosili, mniej czaszek wisiałoby przed piktyjskimi ołtarzami. Jednak większość ludzi robi zbyt wiele hałasu chodząc w zbroi. Piktowie czekali na nas po obu stronach ścieżki, ukryci w krzakach. A kiedy Pikt stoi bez ruchu, nawet zwierzę nie zdoła go dostrzec. Zauważyli nas jak przeprawialiśmy się przez rzekę i czekali na nas w zasadzce. Gdyby zajęli swoje pozycje kiedy byliśmy już na brzegu zauważyłbym coś. Jednak oni już tam byli. Sam diabeł niczego by nie podejrzewał. Zrozumiałem co się dzieje dopiero gdy usłyszałem szmer strzały trącej o napinany łuk. Rzuciłem się na ziemię i krzyknąłem do pozostałych by zrobili to samo, ale byli zbyt zaskoczeni i zbyt powolni. Większość zginęła od razu, gdy spadła na nas chmura strzał. Część strzał przeleciała na drugą stronę ścieżki, rażąc ukrytych tam Piktów. Słyszałem ich wycia — Conan uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. — Ci, którzy pozostali przy życiu, wpadli w las i starli się z ukrytymi w zasadzce wojownikami. Kiedy zobaczyłem, że wszyscy moi ludzie są martwi lub umierający, przebiłem się przez pierścień wrogów i zniknąłem tym malowanym diabłem z oczu. Wszędzie ich było pełno. Biegłem, czołgałem się i przemykałem w ciemnościach między oddziałkami ścigających mnie wojowników, a czasem leżałem na brzuchu w krzakach, gdy przechodzili obok. Próbowałem przejść przez rzekę, ale już tam na mnie czekali.

Wyrąbałby sobie drogę i spróbowałbym przepłynąć pod gradem strzał, ale usłyszałem

bicie bębnow i zrozumiałem z ich mowy, że wzięli kogoś żywcem. Tak byli zapatrzeni w czary Zogar Saga, że zdołałem niepostrzeżenie wspiać się na palisadę za chatą z

ołtarzem. Stał tam wojownik, który miał jej pilnować, ale zamiast tego siedział na ziemi i przyglądał się zza węgła widowisku. Zaszedłem go od tyłu i skręciłem mu kark zanim pojawił się. To jego włócznią przeszyłem gada, a ty masz jego topór.

— A co to był za stwór — ten którego zabiłeś w chacie? — spytał Balthus, otrząsając się na samo wspomnienie.

— To jeden z bożków Zogar Saga. Dziecko Jhebbal Saga, które nie pamięta i musi być trzymane na łańcuchu. Goryl. Piktowie uważają to zwierzę za wcielenie Włochatego

Bóstwa z Gullah, żyjącego na księżycu. Robi się jasno. Musimy się tu ukryć, dopóki się nie uspokoi. Pewnie będziemy musieli poczekać do zmroku.

Weszli wyżej na łagodne, pokryte płataniną drzew i krzewów zbocze. Na szczycie

pagórka Conan znalazł pierścień poszarpanych głazów, porośniętych gęstymi

zaroślami. Ta naturalna forteca posłużyła im za kryjówkę. Balthus nie wierzył by nawet sokole oczy Piktów mogły wypatrzyć ich ślady na skalistym gruncie, ale obawiał się

zwierząt posłusznych Zogar Sagowi. Wiara, jaką początkowo pokładał w siłę

magicznego symbolu osłabła nieco, lecz Conan zbył jego wątpliwości wzruszeniem

ramion.

Przez gęste gałęzie sączyła się upiorna poświata; prześwitujące przez zielone

sklepienie skrawki nieba zmieniły barwę z różowej na błękitną.

Wprawdzie Balthus ugasił pragnienie w napotkanym strumieniu, ale głód wciąż

szarpał mu wnętrzności. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana z rzadka lęklwym

nawoływaniem ptaków. Nie było już słyszeć bicia bębnow. Balthus znów wrócił myślą

do wydarzeń, które miały miejsce w wiosce.

— Zogar Sag nosił strusie pióra — rzekł do Conana. — Widziałem je na hełmach

rycerzy, którzy przybyli ze wschodu do baronów Marchii. W tym lesie nie ma strusi,

prawda?

— Pióra pochodzą z Kush — odparł zapytany. — Na zachód stąd, za stepami, jest brzeg morza. Czasem przyplływają tam statki z Zingary by wymieniać z tamtejszymi szczepami broń, ozdoby i wino na skóry, miedź i złoty piasek. Czasami przywożą strusie pióra, które otrzymują od Stygijczyków, a ci otrzymują je od czarnych z Kush, krainy, która leży na południe od Stygii. Piktyjscy szamani przywiązują do tych piór niezwykłą wagę. Jednak handel z Piktami niesie pewne ryzyko. Zawsze mogą zaatakować statek, a i brzeg jest bardzo niebezpieczny dla żeglugi. Pływałem wzdłuż niego kiedy żyłem wśród piratów z Wysp Baracha, położonych na południe od Zingary. Balthus z podziwem spojrzął na kompana.

— Wiem, że nie spędziłeś całego życia na pograniczu. Wspomniałeś o kilku odległych miejscach. Musiałeś dużo podróżować?

— Dotarłem daleko; dalej niż jakikolwiek inny człowiek z moich stron. Widziałem wszystkie wielkie miasta Hyborian, Shemitów, Stygijczyków i Hyrkanian. Włóczyłem się po niezbadanych krainach za południowymi granicami czarnych królestw Kush i na wschód od Morza Vilayet. Byłem kapitanem piechoty, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza, generałem... Do diabła! Byłem wszystkim tylko nie królem cywilizowanego kraju — ale może będę i nim zanim umrę!

Ta myśl wydawała się go bawić; uśmiechnął się lekko. Później wzruszył ramionami i wyciągnął się wygodnie na skale.

— Tak samo dobre życie jak każde inne. Nie wiem jak długo zostanę na pograniczu; tydzień, miesiąc, rok... Jestem niespokojnym duchem. Tu mi tak samo dobrze jak gdzie indziej.

Balthus usadowił się tak, by obserwować las w dole. W każdej chwili spodziewał się widoku pomalowanych twarzy dzikusów wyłaniających się z gęstwiny. Jednak mijały godziny i zalegającej wokół ciszy nie mącił żaden podejrzany odgłos. Balthus osądził, że Piktowie

zgubili trop i zaniechali pościgu. Conan był coraz bardziej niespokojny.

— Ich oddziały powinny przeczesywać puszcze. Jeżeli zrezygnowali z pogoni to tylko

dlatego, że mają coś ważniejszego do roboty. Pewnie zbierają się by przekroczyć rzekę i uderzyć na fort.

— Myślisz, że poszliby za nami aż tutaj, gdyby było inaczej?

— Trop stracili na pewno; inaczej już siedzieliby nam na karku. Przeczesałoby lasy w promieniu wielu mil. Być może jakiś oddział przeszedł blisko nie odkrywszy wzgórza,

ale większość zebrała się wokół Gwawela. Szykują się do przeprawy przez rzekę.

Zaryzykujemy i spróbujemy ich wyprzedzić.

Kiedy przemykali się między skałami, Balthus czuł nieprzyjemne mrowienie między

łopatkami, gdzie w każdej chwili mogła się wbić świszcząca strzała wypuszczona z

gęstwiny. Jednak Conan był przekonany, że w pobliżu nie ma nawet śladu

nieprzyjaciela — i jak zwykle miał rację.

— Znajdujemy się o wiele mil na południe od wioski — mruknął. — Teraz ruszymy

prosto ku rzece. Nie wiem jak daleko dotarli Piktowie, ale miejmy nadzieję, że nie ma ich tutaj.

Pośpiesznie podążyli na wschód. Balthus uważał to za zuchwalstwo, ale Conan sądził,

że piktyjscy wojownicy albo już przeprawili się przez rzekę, albo stanęli u brodu w

pobliżu Gwaweli. Tę drugą możliwość uznał za bardziej prawdopodobną.

— Jakiś drwal mógłby ich zauważyć i podnieść przedwczesny alarm. Przeprawią się

powyżej i poniżej fortu, poza zasięgiem wzroku strażników. Wtedy inni wsiądą do

canoe i zaatakują od strony rzeki. Jak tylko uderzą, pozostałe, ukryte w lasach oddziały natrą na fort z obu stron. Raz już próbowali tej sztuczki, ale musieli się wycofać.

Jednak tym razem jest ich wystarczająco dużo by im się to powiodło.

Parli naprzód bez wytchnienia, chociaż Balthus tęsknym wzrokiem spoglądał na

śmigające wśród gałęzi wiewiórki, które mógł strącić na ziemię jednym rzutem topora.

Z westchnieniem zacisnął szeroki pas. Wieczysta cisza i półmrok pierwotnej puszczy

zaczynały mu działać na nerwy. Złapał się na myślach o otwartych przestrzeniach i skąpanych w słońcu łąkach Tauranu; o jasnych, czystych ścianach krytego strzechą, rodzinnego domu; o tłustym bydle pasącym się w gęstej soczystej trawie oraz o serdeczności tamtejszych pasterzy.

Poczuł się samotny. Conan był częścią tej leśnej głuszy w takim samym stopniu, w jakim Balthus był jej obcy. Cymmerianin mógł spędzić długie lata w wielkich miastach hyboreańskie — go świata i poznać jego władców; mógł też któregoś dnia urzeczywistnić swój kaprys i zostać królem cywilizowanego państwa — zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Jednak nie zmieniało to faktu, że był barbarzyńcą. Obchodziły go tylko jego prymitywne potrzeby. Łagodne przyjemności i wzruszenia spokojnego życia nie miały dla niego znaczenia. Wilk pozostaje wilkiem, nawet jeżeli kaprys losu każe mu strzec stada owiec razem z psami. Dla Conana życie składało się z rozlewu krwi, zaciekłych bitew i przemocy; nie rozumiał i nigdy nie miał zrozumieć drobnych radości tak miłych sercu cywilizowanych ludzi.

Zanim dotarli do rzeki cienie drzew zaczęły się już wydłużać. Zerknęli przez gęste krzaki. Czarne wody toczyły się leniwie. Na milę w każdą stronę rzeka była pusta.

Conan zmarszczył brwi, spoglądając na drugi brzeg.

— Musimy zaryzykować! Spróbujemy przepłynąć na drugą stronę. Nie wiem, czy

Piktowie się już przeprawili, czy nie. Być może jest ich już tam pełno. Trudno, musimy podjąć takie ryzyko. Jesteśmy teraz prawie sześć mil na południe od Gwawela.

Cymmerianin okręcił się na pięcie i przykucnął w tej samej chwili gdy rozległ się brzęk napiętej cięciwy i świst przeszywającej powietrze strzały. Conan poderwał się natychmiast i jednym susem skoczył w zarośla. Balthus pochwycił okiem błysk spadającego ostrza i usłyszał przedśmiertny wrzask. Wpadł w chaszcze za swoim towarzyszem.

Na ziemi leżał Pikt z rozplataną czaszką, spazmatycznie drąc ziemię palcami. Pół tuzina innych nacierało na barbarzyńcę z mieczami i toporami w dłoniach, odrzuciwszy bezużyteczne

w bezpośrednim starciu łuki. Ich pomalowane na biało dolne szczęki kontrastowały z ciemnymi twarzami, a plemienne znaki na muskularnych piersiach nie przypominały tych, jakie Balthus widział do tej pory.

Jeden z napastników cisnął toporem w Balthusa i rzucił się na niego z nożem.

Taurańczyk uchylił się i chwycił za przegub uzbrojonej ręki. Razem upadli na ziemię, tocząc się tam i z powrotem w zacieklej walce. Pikt był zwinny jak dzikie zwierzę, a jego mięśnie miały moc stalowych sprężyn. Balthus usiłował przytrzymać uzbrojone w nóż ramię i zadać decydujący cios toporem, ale szamoczący się wściekle przeciwnik udaremniał jego zamiar. Pikt trzymał go za rękę, w której dzierżył topór, gwałtownymi szarpnięciami usiłując uwolnić własne ramię i próbując kopnąć Balthusa między nogi. W chwili gdy zamierzał przerzucić nóż do wolnej ręki Aquilończyk poderwał się na jedno kolano i rozpaczliwym ciosem topora rozłupał mu głowę na dwoje.

Balthus skoczył na równe nogi, szukając wzrokiem towarzysza, spodziewając się, że ujrzy go powalonego przez przeważających liczebnie wrogów. Dopiero wtedy uświadomił sobie w pełni siłę i zręczność Cymmerianina. Conan stał okrakiem nad ciałami dwóch napastników, przeciętych na pół jednym straszliwym cięciem szerokiego miecza. Na oczach zdumionego Balthusa barbarzyńca odparował pchnięcie mieczem, z kocią zwinnością uniknął ciosu toporem skacząc w bok, do Pikta, który schylał się po upuszczony łuk. Zanim wojownik zdołał się wyprostować, zbroczone ostrze opadło jak błyskawica, rozrąbując bark od ramienia do piersi, gdzie uwięzło. Pozostali wojownicy skoczyli na Cymmerianina z dwóch stron. Celnym rzutem topora Balthus zmniejszył liczbę atakujących do jednego, a Conan, zaniechawszy beznadziejnych prób wyrwania miecza z ciała zabitego, odparł atak gołymi rękami. Wojownik, który na niego natarł, był o głowę niższy, ale przysadzisty i uzbrojony w topór i nóż. Wąskie ostrze prysnęło na kolczudze Cymmerianina, a topór zatrzymał się w powietrzu, bo stalowe palce barbarzyńcy zamknęły się jak stalowy potrzask na ramieniu wymachującego nim wojownika. Rozległ się głośny trzask pękających kości; Pikt wrzasnął i zwiotczał. W następnej chwili Conan podniósł szamoczącego się i wierzgającego wojownika nad

głowę,trzymał go przez moment w powietrzu, po czym cisnął o ziemię z taką siłą,

że Pikt potoczył się i legł nieruchomo z połamanymi żebrami i kręgosłupem.

— Chodźmy! — rzekł Conan, podnosząc topór i wyszarpując ostrze z ciała zabitego.

— Weź łuk i trochę strzał. Pośpiesz się! Musimy pędzić ile sił w nogach. Te wrzaski było słychać w całej puszczy. Za chwilę zaroi się tu od Piktów. Gdybyśmy teraz próbowali

przeplłynąć rzekę, to naszpikowaliby nas strzałami zanim dotarlibyśmy na drugi brzeg.

6

CZERWONE TOPORY

Conan nie zagłębił się zbyt daleko w las. Kilkaset jardów dalej zmienił kierunek ich ucieczki i ruszył równolegle do biegu rzeki. Balthus rozumiał rozpaczliwą decyzję

Cymmerianina. Nie mogli dać się odpędzić od rzeki, którą musieli przepłynąć by

ostrzec ludzi w forcie. W dali rozległy się dzikie wrzaski. To Piktowie odnaleźli polankę, gdzie leżały trupy ich współplemieńców. Przybliżające się okrzyki świadczyły o tym, że dzicy natychmiast ruszyli w pościg. Dwaj towarzysze uciekając w pośpiechu zostawiali wyraźny ślad.

Conan przyśpieszył kroku, a Balthus zacisnął zęby i trzymał się tuż za nim, chociaż

miał wrażenie, że zaraz upadnie. Wydawało mu się, że od wieków nic nie jadł. Biegł

tylko dzięki sile woli. W uszach szumiało mu tak mocno, że nawet nie usłyszał kiedy

wrzaski ucichły nagle.

Cymmerianin zatrzymał się. Balthus oparł się o drzewo i dyszał ciężko.

— Zrezygnowali! — mruknął wreszcie, zmarszczywszy brwi.

— Skradają się! — wydusił z siebie Balthus. Conan potrząsnął głową.

— Nie. Wrócili. Wydawało mi się, że ktoś ich zawołał i dopiero wtedy wycia ucichły.

Ktoś odwołał pościg. Dla nas to dobrze, ale dla ludzi w forcie — nie. To oznacza, że wojownicy szykują się do ataku. Ci, na których wpadliśmy, należeli do jednego ze

szczepów mieszkających w dole rzeki. Niewątpliwie zmierzali do Gwawela by

przyłączyć się do atakujących. Niech to diabli, jesteśmy już prawie zbyt daleko od

fortu! Jeżeli chcemy zdążyć musimy się szybko przedostać na drugi brzeg. Zwróciwszy

się na wschód, Conan pośpiesznie gnał przez gąszcz, nawet nie próbując zacierać swoich śladów. Balthus deptał mu po piętach, dopiero teraz czując pieczenie w miejscach, gdzie paznokcie Pikta rozorały mu skórę. Aquilończyk zanurzał się już w gęste krzaki na brzegu rzeki, gdy Cymmerianin chwycił go za ramię. Usłyszeli rytmiczny plusk i zerkając przez zielone listowie ujrzeli podążające w górę rzeki canoe. Siedzący w nim wiosłarz walczył zawzięcie z silnym prądem. Silnie zbudowany, smagłokóry, nosił miedzianą obręcz przytrzymującą czarną grzywę prosto przyciętych włosów i wetknięte za nią białe pióro czapli.

— To wojownik z Gwawela — szepnął Conan. — Wysłannik Zogar Saga. Świadczy o tym białe pióro. Zaniósł posłanie pokoju do szczepów w dole rzeki, a teraz próbuje wrócić na czas i wziąć udział w bitwie.

Tymczasem samotny Pikt znalazł się na wysokości miejsca, gdzie krył się Conan z Balthusem. Ten ostatni niemal wyskoczył ze skóry, kiedy tuż nad jego uchem rozległy się gardłowe dźwięki piktyjskiej mowy. To Cymmerianin zawołał Pikta w jego własnym języku. Wojownik drgnął, wbił wzrok w zarośla i krzyknawszy coś, rzucił wystraszone spojrzenie na sąsiedni brzeg, po czym pochylił się nisko i skierował łódź ku ukrytym w krzakach pogranicznikom. Conan wyjął łuk z ręki zdezorientowanego Balthusa i nałożył strzałę na cięciwę.

Pikt płynął teraz przy samym brzegu, szukając wzrokiem niewidocznego pobratymcy. Krzyknął coś półgłosem. W odpowiedzi z krzaków świsnęła śmiertelna strzała i wbiła mu się w pierś po sam bełt. Dzikus ze zduszonym jękiem przechylił się w bok i zwałił za burtę, w płytką wodę. Conan wypadł na brzeg i brnąc po kolana w wodzie, chwycił dryfujące canoe. Oszołomiony Balthus poszedł w jego ślady i wgramolił się do łódki. Cymmerianin chwycił wiosło i potężnym uderzeniem skierował dziób canoe w stronę drugiego brzegu. Balthus patrzył z podziwem na grające pod opaloną skórą

mięśnie towarzysza. Nie znający zmęczenia barbarzyńca wydał mu się człowiekiem z żelaza.

— Co powiedziałeś temu Piktowi? — spytał.

— Ostrzegłem go, że na drugim brzegu czai się łucznik, który chce go ustrzelić.

— To nie w porządku — rzekł Balthus. — On myślał, że to przyjacielska rada.

Udawałeś Pikta tak dobrze.

— Potrzebna nam była jego łódź — mruknął Conan. — Nie widziałem innego sposobu by ściągnąć go bliżej. Co gorsze — oszukać Pikta, który z radością obdarłby nas żywcem ze skóry, czy zawieść ludzi za rzeką, których życie spoczywa w naszych rękach?

Balthus przez chwilę przeżuwał w myślach ten problem etyczny, po czym wzruszył ramionami i rzekł:

— Jak daleko jesteśmy od fortu?

Conan wskazał na strumyk wpadający do Czarnej Rzeki ze wschodu, kilkaset jardów w dół rzeki od miejsca, w którym się znajdowali.

— To Strumień Południowy; dziesięć mil od fortu. Jesteśmy przy południowych granicach Conajohary. Dalej rozpościerają się całe mile bagnisk. Nie ma obawy by uderzyli z tej strony. Dziewięć mil w górę rzeki stąd Strumień Północny tworzy drugą linię graniczną. Tam też są bagna. Właśnie dlatego atak musi przyjść z zachodu, przez Czarną Rzekę. Conajohara ma kształt włóczni z dziewiętnastomilowym grotem, wbitym w terytorium Piktów.

— Dlaczego nie popłyniemy do fortu rzeką, skoro mamy już canoe?

— Ponieważ ze względu na silny prąd, który musielibyśmy pokonywać i liczne zakręty, szybciej dotrzemy tam piechotą. Ponadto pamiętaj, że po drodze mijamy

Gwawela; jeżeli Pikto — wie przepływają się na drugą stronę, to moglibyśmy wpaść

prosto w ich ręce.

Kiedy przeprawili się na drugi brzeg, zaczynało już zmierzchać. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, Conan zwawo ruszył na północ; Balthus z trudem dotrzymywał mu kroku.

— Vallanus chciał wybudować dwa forty: przy ujściu Strumienia Północnego i Południowego — mruknął Cymmerianin. — Wtedy mysz by się nie prześliznęła przez granicę. Ale doradcy króla nie pozwolili na to. Tłusci głupcy wylegujący się na aksamitnych poduszkach z nagimi dziewczkami podającymi im na kolanach wino — znam ten typ ludzi. Nie widzą dalej niż ściany własnego pałacu. Dyplomaci — niech ich diabli! Walczą z Piktami przy pomocy teoryjek o ekspansji terytorialnej. Vallanus i jemu podobni muszą słuchać rozkazów tej bandy idiotów. Nigdy już nie zagarną innych piktyjskich ziem, tak samo jak nie odbudują Venarium. I może przyjsć czas, że barbarzyńcy staną u bram ich wspaniałych miast!

Tydzień wcześniej Balthus wyśmiałby takie nieprawdopodobne twierdzenia. Teraz milczał. Widział nieposkromioną odwagę dzikich wojowników. Zadrżał, rzucając spojrzenie na toczące się wolno, ciemne wody i zwieszające się nad nimi gałęzie drzew. Pamiętał o tym, że Piktowie mogli już przeprawić się na ten brzeg i czekać gdzieś w zasadzce. Zmierzch zapadał szybko.

Cichy szmer sprawił, że serce podskoczyło Taurariczykowi do gardła. Conan błysnął wzniesionym do ciosu mieczem, lecz opuścił go na widok wielkiego, wychudłego i poznaczonego bliznami psa, który wyszedł na ścieżkę.

— To pies osadnika, który chciał zbudować chatę na brzegu rzeki, kilka mil na południe od fortu — rzekł Conan. — Piktowie zabili go, oczywiście, i spalili chatę. Przy zgliszczach znaleźliśmy tego psa leżącego wśród Piktów, których zagryzł. Porąbali go prawie na kawałki. Zabraliśmy psa do fortu i opatrzyliśmy mu rany, ale kiedy wydobrzył

uciekł do lasu i zdziczał. I co, Siekacz, polujesz na tych, którzy zabili ci pana?

Masywny łeb psa zakołysał się lekko, a zielone ślepia zmrużyły się w dziwnie złowrogim grymasie. Zwierzę nie szczeknęło i nie warczało. Cicho jak duch stanęło obok Balthusa i Conana.

— Niech idzie z nami — rzekł Cymmerianin. — Zwęszy ciemnoskórych diabłów zanim my zdołamy ich dostrzec.

Balthus uśmiechnął się i delikatnie położył rękę na głowie psa. Instynktownie ściągnięte wargi obnażyły lśniące kły zwierzęcia; potem wielki łeb pochylił się nieco, a ogon zadrgał niepewnie, jakby jego właściciel zapomniał o takich odruchach. Balthus

porównał w myślach to olbrzymie zwierzę z tłustymi psami o gładkim futrze,

kłębiącymi się w psiarni ojca. Westchnął. Pogranicze było równie okrutne dla ludzi, co i dla zwierząt. Ten pies prawie zapomniał co oznacza przyjaźń z człowiekiem.

Siekacz wysunął się naprzód i Conan nie wyraził żadnego sprzeciwu. Ostatnie

promienie słońca zgasły gdzieś za górami, pozostawiając kompletną ciemność.

Spiesznie pokonywali milę za milą. Pies wydawał się niemym stworzeniem. Nagle stanął

w miejscu, czujnie nastawiając uszu. Conan i Balthus także to usłyszeli — demoniczne wycie niosące się po wodzie w dół rzeki. Conan zaklął wściekle.

— Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Chodź! Pomknął jak strzała nie zważając na nic, wierząc, że pies zwęszy ewentualną zasadzkę. W przyływie emocji Balthus zapomniał

o głodzie i zmęczeniu. W miarę jak się zbliżali, wycie stawało się coraz głośniejsze i coraz wyraźniej słyszeli okrzyki żołnierzy. Kiedy Balthus zaczął się już niepokoić, że pędzą wprost na dzikusów, Conan zatoczył szeroki łuk, który wyprowadził ich na

łagodne wzniesienie, z którego mogli się dobrze przyjrzeć wszystkiemu. Zobaczyli fort, oświetlony pochodniami wystawionymi na długich tykach poza parapety strzelnic. W ich migotliwym, niepewnym świetle ujrzeli setki nagich, pomalowanych na wojenne barwy

wojowników. Na rzece było gęsto od łodzi. Piktowie zupełnie otoczyli fort.

Nieustanny deszcz wysyłanych z lasu i łodzi strzał spadał na palisadę. Brzęk cięciw

zagłuszył wrzaski. Wyjął jak stado wygłodniałych wilków, kilkuset nagich wojowników

wybiegło spomiędzy drzew i z toporami w dłoniach pognało do palisady. Kiedy znaleźli się o sto pięćdziesiąt jardów od niej, chmura wystrzelonych przez obrońców strzał

usłała ziemię trupami i zmusiła pozostałych do pośpiesznego odwrotu. Wojownicy w

łodziach również skierowali się ku palisadzie, lecz zostali przywitani nie tylko gradem strzał, ale i pociskami z małych balist, zamocowanych na drewnianych platformach.

Kamienie i belki śmigały w powietrzu, druzgocząc i zatapiając pół tuzina łodzi wraz z załogami, a inne zmuszając do ucieczki. Obrońcy fortu wydali donośny okrzyk tryumfu; ze wszystkich stron odpowiedziało im przeraźliwe wycie dzikich.

— Spróbujemy się przebić? — spytał niecierpliwie Balthus. Cohan potrząsnął głową.

Stał lekko pochylony, z rękami założonymi na piersiach.

— Nie. Fort jest już stracony. Piktowie oszaleli z żądzы krwi; można ich powstrzymać tylko zabijając wszystkich. A jest ich zbyt wielu, by żołnierze w forcie zdołali tego dokonać. Nie udałoby się nam nawet przedrzeć, a gdyby nawet, nie moglibyśmy zrobić

nic więcej, jak zginąć razem z Vallanusem.

— A więc możemy tylko ratować własną skórę?

— Też nie. Musimy ostrzec osadników. Wiesz dlaczego Piktowie nie próbują podpalić

fortu ognistymi strzałami? Nie chcą wzniecać ognia, żeby dym nie ostrzegł ludzi na

wschodzie. Chcą zdobyć fort i uderzyć wzdłuż drogi do Yelitrium, zanim ktokolwiek się zorientuje w sytuacji. Wtedy mogliby nawet przekroczyć Rzekę Gromu i wziąć Velitrium zanim Aquilończycy się opamiętają. W każdym razie zabijają każdą żywą istotę między

fortem a rzeką. Wprawdzie nie udało nam się ostrzec Vallanusa, lecz teraz widzę, że to i tak niczego by nie zmieniło. Jeszcze kilka takich szturmów i Piktowie wedrą się do fortu. Jednak powinniśmy ocalić osadników. Chodź! Jesteśmy poza pierścieniem

okrażenia. Trzymajmy się od niego z daleka.

Zatoczyli szeroki łuk, nasłuchując rosnących i zamierających wrzasków znaczących

każdy szturm odparty przez obrońców. Załoga fortu trzymała się dzielnie, ale

wściekłość Piktów nie słabła. W ich wyciu słychać było pewność zwycięstwa.

Zanim Balthus zorientował się, wyszli na szeroki trakt, wiodący na wschód.

— Teraz biegiem! — nakazał Conan.

Balthus zacisnął zęby. Do Velitrium było dziewiętnaście mil, a do pierwszych zabudowań osadników dobre pięć. Aquilończykowi wydawało się, że już od wieków biega z Conanem po puszczy. Jednak nerwowe napięcie dodawało mu sił.

Siekacz biegł przed nimi z nisko pochylonym łbem. Nagle warknął cicho — po raz pierwszy od kiedy go spotkali.

— Przed nami Piktowie! — mruknął Conan, przyklękając na moment i badając ślady w blasku gwiazd. Potrząsnął głową, zbity z tropu. — Nie wiem ilu. Raczej niewielu. To ci, którym się nie chciało czekać na zdobycie fortu. Poszli naprzód by mordować śpiących osadników! Musimy się spieszyć!

Przed sobą ujrzeli nikłą poświatę i usłyszeli dzikie wrzaski. Szlak zakręcał w tym miejscu, więc skrócili sobie drogę idąc przez zarośla. Po chwili zobaczyli okropny widok. Na drodze stał wóz zaprzężony w muły, wiozący różne przedmioty potrzebne w gospodarstwie. Wóz palił się, a muły leżały z popodrzynanymi gardłami obok zmasakrowanych ciał młodej pary. Pięciu Piktów wymachując zakrwawionymi toporami tańczyło taniec zwycięstwa wokół swych ofiar; jeden z nich nałożył zdartą z kobiety koszulę.

Balthusowi czerwone płatki zawirowały przed oczami. Napiął łuk, wymierzył w podskakującą postać i zwolnił cięciwę. Morderca wyprężył się konwulsyjnie i padł ze strzałą w sercu. W następnej chwili obaj kompani skoczyli na pozostałych czterech dzikusów. Conanem powodowała nie tylko żądza walki, ale i zapiekła nienawiść do odwiecznego wroga, natomiast Balthus oszalał z wściekłości widząc zwłoki ziomków.

Potężnym ciosem topora rozłupał czerep pierwszemu Piktowi, jaki stanął mu na drodze i przeskakując przez padające ciało rzucił się na następnego. Jednak spóźnił się trochę, bo Conan zdążył już zabić jednego wroga i zanim Balthus zdążył opuścić topór, dzikus runął na ziemię przeszyty mieczem barbarzyńcy. Zwracając się ku ostatniemu wojownikowi, Balthus ujrział go leżącego z rozszarpanym gardłem. Siekacz stał nad nim szczerząc zakrwawione kły.

Bez słowa patrzyli na zmasakrowane ciała podróżnych. Oboje byli bardzo młodzi; kobieta niewiele starsza od dziecka. Zrządzeniem losu Piktowie zostawili jej twarz nietkniętą; była piękna nawet w chwili śmierci. Jednak jej młode ciało zostało okrutnie zmasakrowane ciosami noży. Patrzącego na to Balthusa coś ścisnęło za gardło.

Ogarnięty głębokim żalem miał ochotę sięść na ziemi i zapłakać.

— Młoda para chcąc się usamodzielnic — powiedział Conan, beznamiętnie ocierając ostrze swego miecza. — Podążali do fortu, gdy napadli ich Piktowie. Chłopak pewnie chciał się zaciągnąć, albo osiąść nad rzeką. Taki los czeka każdego mężczyznę, kobietę lub dziecko po tej stronie granicy, jeżeli szybko nie znajdą się w Velitrium.

Na uginających się nogach Taurańczyk podążył za Conanem. Ten szedł pewnie, długim, elastycznym krokiem. Istniało jakieś nieuchwytne podobieństwo między nim, a wielkim, wychudzonym zwierzęciem pomykającym obok niego przez gąszcz. Siekacz już nie warczał i nie nastawiał uszu. Najwidoczniej w pobliżu nie było smągłoskórych wojowników.

Znad rzeki wciąż dobiegały wrzaski i Balthus osądził, że fort jeszcze się broni. Conan zatrzymał się nagle, klnąc siarczyście.

Pokazał Aquilończykowi szlak odchodzący na północ od głównego traktu. Zarośla porastające wąską ścieżkę nie zdążyły się jeszcze wyprostować. Cymmerianin spojrział na głęboko odcisnięte, szerokie szlaki kół w miejscu, gdzie wozy skręciły z głównej drogi.

— To osadnicy. Pojechali po sól — mruknął. — Do słonego jeziorka, leżącego jakieś dziewięć mil stąd, na skraju bagien. Niech to diabli! Wyrzną ich do nogi! Słuchaj! Jeden człowiek wystarczy by ostrzec rodziny osadników. Pobiegiesz, pobudzisz wszystkich i poprowadzisz do Velitrium. Ja spróbuję dostać się do tych przy solance. Z pewnością obozują przy jeziorku. Nie wrócimy drogą, ale pójdziemy prosto przez las.

Bez dalszych komentarzy Conan zszedł ze szlaku i pośpieszył wąską ścieżką, a Balthus, odprowadziwszy go długim spojrzeniem ruszył w swoją stronę. Pies został z nim, cicho podążając przy nodze. Po kilku krokach Taurańczyk usłyszał jego głuche

warczenie. Określił się na pięcie i spojrział na rozdroże, gdzie rozstał się z towarzyszem.

Drgnął, widząc dziwne, niesamowite światło znikające w lesie, w tym samym kierunku,

w jakim udał się Cymmerianin. Siekacz warczał wściekle, jeżąc sierść i wybałuszając

zielone, płonące ślepią. Balthus przypomniał sobie ponurą zjawę, która właśnie gdzieś tutaj porwała głowę Tiberiasa — i zawahał się. Widmo najwidoczniej tropiło Conana.

Jednak gigantyczny Cymmerianin kilkakrotnie udowodnił, że sam umie zadbać o siebie,

a poza tym Taurańczyk czuł, że jego obowiązkiem jest K ostrzec bezbronnych ludzi,

nie spodziewających się nadciągającego niebezpieczeństwa. Koszmarny widok dwojga

zmasakrowanych ludzi przytłumił obawę o los kompana.

Pomknął drogą, przekroczył strumień i wreszcie zobaczył przed sobą pierwszą chatę

osadnika — długi, niski budynek z nieociosanych bali. Po chwili stanął na progu i

załomotał w drzwi. Senny głos zapytał o co mu chodzi.

— Wstawać! Piktowie przeszli przez rzekę!

Te słowa wywołały natychmiastowy skutek. W chacie rozległ się cichy krzyk

przerażenia i drzwi otworzyły się, ukazując stojącą w nich kobietę w skąpym stroju.

Długie włosy w nieładzie opadały na jej nagie ramiona; w jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej lekki topór. Jej twarz była biała jak kreda, a oczy rozszerzone ze strachu.

— Wchodź! — zaprosiła. — Będziemy się bronić.

— Nie. Musimy dotrzeć do Velitrium. Fort długo się nie utrzyma. Może już go zdobyli.

Nie trać czasu na ubieranie się. Łap dzieci i chodź.

— Ale mój mąż! Pojechał z innymi po sól! — jęknęła, załamując ręce. Zza jej pleców

wyglądało troje dzieci — zaspanych i rozczochranych.

— Conan pobiegł ich ostrzec. Poprowadzi ich do Velitrium przez las. My musimy się

pośpieszyć i ostrzec innych.

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

— Dzięki ci, Mitro! — krzyknęła. — Jeżeli Cymmerianin jest z nimi, to z pewnością wyprowadzi ich z puszczy!

Budząc się do życia porwała najmłodsze dziecko na ręce i razem ze starszymi opuściła chatę. Balthus wziął od niej świeczkę i zgasił, wdeptując w ziemię obcasem. Nasłuchiwał przez chwilę. Od drogi nie dolatywał najlżejszy nawet dźwięk.

— Czy masz konia?

— W stajni — jęknęła. — Och, szybciej!

Trzęsącymi się rękami gmerała przy ryglu. Balthus odsunął ją na bok, wyprowadził konia i posadził dzieci na jego grzbiecie, każąc trzymać się grzywy i siebie nawzajem.

Patrzyły na niego poważnie, bez cienia uśmiechu czy płaczu. Kobieta wzięła konia za uzdę i ruszyła w drogę. Wciąż ścisnęła w drugiej ręce topór i Aquilończyk wiedział, że osaczona będzie walczyć z rozpacziwą odwagą pantery.

Szedł za nią nasłuchując. Gnębiła go myśl, że fort został już wzięty szturmem; że hordy dzikich pędzą już drogą do Velitrium, pijane żądzą krwi i mord. Spadną na bezbronnych jak stado wygłodniałych wilków.

Wreszcie zobaczyli przed sobą następną chatę. Kobieta zamierzała krzyknąć ostrzegawczo, ale Balthus nie pozwolił jej na to. Podszedł do drzwi i załomotał.

Odpowiedział mu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i niebawem z chaty wyskoczyli mieszkańcy: staruszka, dwie kobiety i czwórka dzieci. Tak jak poprzednio, ich mężowie dzień wcześniej udali się po sól, nie podejrzewając wcale niebezpieczeństwa. Jedna z kobiet była oszołomiona, druga zaś bliska hysterii. Jedyne staruszka, dzielna weteranka pogranicza, uciszyła ją ostro; pomogła mu wyprowadzić dwa konie z komórki przy

budynku i wsadzić na nie dzieciaki. Balthus nalegał, żeby sama wsiadła na konia, ale ona tylko potrząsnęła głową i kazała jechać jednej z młodych kobiet.

— Jest w ciąży — mruknęła. — Ja mogę iść, a jeżeli będzie trzeba, to i walczyć.

Gdy ruszali jedna z kobiet powiedziała:

— Tuż przed zmrokiem przejeżdżała tędy młoda para; radziliśmy im, żeby spędzili

noc w naszej chacie, ale chcieli dotrzeć jeszcze dziś do fortu. Czy...?

— Spotkali Piktów — odparł krótko Balthus i dziewczyna jęknęła ze zgrozą.

Ledwo oddalili się trochę od chaty, gdy gdzieś z tyłu rozległo się przeciągłe, odrażające wycie.

— Wilki! — wykrzyknęła jedna z kobiet.

— Pomalowane i z toporami w dłoniach — mruknął Balthus. — Dalej! Obudźcie wszystkich wzdłuż drogi i zabierzcie ze sobą. Będę was osłaniał.

Stara kobieta bez słowa popędziła swoje podopieczne. Gdy znikali w ciemnościach

Balthus dostrzegł jeszcze białe owale dziecięcych twarzy, spoglądające na niego z końskiego grzbietu. Przypomniawszy sobie swoją rodzinę w Tauranie i na chwilę ogarnęła go bolesna tęsknota. Ogarnięty słabością usiadł z jękiem na drodze. Muskularnym ramieniem objął potężny kark Siekacza; poczuł na twarzy wilgotne dotknięcie psiego jęzora.

Podniósł głowę i uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Chodź, stary — powiedział wstając. — Mamy coś do zrobienia.

Nagle zobaczył czerwony blask ognia wśród drzew. Piktowie podpalili chatę osadnika.

Balthus wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jakże pieniełby się Zogar Sag gdyby wiedział, że jego wojownicy dali upust swym niszczycielskim instynktom. Łuna ostrzeże innych.

Mieszkańcy dalej leżących chat zbudzą się i będą gotowi kiedy dotrą do nich pierwsi

uciekiniery. Jednak wciąż trapiły go niewesołe myśli. Kobiety poruszały się zbyt wolno, podążając pieszo lub na objuczonych koniach. Zanim przejdą milę, szybko konodzy

Piktowie dogonią ich — chyba że...

Zajął pozycję za stertą kłoców drewna leżących przy trakcie. Łuna pożaru oświetlała

drogą z zachodu i kiedy Piktowie nadciągnęli zobaczył ich pierwszy; czarne, ruchliwe sylwetki na tle różowej poświaty. Napiął łuk, wypuścił strzałę i jedna z figurek upadła.

Reszta wtopiła się w las po obu stronach drogi. Pies skomlił cicho, ogarnięty żądzą

mordu. Między drzewami na poboczu szlaku pojawił się czarny cień skradającego się wojownika. Siekacz wyskoczył z ukrycia i długim susem wpadł w gąszcz. Krzaki zatrzęsły się gwałtownie i po chwili pies wrócił do Balthusa — z zakrwawionym pyskiem.

Piktowie nie wychodzili już na drogę. Balthus obawiał się, że przekradają się lasem.

Słyszac szmer z lewej, wypuścił strzałę na oślep. Zaklął pod nosem, słyszac jak pocisk wbija się w pień, lecz Siekacz pomknął jak duch i za moment powietrze przeszył

wrzask agonii. Pies wrócił natychmiast i otarł się przyjaźnie o ramię przyczajonego

Aquilończyka. Krew z długiej rany na boku zlepiła mu sierść, ale Piktowie wycofali się.

Wojownicy kryjący się w krzakach domyślili się widocznie jaki los spotkał ich

towarzysza i zdecydowali, że otwarty atak będzie lepszy niż narażanie się na spotkanie z niewidzialną bestią. Może domyślali się, że za kłodami kryje się tylko jeden człowiek; w każdym razie całą gromadą wypadli z gęstwiny i pomknęli ku Balthusowi. Trzech

padło przeszytych strzałami i pozostali dwaj zawahali się. Jeden zawrócił i uciekł drogą, lecz drugi przeskoczył stertę drzewa i — błyskając białymi zębami i białkami oczu —

zamachnął się toporem. Balthus zerwał się na równe nogi, ale potknął się ó jeden z

wali. To uratowało mu życie. Spadające ostrze musnęło mu włosy i Pikt, straciwszy

równowagę, potoczył się po ziemi. Zanim zdołał się podnieść, Siekacz rozszarpał mu gardło.

Nastąpił długi okres napiętego oczekiwania. Balthus zastanawiał się czy wojownik,

który uciekł, był ostatnim członkiem bandy. Najwidoczniej natknął się na niewielką

grupkę wojowników, którzy zrezygnowali z udziału w bitwie o fort, lub też podążali na czele większego oddziału. Pocieszała go myśl, że z każdą upływającą chwilą rosły

szansę kobiet i dzieci uciekających do Velitrium.

Nagle, bez ostrzeżenia, grad strzał ze świstem spadł wokół jego kryjówki. Wzdłuż

leśnej drogi podniosły się przeraźliwe wycia. Ostatni Pikt musiał pobiec po posiłki, albo przypadkiem natknął się na inny oddział. Chata osadnika wciąż płonęła rozpraszając

nieco mroki nocy. Chmara wojowników ruszyła na Aquilończyka, kryjąc się za grubymi pniami. Balthus wypuścił ostatnie trzy strzały i odrzucił zbyteczny łuk. Jakby wyczuwając to, Piktowie umilkli nagle i z tupotem bosych stóp skoczyli ku niemu. Balthus mocno uściśnął łeb wielkiego psa, wiercącego się u jego boku i mruknął: Dobra, daj im bobu! — po czym zerwał się na równe nogi i wznosił topór nad głową. Banda wymachujących nożami i toporami dzikusów dotarła do sterty drzewa i runęła na Aquilończyka.

7

OGNISTY DEMON

Porzucając szlak wiodący do Velitrium, Oonan przygotował się na dziewięćmiłowy bieg. Jednak nie przebył jeszcze czterech mil, gdy usłyszał przed sobą odgłosy świadczące o zbliżaniu się grupki ludzi. Z hałasu jaki czynili wywnioskował, że nie mogą to być Piktowie. Pozdrowił ich okrzykiem.

— Kto tam? — zapytał szorstki głos. — Nie ruszaj się z miejsca, albo naszpikujemy cię strzałami!

— W tych ciemnościach nie trafiłbyś słonia — rzucił niecierpliwie Cymmerianin. — Chodźcie tu, głupcy; to ja: Conan. Piktowie przeszli przez rzekę.

— Tak podejrzewaliśmy — odparł przywódca małej gromadki rosnących i barczystych Aquilończyków. — Jeden z nas zranił antylopę i szedł za nią prawie do Czarnej Rzeki.

Usłyszał ich wrzaski i pobiegł do obozu. Zostawiliśmy wozy i sól, puściliśmy muły w las i natychmiast ruszyliśmy z powrotem. Jeżeli Piktowie szturmują fort, to inne oddziały zaatakują nasze chaty wzdłuż drogi.

— Wasze rodziny są bezpieczne — — mruknął Conan. — Mój towarzysz pobiegł by wszystkich ostrzec i zaprowadzić do Velitrium. My musimy iść lasem. Jeżeli wyjdziemy na trakt, możemy wpaść na główne siły nieprzyjaciela. Idźcie. Będę was osłaniał.

Po chwili cała gromada maszerowała na południe. Conan szedł nieco wolniej,

trzymając się z tyłu. W duchu klął osadników za hałas jaki robili idąc; taka sama grupa Piktów lub Cymmerian przemknęłaby przez las nie czyniąc więcej zamieszania niż wiatr wiejący wśród gałęzi.

Właśnie przechodził przez małą polankę, gdy instynktownie wyczuł, że ktoś go śledzi. Odwrócił się błyskawicznie i zamarł w bezruchu. Odgłosy umykających osadników ucichły w dali. Nagle usłyszał słabe wołanie dochodzące z kierunku, z którego przyszedł.

— Conanie! Conanie! Zaczekaj na mnie!

— Balthus! — wykrzyknął z niedowierzaniem i dodał trochę ciszej. — Tu jestem!

— Zaczekaj na mnie, Conanie! — głos wyraźnie przybliżał się. Marszcząc brwi, Cymmerianin wyszedł z krzaków.

— Co tu robisz, do diabła...? Na Croma!

Barbarzyńca cofnął się, zdjęty nagłym przestrawem. To nie Balthus wyłaniał się z zarośli. Przez listowie przebijała dziwna poświata. Wolno płynęła do Cymmerianina, jarząc się upiornie zielonym, magicznym ogniem.

Zjawa zatrzymała się kilka stóp przed Conanem, który daremnie wyteżał wzrok, próbując rozróżnić jej niewyraźne kształty. Pełzające płomienie kryły jakąś postać; zielonkawa poświata była tylko zasłoną okrywającą jakąś nieziemską istotę — lecz Cymmerianin nie mógł jej przeniknąć spojrzeniem. Wtem zaszokowany barbarzyńca usłyszał głos wydobywający się z głębi ognistego obłoku,

— Czemu stoisz jak wół czekający na rzeź, Conanie? Stwór mówił wprawdzie głosem człowieka, ale pobrzmiwały w nim dziwnie nieludzkie tony.

— Wół!?! — wściekłość przemogła chwilowy przestraw Conana. — Myślisz, że boję się jakiegoś nędznego, bagiennego diabła? Słyszałem głos przyjaciela.

— To ja zawołałem cię jego głosem — odparła zjawa. — Ludzie, którzy idą przed tobą, należą do mego brata; nie odbiorę mu przyjemności wytoczenia z nich krwi. Ale

ty jesteś mój! O głupcze, przybyłeś tuż dalekich, szarych gór Cymmerii by znaleźć

śmierć w leśnych ostępach Conajohary!

— Miałeś już wcześniej okazję — warknął Conan. — Dlaczego nie próbowałeś mnie zabić wtedy?

— Mój brat nie pomalował dla ciebie ludzkiej czaszki na czarno i nie wrzucił jej do ognia, który płonie wiecznie na ołtarzu Gullah. Nie szeptał twego imienia czarnym duchom zamieszkującym Krainy Ciemności. Lecz później nad Wzgórzami Zmarłych przeleciał nietoperz i krwią nakreślił twój wizerunek na skórze białego tygrysa wiszącej przed długą chatą Czterech Braci Nocy. U ich stóp wiją się wielkie węże, a w ich włosach gwiazdy płoną jak iskry ognisk.

— I czemu to bogowie ciemności skazali mnie na śmierć? — warknął Cymmerianin.

Z płonącej mgły wyciągnęła się jakaś szponiasta łapa i nakreśliła na ziemi zawity rysunek. Znak błysnął i znikł, ale Conan zdążył go rozpoznać.

— Ośmieliłeś się użyć znaku jaki tylko kapłani Jhabbal Saga ośmielają się kreślić.

Grom przetoczył się nad Wzgórzami Zmarłych i ofiarną chatę Gullah wywrócił wicher

wiejący z Otchłani Duchów. Nadleciał kruk, który jest posłańcem Czterech Braci Nocy i wyszeptał mi do ucha twoje imię. Tutaj kończy się twoja droga. Jesteś już martwy.

Twoja czaszka zawiśnie przy ołtarzu mego brata. Twoje ciało pożrą czarno — skrzydłe, ostrodziobe Dzieci Jhila,

— Kim jest twój brat, do diabła? — spytał Conan. Trzymając w jednej ręce obnażony miecz, drugą nieznacznie sięgał po topór.

— Mój brat to Zogar Sag; potomek Jhabbal Saga, który wciąż odwiedza swe świątynie.

Kobieta z Gwawela nocowała raz w jednym z jego grobowców i urodziła Zogar Saga. Ja również jestem synem Jhabbal Saga, zrodzonym z ognistego łona w innym świecie.

Zogar wezwał mnie z Ziemi Mroku. Zaklęciami i magią własnej krwi zmaterializował mnie na swojej planecie. Związani niewidzialnymi więzami, jesteśmy jednością. Jego

myśli są moimi myślami; gdy ktoś uderzy jego, ja również czuję ból. Jeśli ja się zranię, on też krwawi. Jednak powiedziałem już dość. Niebawem twój duch będzie rozmawiał z duchami Ziemi Mroku i one opowiedzą ci o dawnych bogach, którzy nie śpią, lecz spoczywając w niezgłębionych otchłaniach oczekują czasu swego powrotu.

— Chciałbym zobaczyć jak naprawdę wyglądasz — mruknął Conan wydobywając topór zza pasa. — Ty, który zostawiasz ptasie ślady, płoniesz jak ogień i mówisz ludzkim głosem.

— Ujrysz mnie — odparł głos z płomieni — ujrysz i zabierzesz ten widok ze sobą do Ziemi Mroku.

Płomienie buchnęły i przygasły, chwiejąc się i migocąc. Z ognia wyłonił się niewyraźny kształt. Z początku Conanowi wydawało się, że to sam Zogar Sag stoi przed nim w płaszczu płomieni. Jednak ta postać była większa — i miała w sobie coś demonicznego.

Cymmerianin zauważył wcześniej niezwykle rysy Zogar Saga: skośne oczy, spiczaste uszy i nienaturalnie wąskie wargi. Wszystkie te cechy w jeszcze większym stopniu uwidoczniły się u stojącego przed nim, ognistej zjawy. Jej oczy jarzyły się niesamowitym, czerwonym blaskiem — jak rozżarzone węgle.

Zauważył inne szczegóły; wąską pierś, przypominającą ludzką, lecz pokrytą węzową łuską, niekształtne ramiona i długie, żurawie nogi zakończone trójpalczastymi, ptasimi stopami. Na monstrualnych członkach pełgały niebieskawe płomyki. Stwór wydawał się okryty nimi jak błyszczącą szatą.

Nagle znalazł się tuż przy Cymmerianinie, nie uczyniwszy żadnego ruchu. Długie ramię, zakończone ostrymi jak brzytwa, zakrzywionymi szponami, uniosło się i opadło z rozmachem. Z dzikim okrzykiem barbarzyńca otrząsnął się z odrętwienia i odskoczył, ciskając jednocześnie toporem. Z niewiarygodną szybkością demon uniknął ciosu uchylając wąską głowę i z sykiem płomieni znów runął na Conana.

Strach zawsze pomagał mu zabijać wskazane ofiary — lecz ten Cymmerianin nie lękał

się. Dobrze wiedział, że każdego nawet najstraszliwszego potwora można zabić zimnym żelazem.

Cios szponiastej łapy strącił mu hełm z głowy. Trochę niżej a zdjąłby mu ją z karku.

Jednak w tej samej chwili barbarzyńca z dziką radością zatopił miecz w pachwinie potwora. Odskoczył, unikając ostrych szponów i wyszarpując ostrze z ciała wroga.

Zakrzywione pazury przeorały mu pierś i rozdarły kolczugę jak starą szmatę, ale Conan nie zwracając na to uwagi ponownie doskoczył do przeciwnika. Zanurkował pod

spadające ramiona potwora i wbił mu miecz w brzuch. Poczł straszliwą siłę demona drącego mu kolczugę na plecach, miażdżącego go w uścisku; oślepił go niebieskawy, zimny jak lód płomień; wreszcie wyrwał się ze słabnących łap i zadał potężny cios.

Demon zachwiał się i runął na ziemię z niemal całkowicie odrąbaną głową.

Spowijające go płomienie buchnęły żywym, czerwonym jak krew ogniem, kryjąc potwora przed wzrokiem Cymmerianina. Wokół rozszedł się smród spalonego mięsa.

Ocierając z czoła krew i pot, Conan odwrócił się i chwiejnie pobiegł za towarzyszami.

Krew sączyła mu się z licznych ran. Gdzieś na południu dostrzegł nikłą lunę pożaru; pewnie paliło się jakieś domostwo. W oddali narastało przeciągłe wycie dzikusów, zmuszając do zwiększonego wysiłku.

8

KONIEC CONAJOHARY

Pod murami Velitrium i wzdłuż Rzeki Gromu toczyły się zaciekle walki; lasy rozbrzmiewały szczękiem żelaza i wrzaskami zabijanych; i wiele chat legło w zgliszczach nim odparto piktyjską nawałę.

Później zapadła dziwna cisza — jak po burzy. Ludzie zbierali się grupkami i mówili przyciszonymi głosami; w nadbrzeżnych tawernach mężczyźni o surowych spojrzeniach w milczeniu pili swoje piwo.

Do Conana z Cymmerii, ponuro pociągającego z ogromnego kufla, podszedł chudy

drwal z głową owiniętą bandażem i ręką na temblaku. Był jedynym, który ocalał z załogi Fortu Tuscalan.

— Byłeś z żołnierzami na ruinach fortu? — zapytał. Conan skinął głową.

— Ja nie mogłem — mruknął pytający. — Obyło się bez walki?

— Piktowie umknęli za Czarną Rzekę — Odparł Cymmerianin. — Coś ich musiało przestraszyć, chociaż tylko ich piekielni bogowie wiedzą co.

Drwal zerknął na swoje zabandażowane ramię i westchnął.

— Mówią, że nie znaleźliście żadnych trupów. Conan znów kiwnął głową.

— Tylko popioły. Piktowie zostawili ciała swoich i ludzi Vallanusa w forcie i podpalili go zanim wrócili za rzekę.

— Vallanus zginął jako jeden z ostatnich obrońców — rzekł drwal — w bezpośrednim starciu, kiedy Piktowie wdarli się do fortu. Próbowali wziąć go żywcem, ale zmusił ich by go zabili. Wzięli mnie do niewoli razem z ostatnimi dziewięcioma obrońcami, bo byliśmy już tak wyczerpani, że nie mogliśmy walczyć. Innych zamordowali od razu.

Wtedy umarł Zogar Sag i udało mi się uciec.

— Zogar Sag nie żyje?! — wykrzyknął Conan.

— Tak. Widziałem jak zginął. To dlatego Piktowie nie szturmowali Velitrium z takim zapałem jak Fort Tuscelan. To było bardzo dziwne. Czarownik nie odniósł w bitwie żadnej rany. Tańczył wśród trupów wymachując toporem, którym zamordował przed chwilą ostatniego z moich towarzyszy. Wyjąc jak wilk podbiegł do mnie — i nagle zachwiał się, wypuścił topór i zaczął biegać w kółko, rycząc nieludzkim głosem. Upadł na ziemię koło ogniska na którym zamierzali mnie usmażyć, krztusząc się i tocząc pianę z ust. Po chwili zesztyniał i jego współplemieńcy krzyknęli, że nie żyje.

Wybuchło niesamowite zamieszanie. Skorzystałem z tego, uwolniłem się z więzów i uciekłem do lasu.

— W blasku ognia bardzo dobrze widziałem jego ciało. Nikt go nawet nie dotknął, a jednak miał krwawe rany w pachwinie i brzuchu — a głowę prawie odrąbaną od tułowia.

Co o tym sądzisz? Conan nic nie odpowiedział i drwał, znając powściągliwość barbarzyńców w pewnych sprawach, ciągnął dalej:

— Żył z czarów i przez nie zginął. Jego tajemnicza śmierć odebrała Piktom ducha.

Żaden z wojowników, którzy to widzieli, nie brał udziału w walkach nad Rzeką Gromu.

Uciekli do swoich wiosek. Na Velitrium pociągnęli inni; ci którzy wyruszyli wcześniej.

Jednak było ich zbyt mało by zdobyć miasto. Wiedząc, że nic mnie nie ściga, poszedłem wzdłuż drogi za głównymi siłami wroga, przekradłem się między oddziałami i dotarłem

do miasta. Tobie udało się przeprowadzić osadników, a kobiety z dziećmi dotarły do

Velitrium tuż przed hordami tych diabłów. Gdyby Balthusowi i staremu Siekaczowi nie

udało się ich na chwilę powstrzymać, wymordowaliby nasze rodziny. Przechodziłem

obok miejsca, gdzie stoczyli ostatnią walkę. Leżeli obok sterty martwych Piktów —

naliczyłem siedmiu zarąbanych przez Balthusa lub rozszarpanych przez psa — a na

drodze leżało jeszcze paru innych, przeszytych strzałami. Cóż to musiała być za walka!

— Balthus był prawdziwym mężczyzną — rzekł Conan. — Piję za jego pamięć i

pamięć psa, który nie znał strachu.

Pociągnął tęgi łyk wina i dziwnie pogańskim gestem wylał resztę na podłogę, po czym rozbił kufel.

— Dziesięciu Piktów zapłaci życiem za jego śmierć, a siedmiu za śmierć psa, który był większym wojownikiem niż wielu ludzi.

Patrząc na ponury błysk w niebieskich oczach Cymmerianina drwał wiedział, że

barbarzyńca dotrzyma przysięgi.

— Nie odbudują fortu?

— Nie. Conajohara jest stracona. Granica Aquilonii przesunęła się na południe. Rzeką Gromu będzie

nową Unią graniczną.

Drwal westchnął i spojrział na swoją spracowaną dłoń, pokrytą odciskami od styliska topora. Conan sięgnął długim ramieniem po dzban z winem. Aquilończyk spoglądał w milczeniu na Cymmerianina, porównując go z innymi ludźmi; z mężczyznami w tawernie; z innymi, którzy zginęli nad rzeką, i z dzikimi Piktami. Conan zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

— Barbarzyństwo to normalny stan ludzkości — rzekł wreszcie drwal, patrząc posępnie na Conana. — To cywilizacja jest czymś nienaturalnym, dziwnym zbiegiem okoliczności. Barbarzyństwo zawsze musi w końcu zatryumfować.